

POD LUPĄ „DO RZECZY”

Polsce coraz bardziej
grozi lewacki terroryzm



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 30/232 24-30 LIPCA 2017

Jak się u nas prześladowuje
obrońców życia

SZUKAJ WYDANIA
Z FILMEM DVD
GODZINA „W”



EKSTRA

Łysiak jako zegarmistrz

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
9 772299 850000
Nakład: 111 tys. egzemplarzy

TO JUŻ SZORSTKA PRZYJAŹŃ

Prezydent Andrzej Duda wchodzi do gry

PLUS: DEBATA O ZMIANACH W SĄDOWNICTWIE – WARCHOŁ V. KRÓLIKOWSKI

Wiceminister sprawiedliwości w rządzie PiS kontra wiceminister sprawiedliwości w rządzie Platformy i PSL

eprasa.pl 852bc6bc56



AKCJA ŚW. KRZYSZTOF 2017

POLICZ BEZPIECZNIE PRZEJECHANE KILOMETRY I POMÓŻ MISJONARZOM

MIVA Polska od ponad 15 lat niesie pomoc polskim misjonarzom w zdobyciu środków transportu. Pomoc ta jest możliwa przede wszystkim dzięki Akcji 1 gr za 1 km. W tym roku polscy misjonarze z Republiki Środkowej Afryki, Ghany, Kamerunu, Zambii i Tanzanii, Czadu i Togo, Kuby, Ekwadoru i Boliwii, Peru i Wenezueli, Papui Nowej Gwinei i Kazachstanu oraz innych krajów czekają na naszą pomoc.

Wspólny wysiłek i udział w Akcji 1 gr za 1 km sprawi, że misjonarze z pomocą pojazdów będą mogli docierać do wiosek i osad w dżungli, w górach, afrykańskiej sawannie i w wielu innych, trudno dostępnych miejscach globu. Z pomocą środków transportu misjonarze ewangelizują, niosą pomoc medyczną, zakładają i prowadzą szkoły, troszczą się o poprawę warunków życia posługując najbardziej potrzebującym.

Dzięki ubiegłorocznej akcji misjonarze z 26 krajów otrzymali pomoc na zakup: 37 samochodów, 5 busów, 8 motocykli i skuterów, 132 rowerów, ambulansu, 2 silników do łodzi, 140 wózków inwalidzkich.

PRZEKAŹ SWÓJ DAR NA KONTO:

69 1240 1037 1111 0000 0691 6802

TYTUŁEM: Akcja Św. Krzysztof – środki transportu dla misjonarzy

1 GR ZA 1 KM



**BĄDŹ WDZIĘCZNY PANU BOGU ZA KAŻDY KILOMETR SZCZĘŚLIWEJ PODRÓŻY
I POMÓŻ POLSKIM MISJONARZOM**

Projekty zrealizowane przez MIVA Polska 2000-2016

												
481	109	1019	3	2	9	12	2	1	11	12	3	140
samochody	motocykle	rowery	traktory	quady	silniki	łódzie, barki	konie	riksze	busy	ambulanse	skutery śnieżne	wózki

MIVA Polska

ul. Byszevska 1, skr. poczt 112, 03-729 Warszawa 4, Tel. (22) 678 59 83, biuro@miva.pl
NIP 5242802131, REGON 364437048

www.miva.pl
www.facebook.com/MIVAPolska



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Siedząc okrakiem

Lekko licząc, demokracja upadła już w Polsce co najmniej 500 razy, bo tyle mniej więcej dni rządzi PiS. Podobnie często dokonywały się zamach stanu, faszyzacja życia, klęska państwa prawa. Mieliliśmy do czynienia z puczem i antypuczem, majdanem i kontrmajdanem. Język gdzieś się gubi, groteska tylko coraz większa. Podobnie jest i teraz, podczas debaty na temat zmian w wymiarze sprawiedliwości. Histeryczny ton przeciwników miesza się z entuzjazmem zwolenników, tak że bardzo trudno zająć w tej sprawie roztropne stanowisko. Każda próba racjonalnej oceny natychmiast zostaje uznana albo za zdradę, albo – w najlepszym razie – za „siedzenie okrakiem na barykadzie”. Niech tak będzie. Gotów jestem na to przystać, że siedzę na barykadzie, pod warunkiem, że razem ze mną jest tam zdrowy rozsądek.

Ten zaś mówi, że zmiany w systemie sprawiedliwości były rzeczą konieczną. To nie przypadek, że Polska tak często przegrywa sprawy przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka. To najlepszy dowód, że sądy działają źle. Tak samo nie powinno być wątpliwości,

jak wielką wadą obecnego systemu była kastowość, lenistwo i najwyraźniej w świecie niekiedy niski poziom wiedzy sędziów, co wynika ze sposobu, w jaki młodzi prawnicy robią karierę. Tak samo karygodne były przypadki bezkarności.

Podobnie w przypadku Sądu Najwyższego doskonale pamiętam, jak zgrzytałem zębami, kiedy wypichcił on głupią i absurdalną wykładnię w słynnej sprawie lustracyjnej Mariana Jurczyka. Sędziowie uznali wtedy, że dowodem czyjejś współpracy z SB miała się stać użyteczność dostarczanych przez agenta informacji, tę zaś oceniali... żyjący jeszcze byli oficerowie prowadzący. Toż to była kpina z wszystkich reguł rozumowania i obrzydliwe przekreślenie uczciwości. Wtedy jednak protestów na masową skalę nie było, a dominujące media głosiły, że wyroków sądu się nie komentuje.

Powodów do przeprowadzenia zmian było i jest znacznie więcej. I to jest, drodzy Czytelnicy, jedna strona barykady i tu wisi, niech będzie, moja jedna noga.

Jest jednak i druga. Nie mogę zrozumieć, że tak znaczące zmiany przeprowadza się w takim trybie.

Argument – bo nikt nie chce nas słuchać, a opozycja i tak będzie przeciw – nie jest poważny. Procedury i reguły są dla wszystkich i należy ich pilnować niezależnie od tego, co się myśli o drugiej stronie. Dlaczego więc Polska zmienia ustawę o Sądzie Najwyższym w tydzień, dalibóg trudno pojąć. Zmienia ją tak szybko, że nie wiadomo do końca, jakie uprawnienia ma prezydent i co do końca może minister sprawiedliwości. Pośpiech jest złym doradcą, szczególnie w tak poważnej sprawie.

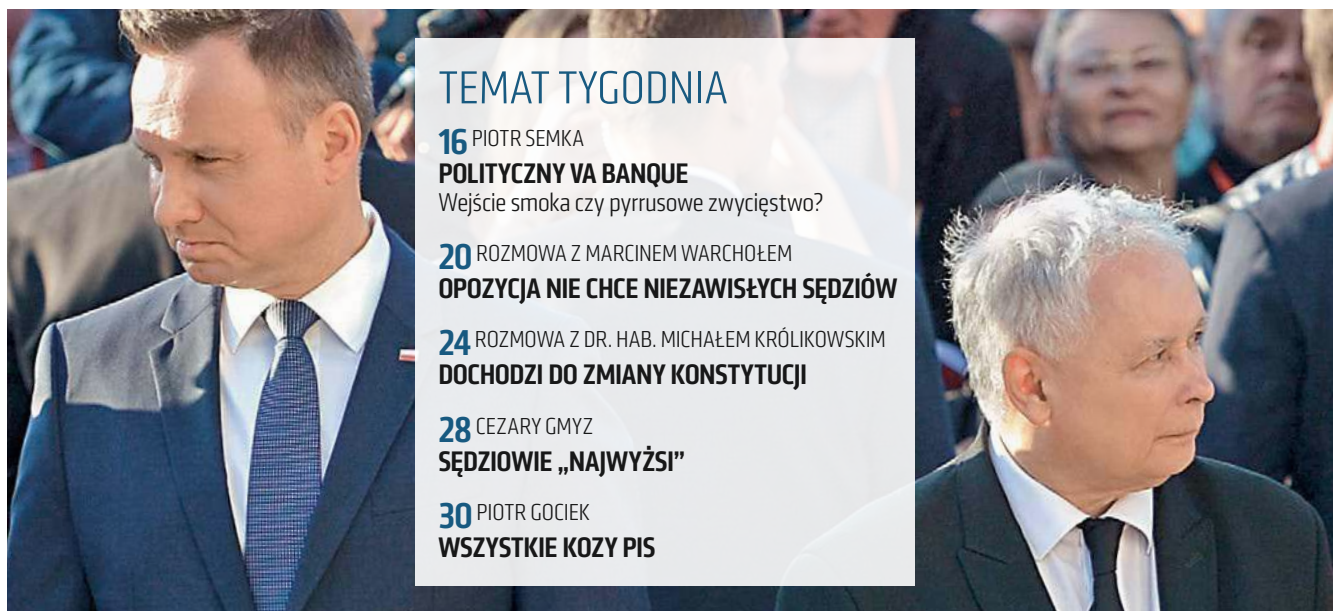
Po drugie, niezależnie od trybu, trudno nie zauważyć ogromnego wzrostu znaczenia kompetencji ministra sprawiedliwości. To faktycznie on – według własnego uznania – zadecyduje, który z sędziów pozostanie w Sądzie Najwyższym, to on zyskuje wielki wpływ na przebieg spraw dyscyplinarnych w nowej izbie Sądu Najwyższego. To także minister będzie powoływać i odwoływać prezesów sądów powszechnych i nie będzie musiał się z tego tłumaczyć. Wreszcie będzie mieć znaczący wpływ na kształt nowej Krajowej Rady Sądownictwa. Czy nie jest to zachęta do woluntaryzmu?

Łatwo można sobie wyobrazić, że taka kumulacja władzy będzie miała negatywne skutki i może prowadzić do rozbudzenia szlachetności. Może nie, może charaktery sędziów okażą się niewzruszone, oby tak było. Jednak system prawny buduje się, zakładając najgorsze możliwe scenariusze, nie najlepsze. Ten, jaki wyłania się z nowych zapisów, zakłada zaś, że minister zachowa ogromną powściągliwość, a jego podwładni szlachetność. Nie można tego wykluczyć, choć doświadczenie uczy czego innego.

W istocie najbliższe miesiące pokażą zalety lub wady zmian. Tak długo, jak ktoś mnie nie przekona, że te pierwsze górują, pozostanę, siedząc na środku barykady. ©©

RYSUNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

- 16** PIOTR SEMKA
POLITYCZNY VA BANQUE
Wejście smoka czy pyrrusowe zwycięstwo?
- 20** ROZMOWA Z MARCINEM WARCHOŁEM
OPOZYCJA NIE CHCE NIEZAWISŁYCH SĘDZIÓW
- 24** ROZMOWA Z DR. HAB. MICHAŁEM KRÓLIKOWSKIM
DOCHODZI DO ZMIANY KONSTYTUCJI
- 28** CEZARY GMYZ
SĘDZIOWIE „NAJWYŻSI”
- 30** PIOTR GOCIEK
WSZYSTKIE KOZY PIS

KRAJ

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
RÓWNIĄ POCHYŁA RADYKALIZMU
Do czego jest zdolna „totalna opozycja”?

35 WOJCIECH WYBRANOWSKI
CZERWONA FALA

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
OBROŃCY ŻYCIA NA CELOWNIKU

42 ANDRZEJ KRZYSTYŃIAK
ONI U NAS. MY U NICH

44 ŁUKASZ ZBORALSKI
CIĄGLE PADA

KULTURA

46 WOJCIECH ENGELKING
ZAGADKA WILLA SZEKSPIRA
Tajemnice ojca „Romea i Julii”



NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

CYWILIZACJA

54 WALDEMAR ŁYSIAK
TIMING
Łysiak jako zegarmistrz

OPINIE

62 PROF. ANDRZEJ NOWAK
MY CHCEMY BOGA – AMERICAN WAY CZ. 2
Gdzie w kulturze masowej jest dziś Bóg?

65 ROZMOWA Z PIOTREM WOYCIECHOWSKIM
PWPW KULTYWUJE UNIKALNĄ HISTORIĘ

HISTORIA

68 WOJCIECH GOŁONKA
ZAPOMNIANY CHESTERTON?
Obrońca wiary i rozumu

ŚWIAT

74 JACEK PRZYBYLSKI
MAŁOROSJA U GRANIC POLSKI?
Grozba rozpadu Ukrainy

76 OLIVIER BAULT
ZŁA ZMIANA NAD SEKWANĄ

78 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
DOBRY I ZŁY EKUMENIZM

80 ŁUKASZ MAJCHRZYK
MUNDIAL PO ROSYJSKU

EKONOMIA

82 STEFAN SĘKOWSKI
KONSERWATYWNA EKOWRAŻLIWOŚĆ
Zielona filozofia

SPORT

86 MACIEJ PIECZYŃSKI
WIMBLEDON ZDOBYTY
Łukasz Kubot – pierwsza rakietą RP

ŻYCIE I NAUKA

88 KATARZYNA PINKOSZ
TYKAJĄCA BOMBA
Czy ucierpią pacjenci?

WAKACJE Z „DO RZECZY”

90 PIOTR SEMKA
NORMANDIA. ŚLADAMI CLAUDE'A MONETA
W raj u mistrza impresjonizmu

butiki **SWISS** PREZENTUJĄ

CZAS NA AKTYWNE LATO

Wakacyjne wojaże to idealna okazja
do ekstremalnie aktywnego spędzania czasu.

Warto wyposażać się w zegarek,
który niezawodnie dotrzyma nam tempa.



[201 702] - **1 380 zł**



BOSS
HUGO BOSS

[226 217] - **1 490 zł**



CITIZEN

BETTER STARTS NOW

[232 834] - **2 290 zł**



LUMINOX
SWISS MADE

[242 418] - **1 780 zł**

PROMOCJA

swiss.com.pl     

eprasa.pl 852bc6bc56

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu dwa listy: w sprawie naszej najnowszej historii oraz niepokojących tendencji w Kościele katolickim. Zapis bieżących wydarzeń i komentarze oraz możliwość włączenia się do dyskusji na naszej stronie: www.dorzeczy.pl.

Dość mamy legend

Media wszelkich stron sporu politycznego denerwująco brną w szablonowe określanie ludzi znanych z czasów powstania Solidarności, nazywając ich legendami i bohaterami, np. Frasiński, Rulewski, Pinior.

Tymczasem wielu tych znanych „bohaterów” oraz „legend” zaspokoilo swoje potrzeby materialne, dochodząc do wysokiego statusu społecznego i materialnego dzięki wsparciu milionów ludzi, którzy uwierzyli w ich dobre intencje, że na pierwszym miejscu stawiają interes publiczny i dobro Polski. W latach 80. ubiegłego stulecia w zakładach pracy całej Polski co miesiąc zbieraliśmy pieniądze na pomoc dla działaczy Solidarności. Z zagranicy też szły okazałe kwoty na ten sam cel. Transformacja ustrojowa bezlitośnie rozprawiła się z pracownikami tych zakładów pracy, które w większości zlikwidowano, chociaż wiemy, że dla transformacji ustrojowej nie było to konieczne. Podobnie postąpiono z pracownikami PGR-ów, których majątki przejęli wielcy posia-

dacze, a byli pracownicy zasilili armię bezrobotnych.

Tak zwane legendy zadbały dobrze o swój prywatny interes wraz z układowymi się z nimi w Magdalence byłyimi dygnitarzami PRL. [...] Kapitał zagraniczny zainwestował w naszą gospodarkę, ale nie w jej samodzielny rozwój. Nie powstały w Polsce zagraniczne ośrodki badawczo-rozwojowe i dlatego trudno nam odrobić zaległości w rozwoju przemysłu, który jest podstawą gospodarki krajów podobnej wielkości jak Polska. Stało się tak za



przyzwoleniem niedouczonej i szkodliwych „legend”. Dlatego nie drażnijcie nas, mianując tym honorowym tytułem ludzi, których wyrażane poglądy dyskwalifikują jako autorytety polityczne i legendy. Teraz, gdy Polska potrzebuje wielu zmian w różnych dziedzinach, aby nadrobić dystans do krajów bardziej rozwiniętych, ogromny sprzeciw totalnej opozycji, wspieranej przez „uwłaszczonych” legendy, budzą rozwiązania legislacyjne naśladujące ustawo-

dawstwo krajów uznawanych za przykład ugruntowanej demokracji. Dla opozycji, która wykazała się kompletnym brakiem kompetencji, zaangażowania i dobrej woli, gdy sprawowała władzę, Polska ma być tylko rezerwuarem siły roboczej przodującego Zachodu, a zaoferowanie legislacyjne ma temu sprzyjać. Pytam, komu to służy?

Z poważaniem
Ryszard Boruta, Bielsko-Biała

„Egzorcyzm nad Polską i pentekostalizacja”

Trzy uwagi do tekstu ks. Andrzeja Kobylińskiego („Do Rzeczy” 27/2017):

1) Jeśli egzorcyzmy zbiorowe są niebiblijne i nic nieznaczące, to jak traktować papieskie „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi”.

2) Czy nie jest tak, że Biblia wspomina o przekleństwie kogoś, do któregoś pokolenia – za grzechy tej osoby (pamiętać należy również o deklaracji tłumy skazującego Jezusa na śmierć „Krew Jego na nas i na dzieci nasze”)? Czy zatem nie trzeba również przeproszać za grzechy wspólnoty?

3) Jakkolwiek z dużym dystansem podchodzę do darów języków i śmiechu, które w mojej ocenie czasem są efektem samonakręcania się, to jednak muszę stanąć w obronie charyzmatyków – a konkretnie o. Johna Bashobory – po pierwsze i najważniejsze – jest on wierny nauce katolickiej.

Marcin z Krakowa
(nazwisko do wiadomości redakcji)



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzechy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: Paweł Lisicki
I zastępca redaktora naczelnego: Piotr Gabryel
Zastępca redaktora naczelnego: Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz

Z ZESPOŁEM:

Sekretariat redakcji: Jacek Przybylski (I sekretarz redakcji), Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojanicz, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cendekiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Bruksela), Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Edyta Hodyńska, Jarosław Kafuk, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński,

Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torasiński, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzynski, Szwach Weiss, Piotr Wierzbicki, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Wojciech Wybranowski, Igor Zaleski

DoRzeczy.pl redaguje Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: Zofia Magdziak (zastępca), Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac
Współpraca: Miłosz A. Lodowski

Studio graficzne: Mariusz Daruk-Skarbek (szef studia), Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący), Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wojtowicz, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczewski
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz

Rysownicy: Andrzej Krauze, Cezary Krzysztofa, Mirosław Owczarek
Okładka: Jacek Domiński/REPORTER, Adam Chelstowski/FORUM
oprac. graf. JAN/MIDAS

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: Michał M. Lisiecki

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Glinowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: Michał Staszewski (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzechy.pl; tel. +48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: Anna Pawłowska-Pojawa (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki (kolportaż);
Karolina Olichwicz (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu nakładu podstawowego 288829

Nr indeksu nakładu z filmem 296430

Nakład 111 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Szukanie władzy na ulicy

Opozycja świętuje sukces. Wieczorne czwartkowe demonstracje w Warszawie były najliczniejsze od ponad roku. Ruch protestu wciąż zmienia szczyty. Raz to jest KOD, inny razem Akcja Demokracja czy Front Demokratyczny. Nie jest np. jasne, kto firmował apel o nocny marsz spod Sejmu pod Sąd Najwyższy.

Zwraca uwagę dość sprytna taktyka poruszania się wokół paru ogólnikowych haseł obrony wolności, protestu przeciw powrotowi PRL i „rządom szaleńca”. Pozwala to organizatorom unikać pytania, jaki pomysł mają na reformę sądów i spychać na dalszy plan faktyczną chęć, „by było, jak było”. W tę przestrzeń wchodzi coraz bardziej demagogia. Słynny Sok z Buraka lansuje już banner: „Prosty komunikat do młodzieży. Tylko sąd może nakazać odłączenie Internetu. Rozumiecie teraz?”.

Pojawia się również teza, że uświadomiona mniejszość ma więcej praw w życiu publicznym niż wyborcy decydujący o wyniku wyborów. Tomasz Ulanowski na łamach „Gazety Wyborczej” apeluje: „Pokażmy Kaczyńskiemu

nasz ludzki wkurw” i ogłasza: „O drodzo, jaką wybiera wspólnota, decyduje więc garstka aktywnych. I zawsze wygrywają ci lepiej zorganizowani”. I dalej: „Nie możemy, oczywiście, stosować przemocy fizycznej. Kaczyński tylko na to czeka. Aparat przemocy ma dziś w ręku strona antydemokratyczna. Ale mamy prawo się wkurzyć i ten ludzki wkurw Kaczyńskiemu i jego koleśiom pokazać”.

Problem w tym, że granica między przemocą a „pokazywaniem” wkurzenia może być bardzo płynna. Czy hasło z portalu gazety „Wyjdź na ulice, sparaliżuj miasto” – to hasło nawołujące do przemocy? Nie. Ale zachęta do zawłaszczania przestrzeni publicznej prędzej czy później dotknie tych, którzy z protestem się nie zgadzają lub choćby chcą normalnie żyć. W nocy pod Sejmem demonstranci próbowali budować barykady, aby zablokować wyjazd z Sejmu. A wszystko to pod wyzywającym hasłem: „Grzeczni już byliśmy”.

Kolejny niepokojący czynnik to rywalizacja o przywództwo nad protestującymi między Władysławem Frasyniukiem a liderami dwóch głównych partii opozycyj-

nych. Frasyniuk ze swoim stylem twardziela pod Sejmem w noc z czwartku na piątek wyraźnie zaczął mówić językiem bezpośredniej konfrontacji z władzą, co jest kontynuacją stylu próby blokady miesięcznicy smoleńskiej.

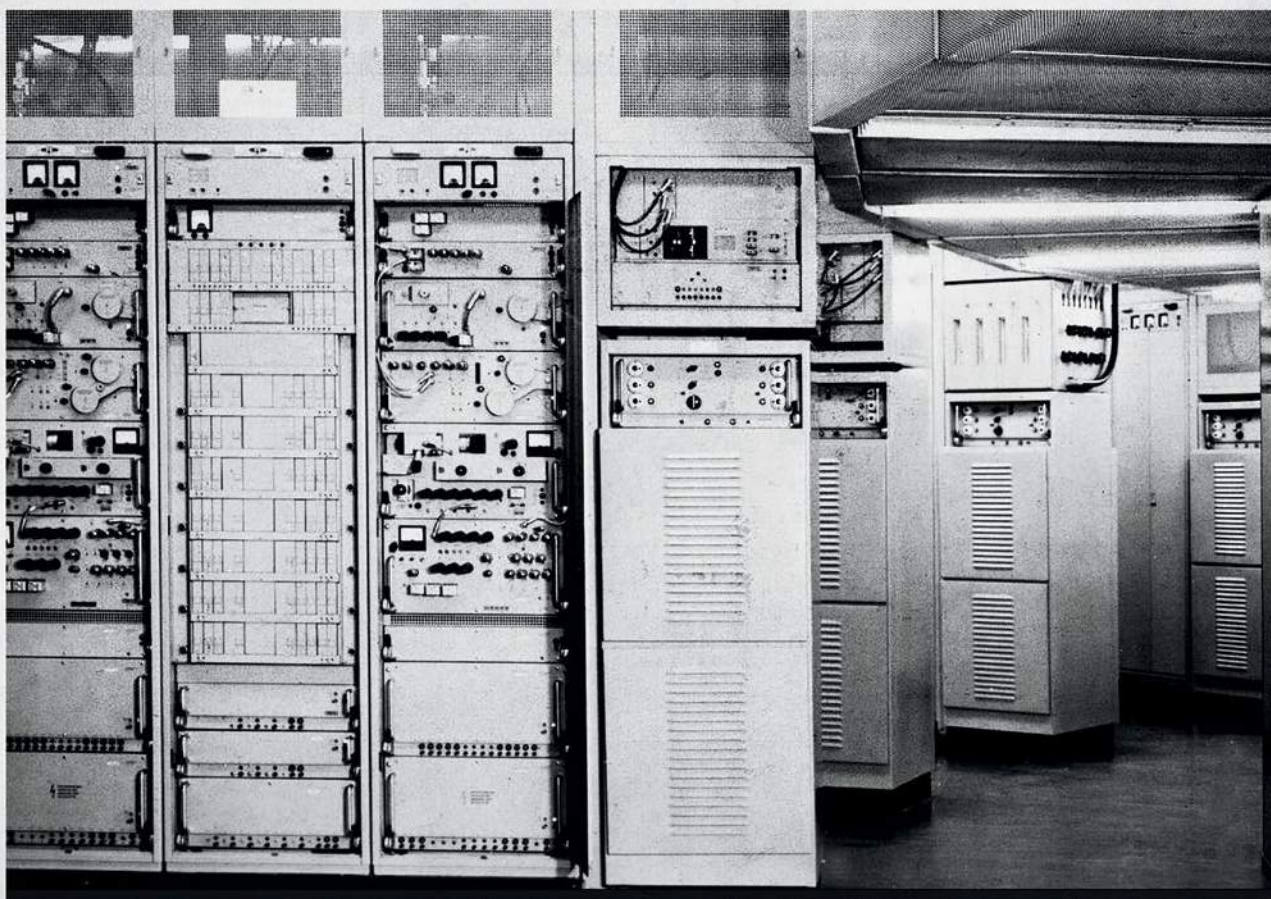
Najbliższe protesty – jak można przewidywać – skupią się na hasle prezydenckiego weta. Na razie wezwania wobec głowy państwa są stosunkowo spokojne. Widać jednak już transparenty w stylu: „Wetuj! K***a!”.

Pytanie, jak długo potrwa sekwencja demonstracji i czy organizatorom uda się zwiększyć ich liczebność. Jak na razie demonstracje w stolicy i mniejszych miastach nie przekroczyły skali protestów KOD z zimy 2015/16. Zaktywizowali się zwolennicy Zielonych, partii Razem i feministki. Ale oczywiście są i „normalni”, których przekonano, że demokracja jest zagrożona. Lekceważące wypowiedzi ministra Błaszczaka, że w czwartkowym tłumie było wielu spacerowiczów i turystów – tylko ich zdeterminują, aby wziąć udział w kolejnych protestach. ©



„MOJA POLSKA” DLA PREZYDENTA

Szwach Weiss – komentator tygodnika „Do Rzeczy”, były ambasador Izraela w Polsce, były przewodniczący Knesetu – wręczył prezydentowi Andrzejowi Dudzie swoją nową książkę. „Moja Polska” to zbiór felietonów publikowanych na łamach „Do Rzeczy” pod redakcją Radosława Wojtasa. Można w niej znaleźć zarówno wspomnienia z dzieciństwa w Polsce, jak i analizy polityczne kawalera Orderu Orła Białego. W spotkaniu w Pałacu Prezydenckim Szwachowi Weissowi towarzyszyli Paweł Lisicki oraz Piotr Gabryel. (jap) ©



CUD TECHNOLOGICZNY LAT 70.

Ludzkie błędy reliktem przeszłości.

Nowy, rewolucyjny komputer typu mainframe XJ8-C Series ułatwia i znacząco przyspiesza wykonywanie skomplikowanych obliczeń, zapewniając przy tym większą dokładność w porównaniu z ręcznymi metodami nanoszenia wykresów. Bezproblemowo i z niespotykaną precyzją wykonuje takie zadania, jak dopasowywanie krzywych, rozwiązywanie równań, pierwiastkowanie wielomianów czy tworzenie krzywych kalibracyjnych.

Supernowoczesny wyświetlacz cyfrowy ułatwia bezpośredni odczyt danych i liczb w kolumnach, dzięki czemu każdy operator dziurkarek klawiaturowych w ciągu kilku minut może opanować zasady obsługi tej potężnej maszyny.

Nie przeocz tej innowacji technologicznej! Już dziś zadzwoń w sprawie bezpłatnej prezentacji lub wyślij zamówienie do dowolnego oddziału lub biura obsługi firmy RELIKT Komp, Inc. (zlokalizowane w dużych miastach europejskich). Możesz również zwrócić się z prośbą o przesłanie obszernej broszury, pisząc na adres: Retroteka 76, 01-661 Warszawa, Polska.



LATA 70. TO ODLEGŁA PRZESZŁOŚĆ.

PRZEDSTAWIAMY JEDYNY SYSTEM OBRONY PRZECIWRAKIETOWEJ, KTÓRY MOŻE ZAPEWNIĆ POLSCĘ
BEZPIECZEŃSTWO – TERAZ I W PRZYSZŁOŚCI.



Zagrożenia, przed którymi dzisiaj stoimy, diametralnie różnią się od tych z przeszłości. Dlatego tak ważne jest, aby nasze systemy obronne dostosowane były do niebezpieczeństw, jakie niesie XXI wiek. W przeciwieństwie do innych systemów MEADS precyzyjnie chroni obszar w zakresie 360 stopni, przy czym jego otwarta architektura umożliwia bezproblemową integrację z polskimi systemami radarowymi, a w przypadku potrzeby – w partnerskiej współpracy z polskim przemysłem i przy przystępnych kosztach – dodanie nowych funkcji. W końcu nowa generacja zagrożeń wymaga nowej generacji systemów obronnych.

Odkryj świat nowoczesnych technologii obrony przeciwrakietowej – MEADS.pl



LOCKHEED MARTIN
MBDA MISSILE SYSTEMS



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Bratnia pomoc

Określenie „strachy na Lachy” chyba nigdy do niczego nie pasowało tak dobrze, jak pasuje do pogrozek Fransa Timmermansa o „rychłym uruchomieniu wobec Polski art. 7”. Pomińmy, że pan Timmermans, jak wynikało z całej wypowiedzi, ma dość blade pojęcie, co tak straszne-gonoć się zdarzyło w Polsce, że trzeba ją pilnie ukarać. Najwyraź-

po bandzie i usprawiedliwiać go mogło tylko to, że odpowiadał chamową na wcześniejszą chamową PO – to tym bardziej nie ma takiej możliwości teraz. W istocie bowiem trudno ustawom przyjętym przez Sejm, zwłaszcza po poprawce prezydenta, zarzucić jakieś konkretne odstępstwa od europejskich norm. W zasadzie upodobiłoby one polski wymiar sprawiedliwości do niemieckiego, z tą różnicą, że w Niemczech wpływ polityków na wybór sędziów jest znacznie większy niż w nowej ustawie w Polsce.

Dlaczego Timmermans miał zadać sobie trud zapoznania się z konkretnymi, pospiesznie ogłasza wszczęcie ważnej procedury na podstawie żółtego paska w TVN24? Odpowiedział na to pytanie sam, mówiąc, że w walce z polskim rządem „czuje wielkie wsparcie z Polski”. Te słowa uzupełnia artykuł z serwisu Politico, gdzie niedawno ujawniono, że eurodeputowani

międzynarodówki chadeckiej wręcz skarżyli się w ostatnich dniach na nachalność swych polskich kolegów z PO, starających się wymusić na nich – i na kim tylko popadnie – jakieś antypolskie oświadczenia.

Udało im się nie tylko z Timmermansem – w kwestii, jakie reformy wolno nam przeprowadzać, pouczył nas też przewodniczący PE, ministrowie spraw zagranicznych Niemiec i Luksemburga oraz paru innych. Wszyscy bez cienia wiedzy o sprawie, tak po prostu z uprzejmości dla polskich kolegów błagających, by ich wesparli w politycznej walce, machają polskiemu rządowi przed nosem pistoletem.

Tylko że my wiemy, iż ten pistolet jest nienabyty. Aż prosi się więc, żeby europejskim komisarzom, ministrom i przewodniczącym, którzy ruszyli z bratnią pomocą dla „opozycji totalnej”, zacytować stare polskie powiedzenie: „Nie strasz, nie strasz, bo się zdziwisz!”. ©©

Trudno ustawom przyjętym przez Sejm zarzucić jakieś konkretne odstępstwa od europejskich norm

niej nie orientuje się też w prawie wspólnotowym i własnej sytuacji.

Otóż skoro art. 7 i procedury „kontroli praworządności” nie udało się Komisji Europejskiej uruchomić w sprawie Trybunału Konstytucyjnego, gdzie PiS jechał



PIOTR KOWALCZYK
POLSKIE RADIO

PIECZEŃ RZYMSKA

O chorobach umysłu

Gianni Scarpa prowadzi plażę pod Wenecją, którą zamienił w faszystowski skansen: portrety Mussoliniego, napisy: „Dziadku Benito, wróć i zrób porządek”. Ba! Wygłasza tam przez głośnik mowy à la Duce. Dyskusje, czy to tylko wygłup, tracą sens przy tabliczkach na kabinach z napisem: „Komora gazowa”. Scarpa urodził się kilka lat po tym, jak przestały dymić piece Auschwitz. Nie padł więc ofiarą kretyństwa Internetu, które sieją spustoszenie w młodych głowach. Mimo to uznał, że hekatomba Żydów warta jest rehotu.

Obóz postępu odpowiedział na szaleństwo szaleństwem. Do

parlamentu trafił projekt ustawy, która przewiduje 2,5 roku więzienia za posiadanie faszystowskiego gadżetu, np. kalendarza z Mussolinim. Na szczęście kilku rozsądnych wytłumaczyło szaleńcom, że to ustawa godna Stalina. Notabene Ojca Narodów, podobnie jak Lenina, można w Italii wielbić bezkarnie.

Trzecia osoba w państwie, przewodnicząca Izby Deputowanych Laura Boldrini, arcykapłanka kultu poprawności w Italii, uznała, że w walce z symbolami faszyzmu trzeba pójść na całość. Stwierdziła, że monumentalne budowle czasów Mussoliniego to prowokacja: nie dość, że stoją, to drażnią partyzan-

tów ruchu oporu. Najlepiej więc byłoby je wyburzyć. A to znaczy, że tylko w Rzymie z powierzchni ziemi powinny zniknąć: dzielnica EUR, największy w Europie uniwersytet Sapienza, gmach MSZ etc.

Znawcy przedmiotu złapali się za głowę: „To nie pomniki faszyzmu, lecz pomniki dobrej, nowoczesnej architektury”. Postępowka Boldrini, inaczej niż irytujący prostak Scarpa, jest wykształcona, zna języki i służyła w ONZ, więc powinna o tym wiedzieć.

Zastanawiam się, dlaczego, gdy troszkę poskrobać postępowców i superpoprawnych, niemal zawsze spod lakieru wyziera talib. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Wielka szansa prezydenta

Gdyby próbować sprowadzić chaotyczny ubiegły tydzień do możliwie przejrzystego obrazu, pozostałyby dwa epizody: Jarosław Kaczyński, krzyczący nocą w Sejmie o kanałach, które zamordowały mu brata, oraz walący pięścią w stół (figuratywnie rzecz jasna) w sprawie reformy sądownictwa prezydent Andrzej Duda. Co łączy te dwa zdarzenia poza tym, że miały miejsce tego samego dnia?

Obóz konserwatywny – ale pojęty szeroko, znacznie szerzej niż PiS – potrzebuje lidera.

Lidera potrzebują ci, którzy mają już dość tego, że w powietrzu można powiesić siekiere

Być może – jest to oczywiście założenie bardzo daleko idące – w tych dwóch scenach ujrzeliśmy przez moment symboliczny początek wielkiej zmiany na politycznej scenie. Jeden lider, w końcu, po wielu próbach, niestety skutecznie sprowokowany do absolutnie nieakceptowalnej, nieparlamentarnej wypowiedzi w oku politycznego cyklonu, która to wypowiedź – tym razem jednoznaczna, jasna i bez potrzeby wyrwywania jej z kontekstu – będzie się za nim ciągnąć latami, do znudzenia powtarzana w klipach, memach, komentarzach. Będzie go już zawsze obciążać.

Drugi lider „in the making” (czyli w trakcie lepienia), wielokrotnie przez tego pierwszego lekceważony, a nawet poniewierany (takie historie można usłyszeć w Pałacu Prezydenckim), w końcu tupnął nogą i na serio zaczął budować własny obóz polityczny. Akurat w momencie, gdy wobec emocji już naprawdę niszczących potrzebne jest przywództwo sięgające poza własny obóz polityczny. Pod tym względem moment i temat, wybrany przez Andrzeja Dudę, były znakomite.

Coś się kończy, coś się zaczyna – być może. Obóz konserwatywny – ale pojęty szeroko, znacznie szerzej niż PiS – potrzebuje lidera. Lidera potrzebują ci, którzy mają już dość tego, że w powietrzu można powiesić siekiere. I może właśnie ten lider zaczyna się, po długim dojrzewaniu, rodzić.

Prezydent musi nabrać odwagi i pewności siebie. Uwierzyć, że wolno mu grać własną rolę, którą sam sobie napisze. Nie musi przyjmować scenariuszy z zewnątrz. Musi w rosnącym wariactwie zachować spokój. W nowym akcie sztuki miał bardzo dobre wejście, a na widowni zasiada wielu jego fanów, zmęczonych coraz gorszą grą innych aktorów, którzy się już opatrzli. To jego kapitał.

Ma przed sobą wielką – i zapewne niepowtarzalną – szansę. Z całego serca życzę mu, żeby ją wykorzystał. ©©

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO

DO
RZECZY

WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA

PREZENT



Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 27 sierpnia 2017 r.



ZAMÓW:

www.ksiegarniadorzeczy.pl

☎ 12 431 25 78

GENIALNA JAK ISABEL

Isabel po raz nie wiemy który udzieliła wywiadu. Skarży się w nim na niegodziwość swojego eksmęża Kaza Marcinkiewicza, który ponoć nie płaci jej zasądzonych alimentów. – Mnie już nic nie łączy z tym człowiekiem. Chciałabym, żeby zostawił mnie w spokoju. Ja do nikogo i o nic nie mam żalu. Nie chcę z tym panem utrzymywać żadnych kontaktów. Nie odczuwam takiej potrzeby. Jeśli już muszę, to kontaktuję się z nim, by przypomnieć o długu, który wobec mnie ma – zapewnia Isabel. Tak bardzo Kaz jej nie obchodzi, że ciągle o nim gada każdemu, kto chce słuchać. Sęk w tym, że chętnych do słuchania coraz mniej, co Isabel niezmiennie martwi. Dlatego wymyśliła, że napisze nową książkę. O Kazimierzu rzecz jasna. Jedną już napisała, nosiła tytuł „Zmiana” i poświęcona była jej refleksjom nad życiem i opisom tegoż życia z Kazem. Sukcesu nie było, ponoć długo nikt nie chciał tej książki wydać, parę fragmentów zacytowały tabloidy i tyle. Teraz będzie inaczej, teraz będzie hicielem. Tak mówi Isabel. – Tamta książka nie służyła celowi zarobkowemu, tylko przedstawieniu mojego wizerunku i zaprzeczeniu temu, co pisały o mnie media. Pod tym względem osiągnęłam sukces i jestem zadowolona – mówi. – Zdradzę, że mam zamiar napisać kolejną książkę. O życiu, na podstawie własnych doświadczeń. Mogę zapewnić, że będzie genialna. Pisanie sprawia mi przyjemność. To mnie trzyma przy życiu – deklaruje. Może ktoś w końcu powinien wytłumaczyć Isabel, że chodzi o to, by przyjemność miał ten, kto czyta, a nie tylko ten, kto pisze. Albo nie, bo jeszcze się zniechęci i porzuci pisarstwo. A to zdecydowanie nie leży w interesie żadnej rubryki satyrycznej!

ZRANIONA KARIERA

Modelka Sandra Kubicka ponad osiem lat temu wyjechała z Polski i rozpoczęła karierę w Stanach Zjednoczonych. Wiedzie jej się nieźle, przez magazyn „Maxim” została uznana za jedną z najseksowniejszych kobiet świata, a w tym roku znalazła się na rozkładówce amerykańskiego „Playboya”. W wywiadach narzeka

jednak na swoją popularność. Mówi, że czasem chciałaby móc zniknąć z show-biznesu. – Czasem chciałabym zniknąć, zapomnieć o Instagramie. Ale to źle wpłynęłoby na moją karierę. Są takie dni, kiedy chciałabym być normalną dziewczyną-



FOT. FORUMGAMMA.COM.PL



FOT. PAVEL DORADA

ną, nie opowiadać o swoim życiu, nie wstawiać czegoś na Instagram i po prostu zniknąć, ale wiem, że nie mogę, jeśli to zrobię, będzie to miało swoje skutki i zrani moją karierę – opowiada. Jeszcze bardziej zrani samą Sandrę, bo może być tak, że nikt nie odnotuje jej zniknięcia. I co wtedy?

JAK DOZOWAĆ SIEBIE

Główną rolę w nowym serialu TVN ma zagrać aktorka Maja Ostaszewska. Serial ma być trochę medyczny o życiu lekarzy i pacjentów, a trochę kryminalny. Przynajmniej takie są zapowiedzi. Ostaszewska nie kryje zadowolenia, że po serialu „Druga szansa”, w którym grała drugoplanową rolę (główną powierzono Małgorzacie Kożuchowskiej), stacja tym razem postawiła na nią. – Granie głównej roli w serialu to fantastyczne wyzwanie, trzeba mieć umiejętność rozłożenia dramaturgii na 13 odcinków. Pojawiają się kolejne sezony. Moja bohaterka ma być niejednoznaczna – mówi. – To jest dla mnie ważny argument, kto reżyseruje, czy to serial, czy film, kto robi zdjęcia, mam dużą wrażliwość na stronę wizualną. Nie gram wiele w serialach. W ogóle staram się dozować siebie – dodaje. Trzymamy mocno kiuki! Za to, by jej starania były bardziej owocne niż dotychczas.

PRIORYTETY

Początkująca, młoda aktorka Julia Wieniawa szuka swojego miejsca w show-biznesie. Sama jeszcze nie do końca wie, co chciałaby robić. Na razie więc skupia się na budowaniu swojej popularności w mediach społecznościowych. Pomaga jej fakt, że jest dziewczyną aktora Antoniego Królikowskiego, znanego głównie z bycia synem swoich rodziców, aktorów. Wieniawa wciąż jednak nie może się zdecydować, czy jej większą pasją jest aktorstwo, czy jednak muzyka – bo próbuje też swoich sił jako piosenkarka. Niedawno podpisała kontrakt z wytwórnią Kayah, należącą do piosenkarki Kayah. – To megawytwórnia. Wydają Brodkę, Rojka, Kayah – nie kryła ekscytacji Wieniawa. Sęk w tym, że współpraca, jak donoszą kolorówki, zaczęła się od zgrzytu. Kayah nie jest zachwycona tym, w jaki sposób Julia promuje się w mediach społecznościowych. Właśnie nie spodobały jej się filmiki i zdjęcia z festiwalu Open'er, na których skacowana Wieniawa prosiła internautów o porady na ciężki dzień po imprezie. Kayah, jak donosi „Fakt”, miała ją wezwać na poważną rozmowę. – Kayah nie chce być utożsamiana z artystami słynącymi ze skandali, a nie muzyki – mówi „Faktowi” jeden z pracowników wytwórni. – Zwołała spotkanie, na którym zarządziła, że aktywność Wieniawy w mediach na czas wakacji ma być ograniczona – dodaje. Żeby się Kayah nie zdziwiła! Szybciej Julka zrezygnuje z bycia piosenkarką niż ze Snapchata czy z Instagrama. ©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, podkarpacie tak jak cieszyło się z wizyty Trumpa i machało mu chorągiewkami, tak teraz cieszy się, że do tego kraju przyjechały młode osoby książęce z Anglii ze swoimi rojal bejbis. I w dodatku jeszcze jest to używane jako dowód, iż ten kraj wcale nie jest izolowany na arenie międzynarodowej.

Otóż jest. Zauważcie bowiem, iż kto odwiedza ten kraj? Prezydent Ameryki, która nawet nie należy do Zjednoczonej Europy, oraz osoby z rodziny królewskiej, a – jak wiadomo – posiadanie króla to przeżytek, obciach i siara, od czego w Europie się bardzo często odchodzi na rzecz Demokracji. Tego kraju nie odwiedził natomiast żaden liczący się europejski urzędnik, żaden Guy ani Frans. Tym bardziej więc bawi nas to tradycyjne poczucie mocarstwowości, iż popierają nas i lubią Trump i małe rojal bejbis xD

Czytaliśmy, iż Robert Lewandowski ubezpieczył swoje nogi na 340 mln zł. Uważamy, iż jest to niesprawiedliwe społecznie i w tej sytuacji oczekivalibyśmy uruchomienia redystrybucyjnych funkcji UE (iż na Państwo – w sensie ten kraj – nie możemy liczyć). Otóż naszym zdaniem Lewandowski powinien, kierując się wrażliwością społeczną i odpowiedzialnością, przeznaczyć swoje nogi na jakieś szczytne cele. Na przykład dofinansowanie środowisk LGBTQWERTYXYZ, na

walkę z globalnym ociepleniem lub po prostu oddać ją lewicowym aktywistom, którzy najlepiej zaopiekują się tymi środkami i sami zdecydują, kto jest najbardziej potrzebujący, tzn. komu się nogi Lewandowskiego należą.

Mamy nadzieję, iż ten rażąco przykład dysproporcji społecznej wstrząśnie świeckimi sumieniami eurodecydentów, iż nie może tak być, że czyjeś nogi są cenniejsze niż głowy innych osób!!!

Życie w Krakowie w czasie wakacji bywa uciążliwe, a to wszystko przez beneficjentów programu „Rodzina 500+”, którzy już przestali się mieścić w górach i nad morzem, postanowili więc uprzykrzać nam życie w naszym wielkim miejskim ośrodku. Wiecie, jakie to przyjemne uczucie, kiedy idziecie sobie spacerkiem rano do korpo, słyszycie gdzieś niedaleko język angielski lub inny europejski, a od czasu do czasu musicie przekroczyć odpoczywającego po wyczerpującym clubbingu na Plantach turystę z Wielkiej Brytanii. Radośnie, kolorowo, europejsko i bez barier.

Tymczasem te wakacje to istna plaga polskich rodzin z osobodziećmi. Wszędzie wąsate janusze obżerają się obwarzankami, ich osobodzięci ganiają osobogółbie, zewsząd słychać wrzaski MAAMAA, TAAATAAA i co ulicę ktoś zaczepia nas, iżby mu zrobić zdjęcie pod następnym krakow-

skim kościołem. Polacy piją nawet alkohol, a niedługo zaczną rozstawać parawany na Rynku i kąpać się w fontannach. Daleko to wszystko od cywilizowanej Europy.

Iż jesteście wege, pewnie nie zauważyliście podwyżek cen masła. My of kors też jesteśmy wegepozytywni, ale od wysłuchiwanie narzekań Nowego z Tarnowa, iż będzie musiał się chyba przerzucić na smalec albo łój, postanowiliśmy sprawdzić, o co kaman.

Otóż okazuje się, iż masło podrożało. Podobno dlatego, iż jest go mało na zachodnich rynkach. Nic dziwnego, w końcu Zachód od dawna słynie z postępu, a tamtejsze ekologiczne krowy co prawda dają masło, ale już roślinne. Wśród nielicznych pozostałych osób niewegennormatywnych masło stało się więc towarem poszukiwanym i stąd taka jego cena. W tym kraju oczywiście masło trzyma się jeszcze mocno, ale iż jesteśmy w UE i nasze rynki są połączone, masło zaczęło drożeć. Mamy nadzieję, iż Unia tak to sobie zaplanowała, iż przeciętne go janusza na masło niebawem nie będzie stać, więc zacznie smarować bezglutenowe pieczywo tylko nożem (of kors ekologicznym), co pozwoli zahamować wykorzystywanie osobokrówek. ©©

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)



Stało się! Prezydent Andrzej Sebastian zdradził i jest jak Bronisław Maria Komorowski – to wersja rozpowszechniana na mieście przez kręgi związane z twardym skrzydłem PiS. Obawiamy się, że Kaczor-Dyktator nie podzieli ich zdania. Heroldem ultimatum prezydenta w sprawie zmian w KRS był u niego Krzysiek Szczerski i okazało się, że został przyjęty całkiem miło.

Wersja o zdradzie jest jednak wciąż kolportowana i obudowywana dodatkami: że to niedobry Gowin nakręcił Andrzeja Sebastiana, że wszystkim kręcił niedobry Adam Bielan, a z oddali cmokał w zachwycie cichy patron – nadpremier Morawiecki. Jest pewien kłopot z tą wersją. Wszyscy, którzy ją rozpowszechniają, są przyjaciółmi Zizou Ziobry.

dwaj panowie **g**

Mamy jeszcze trochę paliwa dla miłośników teorii spiskowych. A wiecie, że w pałacu Andrzeja Sebastiana bardzo często bywa prezes Trybunału Konstytucyjnego Julia Przyłębska? I w dodatku Andrzej z Julią sporo rozmawiają. Czy to nie jest podejrzane? Czy jednak nie powinien mieć tam wstępu tylko Jojo Brudziński?

Zły Donald z Brukseli (nie mylić z dobrym Donaldem z USA) bardzo chciał się spotkać w sprawie sądów z prezydentem Andrzejem Sebastianem, ale nie został przyjęty. Nie dziwi nas to. Rudy Donald domagał się, by do spotkania doszło w czwartek po południu. Oznaczałoby to, że rozmowy Tusk-Duda zakończą się w pałacu akurat wtedy, kiedy zacznie się na Krakowskim demonstracja UB-ywateli RP, KOD-uchów i innych Frasygniuków. I zły Donald mógłby tam przypadkowo zajrzeć z tragarza-

mi. I przypadkowo dostać brawa. Sprytny ten Donald, ale i Andrzej nie w ciemnię bity.

Grzysiek Schetyna strasznie się żołądkował, że Andrzej Sebastian odmówił audiencji Donaldowi. Niesłusznie. Zły Donald pojawiłby się przecież wśród protestujących w swoim europejskim garniturze, co sprawiłoby, że wygnieciona niebieska koszulka polo, w której walczy o demokrację Schetyna, mogłaby wypaść jeszcze gorzej, niż wypadła przed Sejmem. Co wydawałoby się niemożliwe.

Apropos złego Donalda. Pamiętajmy, jak w czasach, gdy Trybunałem Konstytucyjnym kierował guru Rzepliński, a śp. Lech Kaczyński spierał się z Tuskiem o to, kto powinien reprezentować Polskę w rozmowach z instytucjami unijnymi, Trybunał Rzepliński orzekł, że premier. Wychodzi na to, że zły Donald zabiegał o spotkanie z niewłaściwym politykiem. Bo powinien z premier Bełatą.

Tymczasem przybywa obrażonych słowami Kaczora-Dyktatora o kanaliach, które zamordowały mu brata, a teraz sobie wycierają zdradzieckie mordy jego nazwiskiem. Mamy sugestie, by zanim totalniacy z Peło i Nowoczesnej Kropki obrażą się do końca, najpierw ustalili, kto z ich strony sali wołał podczas debaty: „Zadzwoń do brata”.



FOT. ROBERT CAROZINSKI

Walka o wolność, demokrację i Gersdorf przynosi już pierwsze ofiary. Myszką Agresorką z Nowoczesnej Kropki tak mocno waliła ręką w stół na posiedzeniu sejmowej komisji, że ma teraz na tej ręce wielkiego krwiaka. Nie bez kozery KOD Kapela śpiewała: „Choć przyjdzie się zalać krwią, myśli nasze wolne są”.

Ofiary są po obu stronach. Na przykład minister Błaszczak chudnie w oczach i być może niedługo całkiem zniknie. Pytany, o co chodzi, odparł, że to ze zgryzoty, której przysparza mu kodziarstwo.

Ale oczy śmiały mu się podczas repliki okrutnie. Przytaczamy tę opowieść ku przestrodze kodziarstwa. Nie ma groźniejszych ministrów spraw wewnętrznych od tych, którzy mają poczucie humoru.

My tam od razu wiedzieliśmy, że bój w Sejmie wygra PiS. Nie bez powodu obfita delegacja ludzi Kaczora-Dyktatora pojechała wcześniej oglądać rekonstrukcję bitwy pod Grunwaldem. Jak się uczyć, to u najlepszych.

Bitwa przyniosła jeszcze inne efekty. Senator Jan Maria Jackowski znany z wyjątkowo intensywnej opalenizny, opalił się pod Grunwaldem jeszcze bardziej. Ponieważ dzięki temu odcień Jackowskiego zaczął przechodzić w miedź, poważnie zastanawiamy się nad nową ksywką dla niego. Może być Winnetou, może być i Inczuczuna.

PaWEŁ KUKIZ wyznał, że gdy usłyszał ultimatum prezydenta Andrzeja Sebastiana, ucałował ze szczęścia telewizor.



To znaczy prezydenta, w samo czołko. Jesteśmy podejrzliwi. Bo na jaki program wtedy był nastawiony ten telewizor? Przyszanacie przecież sami, że co innego całować TVN24, a zupełnie co innego TVP Info.

Czekamy z niecierpliwością na podsumowanie całego zamieszania przez ekstremę nieprzepadającą za starszymi braćmi w wierze. Tak się bowiem składa, że tego samego dnia, kiedy prezydent Andrzej Sebastian zdradził, był u niego Szewach Weiss, a premier Bełata spotykała się w Budapeszcie z prezydentem Izraela Benjaminem Netanjahu. Pytanie do ekstremy: i wyście tego nie zauważyli? Muszą wam o tym mówić takie szabes goje jak my?

Wracając na chwilę do Donalda – ale tym razem dobrego, amerykańskiego. Dementujemy plotki, jakoby Kaczor-Dyktator nakrzyczał na placu Krasińskich na Krzyśka Szczerskiego. Podobno było dokładnie odwrotnie. Kaczor ofuknął Srebrnego Lisa Dyplomacji za burdel z zaproszeniami do łoża honorowej, a kiedy Waszczu próbował zrzucić winę na Krzyśka, Kaczor-Dyktator miał stwierdzić, że Szczerski jest od poważnej polityki, a zaproszeniami powinien się zająć Waszczu. Ale co my tam wiemy.

Z okazji boju o sądy w „Rzepie” pojawiła się apolityczna sonda, w której przypadkowych apolitycznych biznesmenów pytano o zdanie. Wśród nich wystąpił apolityczny Jerzy Mazgaj, ten, o którym portal NaTemat pisał w tekście o wieczorze wyborczym w sztabie PeŁo: „Biznesmen twierdzi, że z partią łączy go bliskość światopoglądowa. Nazywa siebie core’owym wyborcą Platformy Obywatelskiej. – Nie wstydzę

się udzielać wsparcia partii, z którą od lat sympatyzuję. Nie oczekuję niczego w zamian, chcę jedynie, żeby rządzili mądrzy i odpowiedzialni ludzie”. Jesteśmy zdziwieni. To Mazgaj nie wyjechał jeszcze z Polski? Przecież zapowiadał, że tak zrobi, jeśli wygra PiS.

Wcieniu wiekopomnych wydarzeń toczy się prawdziwa historia. Posłanka Andżelika Możdżanowska odeszła z peezełu i poszła nie wiadomo dokąd. Bardzo chcieli ją u siebie koledzy z Nowoczesnej Kropki, ale ona z nimi nie chciała. W pełni rozumiemy panią Andżelikę.

Skoro już o peezełu – chcielibyśmy oficjalnie rozpocząć sezon ogórkowy i sięgnąć po informacje nieistotne. Na przykład mało kto wie, że nasz zielony brat Władek Kosiniak-Kamysz został niedawno honorowym strażakiem OSP Bieniaszowice-Okręg. Bardzo nas to cieszy. Honorowy strażak może tak jak prawdziwy „korzystać z urządzeń i sprzętu będącego własnością OSP”. Jak więc będzie potrzebna remiza na tańce i wóz, żeby polewać UB-ywateli RP, to my od razu pędzimy do Władka.

Ciekawi nas inna rzecz. Honorowym strażakiem może zostać jedynie członek OSP szczególnie zasłużony dla ochrony przeciwpożarowej. Zastanawiamy się nad zasługami Władka K.-K. Może zasłużył się tym, że nie przeszkadzał?

Strażak honorowy, dodajmy, ma prawo używać munduru i odznak. Zachęcamy wszystkich do wyobrażenia sobie Kosiniaka w mundurze. Może być pod portretem Waldemara Pawłaka. Jeśli takowe nie wiszą jeszcze w remizach, to błąd.

Ciąg dalszy wiadomości ogórkowych. Rysiek Henry Czarnecki został bardzo ważnym Azjatą. Ale tylko w połowie. Wybrano go bowiem w Seulu na wiceprzewodniczącego Asia Europe Political Forum. Czyli druga połowa Ryśka jest jednak europejska. Martwi nas, że skoro jest pół Azjatą i pół Europejczykiem, to nie zostało już nic dla Polski. Martwi nas też, co powie Kaczor-Dyktator, jak się dowie, że w Seulu chwalono wolność prasy, ze szczególnym uwzględnieniem jej roli w obalaniu rządów i prezydentów. ©©



Polityczny va banque



Piotr Semka

Prezydent Andrzej Duda interweniując w konflikt wokół ustawy o Sądzie Najwyższym, po raz pierwszy postawił ultimatum partii, z której wyszedł

Na krótką metę zyskał uznanie jako polityk, który wszedł ostro na polityczną scenę. Wszystko wskazuje na to, że jego efektowny wist ułatwił PiS przeforsowanie ustawy o SN w parlamencie. Jeśli jednak wrześniowe negocjacje PiS z Kukiz'15 i mniejszymi grupami nie zakończą się szybkim powodzeniem – była partia prezydenta może oskarżyć go, że uczynił PiS zakładnikiem Kukiza i rozwodnił zmiany.

Jak wyglądała ta skomplikowana gra interesów, która toczyła się na linii prezydent – Jarosław Kaczyński – Kukiz'15 i opozycja totalna?

NAJWAŻNIEJSZA BITWA PREZESA

Przygotowania do sejmowej batalii w kwestii reformy sądownictwa trwały w PiS od wiosny, ale swój finał znalazły w czerwcu. Dla nikogo nie było tajemnicą, że jest to reforma, do której Jarosław Kaczyński, z wykształcenia prawnik, osobiście przywiązuje największą wagę. Na przełomie czerwca i lipca od polityków z czołówki PiS można było usłyszeć opinie, że „naczelnik chce przeforsować trzy ustawy reformujące wymiar sprawiedliwości – o KRS, o ustroju sądów powszechnych i o Sądzie Najwyższym na zasadzie blitzkriegu w ostatnim tygodniu lipca, do 20–21 lipca – tuż przed początkiem sejmowych wakacji”. Można się domyślać, że uznano, iż kanikuła osłabiła zdolność mobilizacji opozycji. Znaczenie miał prozaiczny fakt – posłowie wykupili zagraniczne wyjazdy i nie byłoby chętnych do okupacji sali sejmowej.

Od początku jednak zwracało uwagę pomijanie prezydenta Andrzeja Dudy przy pracy nad reformą sądownictwa. Projekt, choć formalnie poselski, powstawał w ścisłej koordynacji z ministrem sprawiedliwości Zbigniewem Ziobrą. Ten brak kontaktu dziwił, tym

bardziej że głowa państwa przejawiała żywe zainteresowanie sposobem zreformowania wymiaru sprawiedliwości. Wiosną prezydent Duda skierował do Trybunału Konstytucyjnego zapytanie o zgodność z konstytucją zapisów „Ziobrowego” projektu ustawy o KRS (trybunał nie dopatrzył się przekroczeń). Dopiero tuż przed 10 lipca miało dojść do spotkania głowy państwa z Ziobrą, który miał ogólnikowo poinformować o zarysach projektów. Co ciekawe, nie słyhać, by Andrzej Duda postawił wtedy jakieś warunki w kwestii swoich prerogatyw w nowych ustawach, choć projekt PiS przewidywał dla niego jedynie rolę depozytariusza oświadczeń majątkowych członków Sądu Najwyższego.

Być może był wówczas zaaferowany polityką zagraniczną – wizytą Trumpa, szczytem Trójomorza czy wizytą brytyjskiej pary książęcej. Dlaczego lider PiS wolał, by to Ziobro decydował w sprawach kształtu SN, a nie prezydent? No cóż, koszula bliższa ciału. Kaczyński chciał bardzo radykalnej zmiany, a Pałac Prezydencki ponoć podejrzewano o zbytnią miękkość w doborze kandydatów. PiS nie docenił jednak, jak nośnym argumentem dla opozycji będzie zarzut o bezpośrednie podporządkowanie sędziów partyjnemu ministrowi sprawiedliwości. Opozycja „podjęła piłkę”.

Ustawa o KRS została przegłosowana 12 lipca, a już 16 lipca doszło do wielkiego wiecu opozycji. Jeszcze mocniejsze wrażenie zrobiła zorganizowana tego samego dnia wieczorna demonstracja bez partyjnych szyldów pod Sądem Najwyższym z udziałem ok. 4 tys. ludzi.

Wszystko wskazuje na to, że poniedziałek 17 lipca był momentem, gdy Andrzej Duda uznał, iż nie może być poza grą. Być może dotarło do niego, jak dalece nowe ustawy odsuwają go od decyzji w kwestiach sądów. Może uznał, że jest okazja, aby rozładować zarysowujący się kryzys polityczny z korzyścią dla swojego wizerunku.

KUKIZ WKRACZA NA SCENĘ

Sposób na prezydenckie „wejście smoka” podsunął Paweł Kukiz, który wraz ze swoimi najbliższymi współpracownikami przybył 17 lipca do Pałacu Prezydenckiego i przekonał Andrzeja Dudę do pomysłu wyboru członków KRS przez trzy piąte Sejmu. Proporcja

NAJWAŻNIEJSZE ZMIANY W SĄDOWNICTWIE

Ustawa o Krajowej Radzie Sądownictwa uchwalona 12 lipca 2017 r.:

- Przerywa kadencję dotychczasowych członków KRS (15 sędziów, czterech posłów, dwóch senatorów) zasiadających w KRS, ich mandat wygasa po upływie 30 dni od dnia wejścia w życie ustawy.
- Nowi sędziowie do KRS mają być wybierani przez Sejm (większością trzech piątych głosów – patrz ustawa o SN z 20 lipca 2017 r.), a nie przez samorządy sędziowskie, tak jak było przed nowelizacją.
- KRS zostaje podzielona na dwa ciała – pierwsze złożone z 15 sędziów i drugie, w którego skład wchodzi: pierwszy prezes Sądu Najwyższego, prezes Naczelnego Sądu Administracyjnego, minister sprawiedliwości, czterech posłów, dwóch senatorów i przedstawiciel prezydenta. Kandydat na stanowisko sędziowskie musi uzyskać poparcie obu zgromadzeń, by jego kandydatura została przedstawiona prezydentowi.
- Jeśli zgromadzenia podejmą sprzeczne opinie na temat kandydata na sędziego, to będą miały możliwość rozpatrzenia kandydatury w pełnym składzie KRS. Pozytywna ocena kandydata wymaga uzyskania przez niego większości dwóch trzecich głosów wszystkich członków KRS.

Ustawa o ustroju sądów powszechnych uchwalona 12 lipca 2017 r.:

- Zwiększa kompetencje ministra sprawiedliwości w powoływaniu prezesów i wiceprezesów sądów; powołuje on prezesów sądu apelacyjnego, okręgowego, rejonowego oraz ich wiceprezesów na wniosek prezesów tych sądów (wcześniej przy powoływaniu prezesów sądów apelacyjnych i okręgowych potrzebna była opinia zgromadzeń ogólnych sądów; prezesa sądu rejonowego powoływał prezes sądu apelacyjnego).
- Minister będzie miał większe kompetencje w odwoływaniu prezesów i wiceprezesów sądów w trakcie kadencji, m.in. w przypadku „uporczywego niewywiązywania się z obowiązków służbowych” i „szczególnie niskiej efektywności działań w zakresie pełnionego nadzoru administracyjnego lub organizacji pracy w sądzie lub sądach niższych”; minister musi zasięgnąć rady KRS, ale jest ona wiążąca, jeśli zostanie podjęta większością dwóch trzecich głosów.
- Przepisy przejściowe do nowelizacji przewidują, że prezesi i wiceprezesi sądów mogą zostać odwołani przez ministra w okresie nie dłuższym niż sześć miesięcy od dnia wejścia w życie ustawy bez zachowania wymogów

została wybrana tak, aby pasowała do stworzenia koalicji PiS-Kukiz'15 plus małe koła „postkukizowe” i niezrzeszeni. Niewykluczone, że w Kancelarii Prezydenta snuto też marzenia o wyrwaniu PSL z obozu opozycji.

Możliwą argumentację Kukiza dobrze wydaje się odgadywać jeden z internetowych memów, na którym lider „antysystemowców” mówi w czasie spotkania do Dudy: „Ja powiem, że pana przekonałem, pan zablokuje i powie, że ma być 3/5 głosów, ja panu dam te brakujące głosy i obaj wyjdziemy na bohaterów w oczach ludzi, a wszystko zostanie tak, jak chce prezes”.

18 lipca o godz. 17.30 Andrzej Duda przedstawił ten projekt jako swój, zaznaczając jednocześnie, że bez poprawek nie podpisze nowych ustaw.

Kukizowcy szybko postawili głowę państwa w kłopotliwej sytuacji, ogłaszając, że pomysł był ich. Zamieszczony na twitterowym profilu Stanisława Tyszkii banner głosił: „Przekonałismy Prezydenta do poparcia naszej koncepcji wyboru Krajowej Rady Sądownictwa przez Sejm większością kwalifikowaną 3/5 głosów”.

Sytuacja, w której Andrzej Duda użył wobec PiS politycznego szantażu, a jednocześnie poparł wizję odsunięcia Zbigniewa Ziobry od nominacji sędziów, zaskoczyła wszystkich. Michał Szuldrzyński, wiceszef „Rzeczypospolitej” i krytyk radykalizmu PiS, tweetował z entuzjazmem: „18 lipca odszedł Adrian i narodził się Andrzej”. Do tej samej symboliki rodem z „Ucha prezeasa” nawiązał też w TVP Jerzy Targalski, dla odmiany krytyk braku radykalizmu PiS, który orzekł, iż prezydent Duda chce wyrwać się z roli Adriana, tyle że aby tego dokonać, zbliża się do obozu „targowicy”.

PiS przyjął wystąpienie prezydenta spokojnie. Kaczyński pytany w Sejmie o inicjatywę Pałacu Prezydenckiego ogłosił, że miał do niej prawo. Na specjalnym spotkaniu jeszcze tego samego wieczora zaakceptowano poprawki do ustaw trzech piątych przy wyborze członków KRS i mocniejsze kompetencje prezydenta w ustawie o SN i ustroju sądów powszechnych. Wydawało się, że głowa państwa zyska uznanie opozycji bez czołowego zderzenia z PiS. Tym bardziej że część prawników życzliwych rządowi wskazywała, iż wybór członków KRS przez koalicję sejmową, a nie

ministra sprawiedliwości, utrudni atak Brukseli na nową ustawę.

TRZY WETA, NATYCHMIAST!

Jeśli opozycja wyrażała się z ostrożną życzliwością o inicjatywie prezydenta, to trwało to krótko. Inicjatywa głowy państwa wydawała się efektowna, ale jej wdzięk w oczach opozycji szybko zbladł. Zrozumiano, że formuła trzech piątych zostawia PO i Nowoczesną poza grą. Szybko ukuto tezę o pozorowanych zmianach ze strony Andrzeja Dudy. Bardziej zadzierzysci przeciwnicy PiS wprost sugerowali – jak się zdaje niesłusznie – zaplanowaną komedię między prezydentem a Jarosławem Kaczyńskim. PO i Nowoczesna rzuciły w twarz Andrzejowi Dudzie nowe hasło: „Trzy razy weto”, a kolejna wieczorna demonstracja ze świeczkami pod pałacem na Krakow-

liczna, zaś groza gniewnej „zagranicy” nie robi już na PiS wrażenia, a zwykłym Polakom po prostu spowszedniała.

Jednocześnie Kukiz'15 zaczął się oddalać od PiS. Część liderów klubu zaczęła wracać do tezy, że ustawa o SN jest „nieusuwalnie antykonstytucyjna”, a w czasie burzliwego posiedzenia komisji sprawiedliwości w nocy z 19 na 20 lipca odrzucono ich poprawki proponujące jeszcze więcej kompetencji dla prezydenta w ustawie o SN.

Równie kwaśne były wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego na temat klubu Kukiz'15. W wywiadzie dla TVP lider rządzącej partii wskazywał, że kukizowcy „mówią jak PiS, ale głosują jak PO”. Brzmiało to jak przekaz: „Nie potrzebujemy waszych głosów przy ustawie o SN, a co będzie we wrześniu przy wyborze KRS – to się zobaczy”.



skim Przedmieściu jeszcze ten antyprezydencki ton wzmocniła. Posłowie PO i Nowoczesnej urządzili awanturę na sali sejmowej i udało im się sprowokować Jarosława Kaczyńskiego. W obozie Schetyń i Petru powróciła pewność siebie.

Kolejny dzień – środa – przypomniał już klimat wydarzeń z 16 grudnia 2016 r. Znow próbowano zsynchronizować nacisk „ulicy i zagranicy”. Jednak „ulica”, mimo efektownych zdjęć tysięcy świec, była jak dotąd stosunkowo nie-

Wśród posłów PiS-owskich narastał z kolei krytycyzm wobec postawienia przez Andrzeja Dudę partii pod ścianą. Pojawiły się głosy, że wobec „skoku w bok” Andrzeja Dudy z Kukizem warto mieć „plan B” – ewentualne wystawienie w wyborach prezydenckich Beaty Szydło. Nowy duch w PiS, wzmocniony energetycznym wystąpieniem Jarosława Kaczyńskiego w TVP, pozwolił na przetrwanie obstrukcji PO i Nowoczesnej w czasie komisji.

Prezydent jakby wyczuł tę zmianę nastrojów i także usztywnił swoje stanowisko. Gdy 19 lipca Donald Tusk zaproponował mu „kryzysowe” spotkanie – zdecydowanie odmówił.

20 lipca Sejm sprawnie przegłosował ustawę o Sądzie Najwyższym, w której uwzględniono poprawki prezydenta. Kukizowcy nie poparli ustawy. W większości – 20 posłów wstrzymało się, a 10 posłów było przeciw.

KRAJOBRAZ PO (?) BITWIE

W jakiej kondycji wychodzą z tego starcia wszystkie strony konfliktu?

Liderzy PO i Nowoczesnej sprawiali w czwartek po głosowaniu wrażenie nieco ogłuszonych. To wrażenie paradoksalnie wzmocniały jeszcze zapowiedzi posłów opozycji ciężkich kar więzienia dla liderów PiS za rzekomy „zamach stanu”. Gdy oddaję ten tekst do druku, nie sposób jeszcze orzec, jak liczne będą demonstracje przeciw ustawom i czy będą one jeszcze eskalować.

Lider PiS może być zadowolony. Dopiął swego. Plan wygaszenia mandatów dotychczasowych członków Sądu Najwyższego spełnił się jeszcze przed wakacjami. PiS zdał egzamin z czysto praktycznej ochrony Sejmu. Policja jak dotąd ani nie pozwoliła na ataki na Sejm, ani bez potrzeby nie eskalowała emocji. Marszałkowie i wicemarszałkowie Sejmu o wiele sprawniej niż w grudniu 2016 r. zapobiegali awanturom na sali plenarnej i szerzej – na terenie Sejmu.

Kaczyński ma teraz czas na zaplanowanie politycznej jesieni. W TVP tajemniczo mówił o „dobrych pomysłach dla Polaków”.

Owszem, we wrześniu przyjdzie mu toczyć niełatwe negocjacje z kukizowcami o skład KRS, ale na razie znów uczynił ze swojej partii skuteczny walec, który nie cofa się przed opozycją.

W o wiele trudniejszej sytuacji znajduje się natomiast prezydent. Siła kampanii opozycji z zadaniem „Trzy razy weto” będzie teraz skierowana ku niemu. Jeśli jesienią kukizowcy zablokują PiS sprawne powołanie KRS, to na pewno pojawią się głosy, że to prezydent uczynił PiS zakładnikiem Kukiza.

Dla odmiany politycy Kukiz’15 czują się beneficjentami całego zamieszania. Mają ambicje stanąć na czele fali krytycyzmu młodych wobec PiS wokół takich tematów jak np. podatek paliwowy. Nieprzypad-

kowo uznają niedawne wycofanie się Jarosława Kaczyńskiego z tego pomysłu za swój sukces, a ich nadzieją są tacy młodzi posłowie PiS jak Łukasz Rzepecki, który otwarcie krytykował podatek, a w głosowaniu nad ustawą o SN demonstracyjnie nie brał udziału. Ich taktyka „dwóch wrogów”, czyli teza o pozbawionym głębszego znaczenia konflikcie w ramach duopolu PO-PiS, jest efektywna, ale niezbyt poruszająca emocje.

Owszem, Kukiz doskonale wpasował się w polityczne „pięć minut”, ale nie trwało to długo.

Popularne wśród niektórych posłów PiS porównanie krótkotrwałej kooperacji Andrzeja Dudy i Kukiza do „skoku w bok” brzmi dość frywolnie, ale dobrze oddaje nastroje. Prezydent nie może tego lekceważyć, jeśli chce liczyć na poparcie PiS w kolejnych wyborach. Samodzielne kroki na forum krajowej polityki to o wiele bardziej grząski

Lider PiS może być zadowolony. Dopiął swego. Teraz ma czas na zaplanowanie politycznej jesieni. W TVP tajemniczo mówił o „dobrych pomysłach dla Polaków”

grunt niż miłe wizyty gości z zagranicy. Politycy PiS powinni też jednak zapytać siebie samych, czy pominięcie Pałacu Prezydenckiego było mądre. Szczególnie gdy wyruszali na tak bardzo niebezpieczną polityczną wyprawę. Reakcja prezydenta pod hasłem „nie pozwolę się pomijać” przyszła w dość nieoczekiwanym momencie i mogła wywołać kłopotliwy dla PiS konflikt. Kaczyński w tej akurat sprawie zachował zimną krew i przystał szybko na żądania pałacu, wykorzystując je dodatkowo dla odbicia zarzutów o wszechwładzę Zbigniewa Ziobry.

Teraz rządząca partia musi pamiętać, że tylko dzięki szerokiemu przekonaniu społecznemu co do potrzeby reform jak dotąd protesty przeciw reformie sądownictwa liczone są w tysiącach, a nie w dziesiątkach tysięcy. To ogromny kredyt zaufania i jego żyrantami będą wspólnie prezydent, premier i lider PiS.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

dotyczących ich odwołania określonych w przepisach ustawy.

- Nowelizacja wprowadza losowe przydzielanie spraw sędziom (wyłączeni będą z tego sędziowie, którzy w danym momencie pełnią dyżur), przydział spraw sędziom ma być równy.

- Wprowadzenie zasady niezmienności składu orzekającego, który do zakończenia sprawy nie powinien ulegać zmianie (poza nadzwyczajnymi okolicznościami, jak np. choroba sędziego).

Ustawa o Sądzie Najwyższym uchwalona 20 lipca 2017 r.:

- Przewiduje, że następnego dnia po wejściu jej w życie sędziowie SN wybrani na podstawie dotychczas obowiązujących przepisów przejdą w stan spoczynku, z wyjątkiem tych, których wskaże prezydent; kandydatury sędziów, którzy mają zostać w stanie czynnym, przedstawi prezydentowi minister sprawiedliwości.

- Sędziowie, którzy przejdą w stan spoczynku, będą mieli prawo do pobierania pełnego wynagrodzenia.

- Po podjęciu przez prezydenta decyzji, którzy sędziowie SN pozostaną w stanie czynnym, może zostać ogłoszony przez ministra sprawiedliwości dodatkowy nabór, minister będzie musiał zasięgnąć opinii KRS, przedstawiając po jednym kandydacie na każde ze stanowisk. Do pozytywnego zaopiniowania kandydata wystarczy pozytywna uchwała jednego ze zgromadzeń KRS, które wprowadza nowelizacja ustawy o KRS.

- Ustawa zakłada zmniejszenie liczby sędziów SN – do tej pory było ich 84. Na czas przejściowy określono ich liczbę na 56.

- Zmiany obejmują liczbę Izb Sądu Najwyższego, będzie on się składał z trzech Izb: Prawa Publicznego, Prawa Prywatnego i Dyscyplinarnej zamiast dotychczasowych czterech (Cywilnej; Karnej; Pracy, Ubezpieczeń i Spraw Publicznych; Wojskowej).

- Pierwszego prezesa SN będzie powoływał prezydent spośród pięciu kandydatów przedstawionych mu przez sędziów tego sądu (a nie dwóch jak obecnie).

- Regulamin SN będzie uchwałal prezydent na wniosek ministra sprawiedliwości, po zasięgnięciu opinii KRS, a nie sędziowie.

- Piętnastu sędziów KRS, członków jednego z dwóch zgromadzeń przewidzianych w nowelizacji ustawy o KRS, Sejm będzie wybierał większością trzech piątych głosów. Przepis ten wejdzie w życie już po dwóch tygodniach od publikacji ustawy o SN (a nie po 30 dniach od ogłoszenia, tak jak cała ustawa o SN). **(anie) © ©**

ŁUKASZ WARZECHA: Czy z sędziami w Polsce jest faktycznie tak źle, że trzeba aż tak głęboko przebudować system, sięgając po metody budzące kontrowersje i opór?

MARCIN WARCHOLE: Zmiany systemu, do których doszło w ciągu ostatnich kilkunastu lat, szły w kierunku całkowitego „uwłaszczenia się” sędziów na sądownictwie, z Sądem Najwyższym włącznie. Stworzono eksterytorialny sektor władzy państwowej, zapominając o zasadzie trójpodziału władzy, której pogwałcenie paradoksalnie zarzucają nam dzisiaj nasi przeciwnicy. Według obowiązującej dotąd ustawy o Sądzie Najwyższym (SN) jego sędziowie mają przemożny wpływ na to, kto zostanie sędzią Sądu Najwyższego (SSN), ponieważ w pierwszej kolejności decyduje Zgromadzenie Ogólne Sędziów Sądu Najwyższego. Nie ma żadnego czynnika spoza środowiska. SN oderwał się też od jakichkolwiek powiązań z władzą wykonawczą i ustawodawczą, a tym samym z suwerenem, którym jest naród. Pojawiały się już nawet propozycje, aby SN samodzielnie dokonywał wyboru swoich prezesów oraz I prezesa, a prezydent był tu tylko notariuszem. Dzisiaj to głowa państwa ma tu decydujący i suwerenny głos.

A może właśnie dopiero całkowite uniezależnienie trzeciej władzy od pozostałych dałoby w pełni niezależne i wolne od nacisków sądownictwo?

Właściwie w żadnym europejskim kraju nie funkcjonuje model, w którym środowisko sędziowskie samo dobiera sobie kolegów. Tylko kilka przykładów: w Belgii SSN powołuje król z listy sporządzonej przez Izbę Reprezentantów lub Senat; w Danii minister sprawiedliwości zgodnie ze wskazaniem rady sądownictwa, powoływanej przez tegoż ministra; w Irlandii – prezydent na wniosek rządu; w Niemczech SN wybiera rada złożona z ministrów sprawiedliwości landów i posłów Bundestagu... A jakie są skutki systemu funkcjonującego u nas? Sędzia podejrzewany o kradzież wiertarki orzekał jeszcze wiele miesięcy po tym zdarzeniu. Były ogromne problemy z uchyleniem immunitetu sędziowskiego byłego prezesa Sądu Apelacyjnego w Krakowie, gdzie CBA rozpracowało aferę korupcyjną. A czy pamięta pan, żeby jakkolwiek organizacja sędziowska wyraziła sprzeciw wobec roli sędziów w warszawskiej aferze reprivatyzacyjnej, w której wyznaczali kuratorów dla 140-letnich osób mieszkających rzekomo na Karaibach?



Z Marcinem Warcholem,
wiceministrem sprawiedliwości
rozmawia Łukasz Warzecha

Opozycja nie chce niezawisłych sędziów

Przykłady są wstrząsające i efektowne, ale czy ich skala uzasadnia zmiany, jakie chcecie wprowadzać? I czy zapobieganie takim przypadkom ma z propozycjami zmian jakkolwiek związek?

Bezkarność win dużych spowodowała poczucie bezkarności w przypadku win małych. Winy duże to na przykład rozliczenie z przeszłością. Ustawa z 1998 r. o odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów, którzy w latach 1944–1989 sprzeniewierzyli się niezawisłości sędziowskiej, została przez środowisko zbojkotowana. Z zawodu na jej podstawie został wydalony tylko jeden sędzia – ten, który prowadził akurat sprawę Adama Michnika. Wniosków było ogółem 47, z czego w 42 przypadkach odmówiono wszczęcia postępowania, a w pięciu nastąpiły umorzenia lub uniewinnienia. Środowisko się nie rozliczyło. Do tego hańbiące uchwały SN, takie jak ta z 2007 r., sankcjonująca wykonywanie dekretu o stanie wojennym z mocą wsteczną.

Wracam do pytania, jak to wygląda statystycznie?

W tej chwili umorzenia lub uniewinnienia to 41 proc. spraw dyscyplinarnych.

Czyli jednak mniej niż połowa.

Albo prawie połowa. I to w przypadkach, gdy sprawy w ogóle dotrą do etapu postępowania dyscyplinarnego, bo obywatel, skarżący się na postępowanie sędziego, nie ma możliwości złożenia zażalenia do wyższej instancji, jeżeli taka skarga zostanie odrzucona. W 2007 r. rzecznik praw obywatelskich Janusz Kochanowski zwrócił się do prezesa Krajowej Rady Sądownictwa z informacją, że przyjmuje skargi od obywateli, którzy wygrali w Europejskim Trybunale Praw Człowieka postępowania dotyczące skarg na sędziów. Z tymi wyrokami próbują wyegzekwować odpowiedzialność sędziów w Polsce i okazuje się, że nie mogą – sprawy uległy



FOT. KRZYSZTOF WOJCIKOWSKI/FORUM

przedawnieniu. A to dlatego, że w ustawie o sądach powszechnych był przepis, że dwa lata po czynie nie można orzec kary wobec sędziego. Rzecznik Kochanowski prosił prezesa KRS, żeby ten przepis wykreślić. Nie zrobiono z tym nic. Dopiero my znieśliśmy go w ubiegłym roku. To był przywilej wyłącznie sędziów.

Wiele lat temu, podczas wręczania nominacji sędziowskich, śp. Lech Kaczyński mówił do sędziów, że większość z nich pracuje ciężko i uczciwie. Czy coś się od tego czasu zmieniło?

Rzecz w tym, że z powodu braku mechanizmu samooczyszczania czarne owce tworzą fatalny obraz całego środowiska, rzutujący na sędziów rzetelnie wykonujących swoją pracę. Wyeliminowanie patologii będzie korzystne właśnie dla nich!

Dlaczego w takim razie Ministerstwo Sprawiedliwości wycofało się ze swojej pierwotnej

propozycji, aby sędziów do KRS wybierali nadal sędziowie, tyle że na zasadach pełnej równości – wszyscy mając po jednym głosie, a nie tak jak dotąd, z głosami zróżnicowanymi w zależności od szczebla?

Po pierwsze – to byłaby konserwacja korporacjonizmu. Po drugie – wpływowi sędziowie narzucaliby środowisku swoich kandydatów. Koteria by się powielala.

Jednak zaproponowany przez MS wariant oznaczałby faktycznie uzależnienie sędziów po prostu od partii rządzącej.

Nieprawda. To środowiska prawnicze będą zgłaszać swoich kandydatów do KRS, a żaden sędzia wybrany do rady nie będzie się starał przypodobać politykowi, bo co ten polityk miałby mu niby zapewnić?

Ponowny wybór do KRS. Zresztą członkowie rady będą też czynnymi, orzekającymi sędziami.

Może się zdarzyć, że przed takim sędzią będzie miał stanąć poseł. To konflikt interesów.

Nie zgadzam się. Sejm wybiera przecież prezesa NIK czy rzecznika praw obywatelskich, którzy także wchodzą z czynnymi politykami w konflikty, a jednak nikt nie mówi, że jest tu jakiś problem. Co do ponownego mianowania do KRS – nigdy nie wiadomo, kto wygra kolejne wybory, a kadencja członków KRS nie pokrywa się z kadencją parlamentu.

Prezydent proponuje rozwiązanie, które gwarantuje, że wybór sędziów do KRS nie będzie efektem życzeń jednej partii – głosowanie trzema piątymi. Dlaczego sami tego nie zaproponowaliście?

Gdybyśmy działali w warunkach politycznego porozumienia wokół reformy wymiaru sprawiedliwości, to wybór członków KRS trzema piątymi głosów mógłby być dobrym pomysłem. Mamy jednak sytuację, w której z opozycją porozumienia nie da się wypracować.

Czyli obawia się pan, że przyjęcie rozwiązania prezydenta może sparaliżować stworzenie nowej KRS?

Propozycja prezydenta mnie martwi, bo nie tylko może utrudnić powołanie nowego KRS, lecz także wręcz zahamować całą reformę. To byłoby fatalne w skutkach dla wszystkich Polaków, którzy oczekują tych zmian od wielu lat i z tego powodu zagłosowali na nas oraz na prezydenta Dudę.

Gdyby dziś rządziła Platforma i chciała wprowadzić rozwiązanie, które proponowało MS, to nadal uważałby je pan za dobre?

Nie ma lepszego mechanizmu niż demokracja.

Ustawa o SN ma wygaszić kadencje sędziów poza tymi, o których pozostaniu na stanowiskach zadecyduje prezydent – zgodnie ze zgłoszonymi poprawkami w projekcie. Nie boi się pan, że otwieracie w ten sposób swoim następcom furtkę, aby zrobili w przyszłości coś podobnego i zwykłą ustawą skrócili kadencję organu obsadzonego za waszych czasów?

Nie. Precedens zresztą już był – to przeniesienie sędziego w stan spoczynku w związku z reformą ustroju sądów ministra Gowina, potwierdzone wyrokiem SN z 24 maja 2016 r.

Jednak tu mówimy także o I prezesie SN, którego sześciolatnia kadencja jest wprost zapisana w ustawie zasadniczej.

Sędziów SN dotyczą takie same zasady jak sędziów sądów powszechnych. Poza tym kadencję pierwszego prezesa może skrócić choćby osiągnięcie wieku emerytalnego. W 2013 r. TK stwierdził, że nieusuwalność i nieprzenaszalność sędziów nie są celami samymi w sobie, lecz jedynie środkiem umożliwiającym realizację innych dóbr konstytucyjnych. Owszem, naruszałibyśmy konstytucję, gdybyśmy zwykłą ustawą pozbawili sędziów stanu spoczynku, np. obcinając im uposażenie lub immunitet, ale tego nie czynimy.

Czyli następcy mogą zachować się podobnie?

Jeśli demokratycznie wybrana władza uzna, że zmiana ustroju sądu jest potrzebna i w związku z tym należy sędziego przenieść w stan spoczynku, to będzie mieć do tego prawo.

Fundacja Court Watch Polska proponuje, żeby przeprowadzać publiczne wysłuchania kandydatów na SSN i członków KRS – trochę tak jak w USA, aby obywatele mogli mieć w tym swój udział. Jak się panu podoba ten pomysł?

Generalnie to ciekawa koncepcja, ale na razie nierealna przy takiej totalnej opozycji, gdzie politycy PO i Nowoczesnej, a także część upolitycznionych sędziów tracących władzę w KRS sięgają po groźby, inwektywy i manipulacje pod naszym adresem. Przesłuchanie zamieniłoby się w seans nienawiści. Tak jak posiedzenia komisji i posiedzenia plenarne, gdzie zamiast spokojnej rozmowy i argumentów słyszymy sam wrzask opozycji. Ona nie chce tej reformy, nie chce nowych prawdziwie niezawisłych sędziów.

Dlaczego chcecie przenieść odpowiedzialność dyscyplinarną wszystkich korporacji prawniczych do Izby Dyscyplinarnej SN?

Już teraz SN rozpoznaje kasacje w sprawach adwokatów i radców prawnych, tyle że nie jest to autonomiczna izba. Nie zmieniamy niczego w mechanizmie postępowania dyscyplinarnego w poszczególnych korporacjach. To w gruncie rzeczy jedynie zmiana organizacyjna.

W takim razie po co w ogóle ją wprowadzać?

To rozwiązanie stosowane w wielu krajach, na przykład w Holandii. Tam zresztą panują całkiem inne standardy. Rozmawiając z holenderskimi kolegami, dowiedziałem się, że w ciągu ostatnich

30 lat było tam tylko pięć postępowań dyscyplinarnych. Spytałem, dlaczego tak mało, i usłyszałem, że jeśli holenderski sędzia ma coś na sumieniu, po prostu sam odchodzi. U nas dotychczasowe zasady wręcz zachęcają do korupcji, przewlekania postępowań, udawania choroby.

Jakiś przykład?

Proszę bardzo – wyrok SN z lutego 2016 r. Sędzia popełnił w 2005 r. przestępstwo fałszowania dokumentów i został za to prawomocnie skazany przez sąd karny w roku 2012. Mimo to postępowanie dyscyplinarne toczy się cały czas. Obwiniony się nie stawiał, przesyłał zaświadczenia lekarskie, twierdził, że z powodu neurastenii nie może brać udziału w postępowaniu. Słowem – wykorzystywał wszystkie kruczki. SN stwierdził, że postępowanie było faktycznie bardzo długie i wynikało z postępowania obwinionego. Wskazał, że sędziego powinny charakteryzować nienaganność postępowania i dbałość o prestiż urzędu. Po czym uznał, że przez czas, który upłynął, czyn zatarł się już w pamięci społecznej i surowa kara byłaby nieadekwatna. Sędziego ukarano zawieszeniem podwyższenia uposażenia na okres od roku do lat trzech. To kpina! Kpina z państwa prawa i z obywateli. Takich przykładów mógłbym podać wiele, bo przeanalizowaliśmy wiele postępowań dyscyplinarnych.

Co zmieni utworzenie odrębnej Izby Dyscyplinarnej?

Ważne jest, że uszczelnimy system. Wprowadzamy m.in. przepis, zgodnie z którym nieusprawiedliwione niestawiennictwo prawidłowo zawiadomionego obwinionego nie tamuje sprawy, podobnie jak usprawiedliwiona nieobecność zawiadomionego obrońcy czy niezłożenie wyjaśnień w terminie. Będzie też możliwe uchylenie immunitetu sędziowskiego w 24 godziny w przypadku niektórych przestępstw i ujęcia na gorącym uczynku.

Czy w Izbie Dyscyplinarnej zasiądą prokuratorzy? Ustawa o SN umożliwia mianowanie na SSN prokuratora Prokuratury Krajowej bez wymogu stażu sędziowskiego. Ktoś może zostać powołany do PK na tydzień, a potem od razu mianowany do SN.

Prokuratorem krajowym nie można zostać ot, tak. Konieczne są doświadc-

zenie, staż i kwalifikacje. Nie ma zatem powodu, żeby takiej osoby nie mianować do SN, a nawet byłoby to wskazane, jeśli chodzi o Izbę Dyscyplinarną, bo w drugiej instancji będą tam trafiać także sprawy prokuratorów.

Czy przygotowując tak daleko idące zmiany w wymiarze sprawiedliwości, próbowaliście podjąć dialog z sędziami?

Gdy brałem udział w debacie w „Gazecie Prawnej”, przedstawiciele sędziów zachowywali się tam dość agresywnie. Nie było właściwie z nimi dyskusji. Środowisko, a raczej jego najbardziej wpływowa część, nasz projekt od początku bojkotowało i reagowało na niego alergicznie.

I to wszystko? Nie znaleźliście żadnych partnerów do dyskusji? Może trzeba było ominąć sędziowską górę i rozmawiać ze zwykłymi sędziami?

Mamy sygnały, że ci sędziowie czekają na zmiany. Że nie podobają im się nieprzejrzyste procedury awansu ani niejasny sposób rekrutacji do SN. Ale stałego oficjalnego kontaktu z tą grupą sędziów nie było.

Może to błąd?

Tylko jak miałyby się to odbywać? Przecież ci sędziowie są pod presją swoich przełożonych. Proszę sobie wyobrazić, że jakiś zwykły sędzia z mniejszej miejscowości chciałby się zaangażować w konstruktywną dyskusję z nami – stałby się natychmiast obiektem ostracyzmu. Sędziowie też się boją o swoją pracę. I właśnie m.in. żeby ten opór przełamać, wprowadzamy mianowanie prezesów sądów przez ministra. Żeby zwykli sędziowie przestali się bać.

W zamian będą się bać, że narażą się nominacji ministra sprawiedliwości.

Nie mają powodu. Przecież prezesom zabieramy wiele kompetencji i wprowadzamy losowe przyznawanie spraw. Prezes będzie funkcją niemal wyłącznie administracyjną. ©© Wszelkie prawa zastrzeżone



Marcin Warchol – prawnik i polityk, wiceminister sprawiedliwości w rządzie Beaty Szydło. Absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Doktor nauk prawnych.



Każdego dnia towarzyszymy ludziom w drodze do różnych celów.
Angażujemy się w działania na rzecz poprawy bezpieczeństwa i komfortu podróżowania.
Wspieramy ratowników GOPR, dostarczając wysokiej jakości paliwo - niezawodne
w ekstremalnych warunkach.

DR HAB. MICHAŁ KRÓLIKOWSKI: Udzieliłem niedawno krótkiej wypowiedzi jednemu z dzienników i teraz wciąż dostaję propozycję wywiadów i udziału w programach. Prawie wszystkim odmawiam...

KAMILA BARANOWSKA: Dlaczego?

Czuję się tak, jakbym poszedł obejrzeć mecz. Siedzę pośrodku, a po jednej i drugiej stronie siedzą dwie grupy kibiców, obie obrzucają się wyzwiskami, nie patrząc na to, co się dzieje na boisku. Tymczasem ja mam istotne wątpliwości co do tego, jak jest realizowana strategia gry, chociaż nie kwestionuję tego, że drużyna ma prawo atakować bramkę. Towarzyszy mi przekonanie, że próba podzielenia się wstrzemięźliwym osądem skończy się tym, że każda z walczących stron potraktuje mnie jak zwolennika drugiej strony, wręcz jak wroga.

Mimo wszystko zgodził się pan na ten wywiad.

Świadomie, po ustąpieniu z funkcji wiceministra sprawiedliwości, w zasadzie nie wypowiadałem się publicznie, uznając, że przyjdzie jeszcze czas, kiedy trzeba będzie zająć stanowisko, wykonać swój obowiązek obywatelski i naukowy. Taki moment właśnie nastał i wynika z tego, że w kilku punktach nowej ustawy o SN dochodzi do rzeczywistej zmiany konstytucji, choć bez zmiany jej zapisów, do czego obecnie rządzący nie mają prawa. Uznałem, że warto powiedzieć o tym w miejscu, w którym jest największe prawdopodobieństwo, że moje słowa zostaną odebrane bez uprzedzeń, a nie jako głos w chórze opozycji politycznej. Wiem, że z perspektywy ministra sprawiedliwości ogląd wymiaru sprawiedliwości wygląda nieciekawie. Stąd jestem pewien, że w przekonaniu Jarosława Kaczyńskiego to, co obecnie ma miejsce, jest działaniem propaństwowym. Problem polega na tym, że gdy pełni się ważne funkcje, przeprowadza istotne reformy, trzeba swój ogląd oraz osąd sytuacji obiektywizować i dopiero wtedy dobierać właściwe metody postępowania. Tego z pewnością brakuje.

Jak pan ocenia zmiany, jakie PiS przeprowadza w wymiarze sądownictwa? Jarosław Kaczyński mówi, że PiS naprawia sąd, sędziowie – że je demoluje. Kto ma rację?

W diagnozie Jarosława Kaczyńskiego, którą głosi konsekwentnie od lat, najbardziej negatywnie ocenianym zjawiskiem w wymiarze sprawiedliwości jest upadek zasad moralnych sędziów, co pan prezes

wywodzi z faktu, że zostali oni ukształtowani przez środowisko mające PRL-owski rodowód. Nazwijmy to problemem kadrowym. Drugim najważniejszym strukturalnym problemem – zdaniem prezesa – jest przewlekłość postępowań. W mojej ocenie problem kadrowy został błędnie zdiagnozowany, w rzeczywistości polega on na czymś zupełnie innym, drugi jest prawdziwy, ale nie jest obecnie w ogóle rozwiązywany. W obu przypadkach dotychczasowe narzędzia reformy są nieadekwatne. Sama masowa wymiana kadr nie zmieni jakości orzekania, wręcz na długi okres zaburzy sprawność rozpoznawania spraw.

intelektualna oraz wnikliwość badania spraw bez uszczerbku dla zdolności decyzyjnych, stąd podejmują oni orzeczenia często naprawdę zdumiewające. Będąc adwokatem i prowadząc sprawy swoich klientów, stosuję zasadę Jacka Reachera: „Miej nadzieję na najlepsze, szykuj się na najgorsze”. Zawsze pracuję przy założeniu możliwości nieracjonalności reakcji sędziowskiej, a nie odwrotnie. To efekt doświadczenia. Wreszcie zjawiskiem z istoty swojej nieusuwalnym jest to, że niezawisłość sędziowska w istocie powoduje rozbieżność orzecznictwa. Prowadzę takie sprawy, w których jedna osoba, mając



Z dr. hab. Michałem Królikowskim,
adwokatem, profesorem UW, wiceministrem
sprawiedliwości w latach 2011–2014
rozmawia Kamila Baranowska

Dochodzi do zmiany konstytucji

Jaka jest pana diagnoza?

Podstawowym problemem w sądownictwie jest przewlekłość oraz brak społecznej wrażliwości orzeczniczej. Sędziowie mają ograniczone możliwości wnikliwego badania sprawy oraz rozpoznawania tych spraw w odpowiednim czasie. Moja koleżanka, która pół roku temu została sędzią sądu rejonowego, ma obecnie do rozpoznania 500 spraw. Inny z moich przyjaciół, znakomity sędzia Sądu Najwyższego, mówi, że na jedną sprawę ma statystycznie trzy dni, zakładając także pracę w niedzielę. Następnym istotnym kłopotem są kadry, ale nie w związku z ich proveniencją, lecz w związku z tym, że oprócz tego, iż mamy świetnych sędziów, orzekających z dużym oddaniem i dużą wnikliwością, mamy też takich, których nie charakteryzuje żadna ciekawość

na celu zaszkodzenie jednej ze spółek, tworzy fikcyjne spory korporacyjne i wnosi je wszystkie do jednego wydziału w tym samym sądzie. W efekcie trafiają one do kilku sędziów, żaden z nich nie widzi całości problemu, spraw nie da się skoordynować i każdy z sędziów podchodzi do sprawy inaczej, często wzajemnie się blokując w możliwości rozpoznania sprawy. Niezawisłość sama w sobie – choć niezwykle cenna – bywa czasem problemem w sytuacji, gdy sprawy są bardziej kompleksowe i wymagają szerszego, wspólnego spojrzenia kilku sędziów orzekających w różnych wątkach tej samej sprawy.

PiS rozpoczął swoje zmiany w sądownictwie od wielkiej wymiany kadrowej, idąc na otwartą wojnę z sędziami. Twierdzi, że bez tego gruntowna reforma wymiaru sprawiedliwości nie byłaby możliwa.

Napięcie między ministrem sprawiedliwości a sądami było, jest i będzie, zawsze. I jest to absolutnie naturalne, wpisane w równowagę władz, w której muszą się zrównoważyć sprzeczne interesy. Pytanie jest o to, czy obie strony potrafią zachować propaństwową wstrzemięźliwość. To, z czym dzisiaj mamy do czynienia, przypomina emocje towarzyszące rozwodom. Jedna strona bardzo głęboko weszła w sferę wewnętrzną drugiej, ta druga w związku z tym reaguje bardzo emocjonalnie – często słusznie, chociażby ze względu na sam styl debaty – także mocno radykalizując całą sytuację. Z dru-

sprawiedliwości. Ponadto pamiętam zdarzenia o dokładnie odwrotnym wektorze. Wspominam zaangażowanie prezesów w poprawę efektywności funkcjonowania swoich sądów, podziwiam wnikliwość i oddanie godności zawodu oraz dobrze pojmowanej niezawisłości wielu sędziów, z którymi miałem okazję się spotkać. Trzeba przy tym zaznaczyć, że sędziowie nie zawsze mają warunki, by godnie orzekać i by ich działanie mogło spotkać się z pozytywną oceną społeczną. Tymczasem nowa ustawa o SN przewiduje w zasadzie wyłącznie wymianę kadr, która nie rozwiązuje żadnych problemów

prawa. Pewnie nie wszystkie, ale na tym właśnie polega wartość ustroju państwa, w którym żyjemy, że dla naszego dobra rządzącym nie wszystko wolno. Wówczas, nawet jeśli zmiany nie podobałyby się środowisku sędziowskiemu, a pewnie by się nie podobały, łatwiej byłoby ich bronić z ustrojowego punktu widzenia.

Trudno konsultować pomysły ze środowiskiem, które od samego początku jest nastawione antyrządowo i które nie kryje swoich politycznych sympatii. Widać to było już przy okazji sporu o Trybunał Konstytucyjny.

Jeśli chodzi o Trybunał, to tamten spór musiał zaistnieć i musiał się skończyć tak, jak się skończył – osłabieniem kontroli konstytucyjności stanowionego prawa. I nie chodzi wcale o współdziałanie prezesa Rzeplińskiego z opozycją, lecz tak naprawdę o to, jak zachowywał się Trybunał w latach 2006–2007. Wtedy kilku sędziów, zresztą wybitnych konstytucjonalistów, ale bardzo związanych z konkretnym obozem politycznym, robiło wszystko, żeby realnie uchylić każdą reformę, którą wprowadzał PiS, a która chociaż ocierała się o rozwiązania ustrojowe. To był właśnie ten brak wstrzemięźliwości, tym razem Trybunału Konstytucyjnego, konieczny dla bytu demokratycznego państwa prawa. Dlatego, gdy PiS zdecydowanie wygrał wybory w 2015 r., było dla mnie oczywiste, że chcąc przeprowadzać reformy według własnej wizji państwa, będzie chciał kontrolę konstytucyjności prawa osłabić. Zwłaszcza jeśli pretekst ku temu dało zachowanie ekipy odchodzącej. Toteż nie jest tak, że jest jeden winny tej sytuacji, choć trzeba też pamiętać, iż w demokracji zawsze odpowiedzialność spada na tego, kto ma większość i rządzi.



FOT. BARTOŚZ BOBROWSKI/AGENCJA GAZETA

giej strony nie sposób się dziwić – to jest moment na radykalny protest. Szkoda, że opozycja już znacznie wcześniej zgrała płytę upadku demokratycznego państwa prawnego, stąd obecna sytuacja przypomina szczekanie psa na złodzieja po tym, jak przez cały miesiąc czekała na myszy.

Moje doświadczenia z ministerstwa, jeśli chodzi o relacje ze środowiskiem sędziowskim, też nie są najlepsze. W resorcie jak w soczewce skupiają się przykłady słabości sądów – problemy orzecznicze, nieumiejętność dialogu w sprawach państwowych, nadmierne skoncentrowanie się na własnych interesach. Mam wspomnienia, w których dotknęło mnie do żywego zlekceważenie przez przedstawicieli, także SN, własnej odpowiedzialności za stan państwa czy brak realnej współpracy nakierowanego na reformę wymiaru

i jest przeprowadzana w sposób, który budzi zasadnicze wątpliwości. Mnie ten styl oburza.

Może jeśli się chce dokonać radykalnych zmian, nie da się inaczej?

Da się. Pamiętam, gdy w Ministerstwie Sprawiedliwości pracowaliśmy nad głośną ustawą o bestiach. Było wiele pomysłów na rozwiązanie tej sprawy i wszystkie w mojej ocenie były niekonstytucyjne. Jednak wypracowaliśmy rozwiązanie, które pozostawało w zgodzie z konstytucją i które zostało zaakceptowane przez TK, choć wielu twierdziło, że nie ma na to żadnych szans. Na tym polega dramat obecnej sytuacji i obecnych ustaw – większość zamiarów rządzących dałoby się osiągnąć zgodnie z konstytucją i zasadami demokratycznego państwa

Dzisiaj najwięcej kontrowersji budzi projekt ustawy o Sądzie Najwyższym. Jak pan go ocenia?

Można w niej wskazać kilka wiodących myśli. Po pierwsze, że ma być bardzo wielka grupa sędziów, będących sędziami Sądu Najwyższego, a większość składów mają stanowić sędziowie delegowani przez ministra sprawiedliwości bez kontroli prezydenta i Krajowej Rady Sądownictwa. W sądownictwie delegacje nie są czymś wskazanym, bo tworzą znacznie większą zależność od osoby, która podejmuje decyzję o delegacji. Mnie uczyono, że sędzia na delegacji jest sędzią, który nie podnosi głowy, który nie orzeka autorsko, lecz tak, by jego koledzy, którzy go obserwują, postrzegali go jako niekonfliktowego.

Sędzia uzyskuje swobodę orzeczniczą dopiero w momencie, gdy zostaje powołany na stanowisko w konkretnym sądzie. Tak wynika z doświadczenia sędziów, którzy tę drogę przechodzili. O ile w przypadku prokuratorów jest to normalny sposób zarządzania kadrą, o tyle w sądownictwie trzeba traktować to jako obiektywne zagrożenie dla niezawisłości. W ustawie o SN jest zapis, że w składach trzyposobowych dwóch sędziów może być sędziami delegowanymi, nie będzie zagwarantowanej przewagi sędziów Sądu Najwyższego. A to jest zaburzenie funkcji Sądu Najwyższego, który został świadomie wyodrębniony przez ustrojdawcę ze struktury sądów powszechnych po to, by kontrolować ich orzeczenia. Inna rzecz, która wydaje się wątpliwa, to fakt, że ustawa radykalnie zawłaszcza dla ministra sprawiedliwości kompetencje właściwe dla urzędu Prezydenta RP. Gdyby uprawnienia ministra sprawiedliwości w tej ustawie zasadniczo przeszły na ręce prezydenta, to z mojej strony ocena zgodności z konstytucją tego projektu istotnie by się zmieniła. Wtedy można by twierdzić, że to projekt mocno ingerujący w istotę funkcjonowania Sądu Najwyższego, ale oparty na właściwym urzędzie. Dodatkowo nie da się usunąć I prezesa SN ze sprawowanej funkcji, ponieważ kadencję sześciu lat mrozi konstytucja. Nawet przeniesienie w stan spoczynku sędzi Małgorzaty Gersdorf nie pozwala prezydentowi powołać nowego I prezesa SN w zgodzie z ustawą zasadniczą.

Zdaje się, że prezydent wywalczył te poprawki do projektu. A także tę, by o sędziach trafiających do KRS decydowała sejmowa większość trzech piątych. To osłabia argument o upolitycznieniu i upartyjnieniu KRS.

Dobrze, że prezydent Andrzej Duda zawałczył o godność swojego urzędu i swoje kompetencje. Z bólem przyjąłbym sytuację, gdyby tego nie uczynił. Jednak poprawki ostatecznie przyjęte przez Sejm uczyniły go raczej notariuszem woli ministra sprawiedliwości niż kreatorem kadr i zasad funkcjonowania Sądu Najwyższego. To zdecydowanie za mało.

Wzmocnienie pionu dyscyplinarnego, które przewiduje ustawa o Sądzie Najwyższym, to krok w dobrą stronę? Historii, w których sądy odegrały ponurą rolę, jest sporo. Te najczęściej przywoływane to afery Amber Gold i repriwatyzyzacja.

To wyraz przekonania, że podstawowym problemem sądownictwa jest niesku-

teczność postępowań dyscyplinarnych. Nie mam podstaw, by twierdzić, że tak jest, ale nawet jeśli, to ta konstrukcja trzeszczy. Prezes Izby Dyscyplinarnej ma niemal taki sam status jak I prezes SN. Relacje między nimi nie są jasne, propozycja funkcjonowania dwóch odrębnych kancelarii jest całkowicie niezrozumiała i nieefektywna. Procedury wewnętrznej kontroli powinny być skuteczniejsze. Dodatkowo w ostatnich poprawkach do ustawy przyjętych przez Sejm wyłączono z kontroli dyscyplinarnej SN nagle jedną grupę – prokuratorów. W świetle uzasadnienia wprowadzania Izby Dyscyplinarnej SN, która jest właściwa w sprawach sędziów, adwokatów, komorników itp., jest to skandaliczne i nie sposób nie wiązać tego z niczym innym niż ze wzmacnianiem władztwa ministra sprawiedliwości prokuratora generalnego. Wracając do sędziów, nie jest prawdą, że mamy świetliste środowisko sędziów i czarnych najeźdźców. Tak jak nie jest prawdą, że mamy świetlistych najeźdźców i czarne środowisko sędziów. Obraz jest znacznie bardziej złożony.

Nie dla obywateli. Od lat w badaniach blisko dwie trzecie ludzi źle ocenia funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości.

Kiedy pracowałem w Ministerstwie Sprawiedliwości, były pomysły budowania strategii poprawy wizerunku i podstawowym celem miało być zadowolenie obywateli. Zadałem wtedy pytanie, w jaki sposób ten cel ma być osiągnięty w przypadku skazanych i pokrzywdzonych. Nie da się, nie na tym polega istota sprawowania wymiaru sprawiedliwości. Jest wiele powodów, z których sądy w odbiorze społecznym nie cieszą się dobrą opinią. Podkreślam – wiele i jedynie część z nich, nie wiem, czy najważniejsza, związana jest z osobami sędziów. Dodajmy, czasem ocena ta po prostu nie jest sprawiedliwa. Z perspektywy czynnego adwokata i dawnego wiceministra sprawiedliwości muszę jednak przyznać – jest naprawdę wiele do zrobienia w wymiarze sprawiedliwości i prawdą jest to, że każda znana próba takiej nowelizacji wiązała się ze sprzeciwem środowiska sądowego. Daleki byłbym jednak od uogólniania wszystkiego na niekorzyść sądów.

Jak to się wszystko skończy? KRS, Trybunał i SN będą przechodziły z rąk do rąk przy każdej zmianie władzy, jak np. spółki Skarbu Państwa?

Wiele z tych instytucji zostało otwartych na wymianę kadr, ale nie na rzeczywistą reformę zasad funkcjonowania. Tym

samym nie przyniesie to istotnych zmian w sposobie funkcjonowania sądownictwa. Skutkiem tych działań z pewnością będzie upadek autorytetu instytucji wymiaru sprawiedliwości w środowisku osób, które są profesjonalistami. W tym kręgu szanujemy pewien poziom autorytatywności rozstrzygnięć – dla nas orzeczenie TK czy SN to coś, co miało do tej pory znaczenie, bo tworzyło wzorzec normatywny używany następnie w argumentacji prawnej jako punktu odniesienia. Teraz to, że coś np. wydaje się być niekonstytucyjne, nie ma znaczenia, skoro realnie nic z tym nie można zrobić. Kontrola kasacyjna w Sądzie Najwyższym także straci swoją autorytatywność. Do tego coraz częściej bycie powołanym przez tę władzę na stanowisko sędziego lub awansowanym zaczyna być obciążone pewną infamią. Społeczeństwa nie dotknie zwiększenie sprawności postępowania sądowego mimo tych reform. W tym zakresie argumentacja, że dzięki wprowadzanym obecnie zmianom w systemie sądownictwa będzie inaczej, jest oszukańcza.

Zdumiewa mnie to, jak ludzie o bardzo propaństwowej wizji swojego powołania politycznego, a tak postrzegam przynajmniej wielu z polityków PiS, nie mają problemu z tym, aby podejmować działania tak bardzo destruktywne w stosunku do instytucji państwa. Skutki tego będą wieloletnie, przywrócenie równowagi władz konieczne dla kultury demokratycznego państwa prawnego i autorytetu instytucji państwa potrwa lata, o ile jest możliwe do osiągnięcia. W przyjętej reformie wymiaru sprawiedliwości nie widzę zupełnie środka naprawy jego słabości, choć pragnę, by mimo wszystko wyszło z tego coś dobrego. Sam jednak szukałbym rozwiązań bardziej roztropnych, wstrzemięźliwych i szanujących instytucje naszego państwa. Na tym według mnie polega cnota prawidłowego sprawowania władzy i odpowiedzialność, jaką narzuca sprawowany urząd. Wiążąca jest maksyma: „Cokolwiek robisz, czyń roztropnie i z uwagą badaj konsekwencje swoich decyzji”. Rządzący nie mają prawa czynić z nas zakładników swoich namiętności.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Michał Królikowski – adwokat, dr hab. nauk prawnych, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, był wiceminister sprawiedliwości (2011–2014), szef Biura Analiz Sejmowych (2006–2007), członek Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Karnego przy Ministrze Sprawiedliwości (2009–2015).

POMOC



PRĄD Z POMOCĄ FACHOWCÓW.

**PRĄD W PGE JEST ZAWSZE W STAŁEJ CENIE,
ALE TERAZ TAKŻE Z DODATKOWYMI USŁUGAMI.**

Szukasz idealnej ceny za energię elektryczną?
Sprawdź nową ofertę PGE i wybierz najkorzystniejsze
dla Ciebie rozwiązanie.

Szczegóły oferty, w tym dotyczące gwarancji ceny, zawarte są w regulaminie
oferty, dostępnym na zapewniamyenergie.pl, www.gkpge.pl, pod numerem
telefonu 422 222 222 (koszt połączenia według taryfy operatora)
lub u doradcy w Biurze Obsługi Klienta.


zapewniamyenergie.pl

W marcu bieżącego roku był I prezes Sądu Najwyższego Adam Strzembosz w odpowiedzi na zarzuty Jarosława Kaczyńskiego wydał następujące oświadczenie: „Sąd Najwyższy nie jest ostoją systemu komunistycznego ani organem służącym obcym interesom. Na podstawie ustawy z 20 grudnia 1989 r. wówczas orzekający w nim sędziowie na skutek skrócenia ich kadencji odeszli, a nowy skład wybrała powołana na podstawie tejże ustawy Krajowa Rada Sądownictwa. Było to okazją, by SN zapełnił się najwybitniejszymi sędziami i profesorami prawa, którzy z przyczyn politycznych nie mieli uprzednio szans na tego rodzaju awans. Wśród nich znaleźli się m.in. działacze Solidarności w sądach, a więc osoby, które wykazały się szczególną odwagą cywilną”.

Ten sam prof. Strzembosz, który w 1990 r. został pierwszym niepocho-
dzącym z komunistycznego nadania I prezesem Sądu Najwyższego, stwierdził wówczas, że środowisko sędziowskie oczyści się samo. Niestety ani jego oświadczenie, ani stwierdzenie z lat 90. nie wytrzymują konfrontacji z rzeczywistością.

GRZECZY GŁÓWNE

Sąd Najwyższy obciążają przede wszystkim orzeczenia, które pozwoliły uniknąć odpowiedzialności komunistycznym zbrodniarzom oraz kłamcom lustracyjnym. Jednak warto też zwrócić uwagę, że w dwóch izbach Sądu Najwyższego – wojskowej i karnej – 36 lat po wprowadzeniu stanu wojennego zasiada sporo sędziów skazujących opozycjonistów na drakońskie nieraz kary.

Jednym z najkorzystniejszych orzeczeń wydanych w interesie komunistycznych zbirów było uznanie w 2010 r. za przedawnione przestępstw zagrożonych karą do lat pięciu. Orzeczenie to pozwoliło uniknąć odpowiedzialności wielu ube-
kom i esbekom, którzy np. dopuszczali się porwań czy pobić opozycjonistów. Pion lustracyjny na skutek tego orzeczenia musiał umorzyć kilkadziesiąt postępowań, gdyż czyny, których dopuścili się funkcjonariusze służb komunistycznych, przestały być uważane za zbrodnie komunistyczne, które nie podlegają przedawnieniu.

Równie skandaliczne orzeczenia zapadały w sprawach lustracyjnych. Dwie najbardziej bulwersujące dotyczą Maria-



Cezary Gmyz

W Sądzie Najwyższym 36 lat po wprowadzeniu stanu wojennego wciąż zasiadają sędziowie skazujący opozycjonistów w latach 80.

Sędziowie „najwyżsi”

na Jurczyka, przywódcy strajku w 1980 r. w Szczecinie oraz opozycjonisty i byłego wiceministra spraw zagranicznych Macieja Kozłowskiego. W obu tych przypadkach Sąd Najwyższy podważył prawomocne orzeczenia sądów i mimo oczywistych dowodów na materializację współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa uwolnił obu od zarzutów kłamstwa lustracyjnego.

Najbardziej bulwersująca sprawa dotyczy jednak nie współpracowników bezpieki, lecz kadrowego oficera Departamentu I Tomasza Turowskiego. W swoim oświadczeniu lustracyjnym zataił on służbę od połowy lat 70. w najbardziej zakomspirowanej komórce komunistycznego wywiadu – Wydziale XIV, który prowadził tzw. nielegalów. Turowski na polecenie bezpieki wstąpił do zakonu jezuitów i do końca lat 80. inwigilował papieża, emigrację i opozycję, wyrządzając niepowetowane szkody. Mimo to sąd drugiej instancji uwolnił go od zarzutów kłamstwa lustracyjnego. Kasację na niekorzyść Turowskiego wniósł prokurator generalny. Sąd Najwyższy ją jednak odrzucił, co skutkuje kuriozalnym orzeczeniem, że Turowski, który w oczywisty sposób podał nieprawdę w oświadczeniu lustracyjnym, złożył prawdziwe oświadczenie lustracyjne!

Co ciekawe, w sprawach Kozłowskiego i Turowskiego orzekali sędziowie, którzy w latach 80. orzekali na podstawie dekretu o stanie wojennym.

Pierwszy z nich to Waldemar Płocienik. W bazie IPN (www.13grudnia81.pl) jest odnotowana jedna sprawa, w której orzekał jako przewodniczący. Dotyczyła ona żołnierza Jerzego Zaremby, który w jednostce wojskowej w Unieściu koło Koszalina odręcznie napisał dokument zatytułowany „Zima 82/83 Wojskowy Obóz Internowanych”. Trzeba jednak uczciwie stwierdzić, że akurat w tej sprawie oskarżony został niewinny.

Drugi z sędziów Bogdan Rychlicki, ten, który był w składzie orzekającym sprawy kasacyjnej Tomasza Turowskiego, z całą pewnością nie należał do pobłażliwych i w bazie IPN ma pokąźną liczbę spraw zakończonych wyrokami skazującymi, których sprawców z sowiecka nazywano anegdotcznikami, czyli opowiadającymi kawały, i skazywano za tzw. szeptankę. Jedną z najbardziej bulwersujących jest sprawa Stanisława Bartosiewicza. W akcie oskarżenia brzmiało to znacznie poważniej. Bartosiewicza oskarżono o to,

że „w dniu 23.02.1982, jadąc pociągiem relacji Koszalin – Goleniów [...] publicznie poniżał istniejący ustrój polityczno-prawny Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, wyszydzając Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą i jej członków”. Wyrok też był poważny – dwa lata bezwzględnego więzienia. Nie był to jednak najsurowszy wyrok, jaki zapadł z udziałem dzisiejszego sędziego Sądu Najwyższego. Był on w składzie orzekającym, który w trybie doraźnym w październiku 1982 r. wymierzył Zofii Łyżbińskiej karę czterech lat więzienia za to, „że w miesiącu lipcu i sierpniu 1982 r. w Koszalinie i Stajkowie w woj. koszalińskim jako członek zawieszonego w działalności NSZZ »Solidarność« nie odstąpiła od udziału w niej i w porozumieniu z Janem Habermanem oraz innymi, nieustalonymi, osobami nielegalnie sporządzała metodą powielaczową i rozpowszechniała sygnowane przez ten Związek materiały w postaci różnego typu biuletynów, ulotek i innych wydawnictw zawierających fałszywe wiadomości mogące wywołać niepokój publiczny i rozruchy m.in. poprzez przypisywanie działalności legalnych władz państwa cech terroru i dążenia do wyniszczenia narodu polskiego oraz wezwania do organizowania wobec nich różnych form oporu społecznego”. Nie są to oczywiście wszystkie sprawy, które na sumieniu ma sędzia Rychlicki. Zainteresowanych kilku-nastoma innymi odsyłam do bazy IPN.

„SPRAWIEDLIWYCH” JEST WIĘCEJ

Ci dwaj sędziowie to jednak nie wszyscy, którzy orzekali na podstawie dekretu o stanie wojennym. Wciąż orzeka sędzia Jerzy Steckiewicz. Był on w składzie, który wymierzył karę roku więzienia Lucjanowi Cybulce za to, „że w dniu 30.08.1982 r. w Białymstoku wziął udział w rozpowszechnianiu nielegalnie wydawanej przy pomocy druku w okresie obowiązywania stanu wojennego ulotki sygnowanej przez Tymczasową Komisję Regionalną NSZZ »Solidarność« – tzn. odezwę do członków NSZZ »Solidarność« Regionu Białystok w ten sposób, że nakleił na tablicy ogłoszeń w Fabryce Przyrządów i Uchwytów w Białymstoku, której treść zawierała fałszywe informacje na temat sytuacji społeczno-politycznej panującej w kraju mogące wywołać niepokój publiczny lub rozruchy”.

Inny sędzia SN Marian Buliński był w składzie orzekającym, który wymierzył Bolesławowi Bojaruńcowi karę aż

siedmiu lat bezwzględnego więzienia m.in. za to, że „w dniu 15 lipca 1982 r. w godzinach wieczornych w celu przeprowadzenia akcji protestacyjnej przeciął przewody telefoniczne na szlaku kolejowym Linkowo – Nowy Młyn, zbił izolatory i zwał przewody telefoniczne, przez co spowodował istotne zakłócenia w łączności kolejowej i w ruchu pociągów przez czas około 12 godzin oraz spowodował szkodę w mieniu PKP w wysokości 2885,50 zł”, a także „w dniu 2 czerwca 1982 r. w godzinach nocnych wykonał czerwoną farbą na przystanku PKP w Lipinkowie napisy o treści łączącej osobę Premiera Rządu PRL oraz nawołujące do nieposłuszeństwa ustawie i rygorom stanu wojennego”.

Inny sędzia stanu wojennego z SN to Józef Dołhy. Ma on na swoim sumieniu kilka wyroków, jako członek składów orzekających na podstawie dekretu o stanie wojennym. Jednym z nich jest sprawa Grzegorza Kukowskiego, któremu wymierzono dwa lata więzienia za to, że w „dniu 15 sierpnia 1982 r. na terenie Jednostki Wojskowej 3339 w Malborku, na jednym z samochodów ciężarowych zaparkowanych w miejscu dostępnym dla innych żołnierzy sporządził czytelny tekst, w którym zamieścił fałszywe wiadomości o rzekomo powszechnej społecznej dezaprobatie polityki ZPZR, nawoływał żołnierzy WP do niesubordynacji i buntu przeciwko władzom przełożonym, nieposłuszeństwa aktom prawnym władzy państwowej oraz do nielegalnego opanowania obiektów wojskowych, zapowiadając jednocześnie krwawą rozprawę z komunistami, co w konsekwencji – z uwagi na pozostawienie wyżej wymienionego tekstu ogólnodostępnym do dnia 23 sierpnia 1982 r. – mogło wywołać niepokój publiczny oraz osłabić gotowość obronną PRL, przy czym w chwili czynu miał w znacznym stopniu ograniczoną zdolność pokierowania swoim postępowaniem”.

Nie są to jedyni sędziowie Sądu Najwyższego, którzy skazywali opozycjonistów. Na podstawie dekretu o stanie wojennym orzekali też sędziowie Jacek Sobczak oraz Andrzej Siuchniński. Nie jest to jednak zapewne lista pełna. Warto pamiętać, że po formalnym zniesieniu stanu wojennego w 1983 r. sądy skazywały opozycjonistów na podstawie kodeksu karnego. Tych wyroków baza IPN na razie jeszcze nie obejmuje.



FOT. BAPAL OLESIEWICZ/REPORTER



Piotr Gociek

Politykę balonów próbnych można realizować dobrze lub źle. PiS realizuje ją źle

Po niemal dwóch latach rządzenia Zjednoczona Prawica (a przede wszystkim nadające ton i priorytety jej poczynaniom Prawo i Sprawiedliwość) robi wrażenie wciąż zaskoczonych skalą swojego zwycięstwa – tym, że jest pierwszym ugrupowaniem, które dysponując samodzielną większością w parlamencie, może zrobić bardzo wiele. Chociaż wokół niektórych projektów wybuchają kontrowersje (niekiedy w samym obozie rządzącym), arytmetyka sejmowa jest argumentem ostatecznym: możemy przegłosować, więc przegłosujemy.

Apetyt rośnie jednak w miarę jedzenia, a hasła gruntownej przebudowy państwa rzucane były na serio, tymczasem PiS większości konstytucyjnej w parlamencie nie ma i mieć nie będzie. Reformatorzy starają się wykorzystać do maksimum większość zwyczajną, próbując rozwiązać

ustawami kwestie, które – jak wytyka opozycja – zahaczają już o zmiany konstytucyjne. Sprzyja im bilans dotychczasowych rządów i dobra koniunktura międzynarodowa.

Rząd PiS ma się czym pochwalić: sukcesem programu „500+”, rekordowo niskim bezrobociem, radykalnym wzrostem wpływów do budżetu, osiągnięciami w polityce międzynarodowej (mimo sporu z Brukselą). Te sukcesy zachęcają do kolejnych zmian i budują w rządzących przekonanie o swojej nieomyślności. Skoro mieliśmy rację w rozmaitych kwestiach, co do których opozycja i front związanych z nią ekspertów oraz mediów wieszczyli katastrofę, to znaczy, że w następnych sprawach będzie podobnie. Do dzieła zatem! I rzeczywiście, nie ma miesiąca, ba, czasem nawet tygodnia, bez zapowiedzi kolejnych rewolucyjnych reform.

W PRZÓD I W TYŁ

Żaden rząd nie działa jednak w próżni (nawet jeśli taka próżnia znajduje się w umysłach pogubionej i miałkiej opozycji), można mieć większość i uchwalić, co się żywnie podoba, ale gwarancji sukcesu nie ma – jest jeszcze opinia publiczna, są spory wewnątrz własnego obozu, jest nadchodzący trójkosk wyborów: samorządo-

wych, do europarlamentu i parlamentarnych. Są też wyraźne sygnały, że pewnych rozwiązań przeforsować się nie da, bo okoniem staną instytucje Unii Europejskiej. Przekonaliśmy się o tym podczas dyskusji nad podatkiem od hipermarketów, przekonujemy i w kwestii finansowania mediów publicznych.

PiS musiał się więc z różnych powodów z niektórych rozwiązań wycofać lub przynajmniej postąpić pół kroku w tył. O podatku handlowym już wspominałem, była jeszcze nieudana próba uchwalenia metropolitalnej ustawy warszawskiej, ostatnio nieudana próba wprowadzenia podatku paliwowego na fundusz dróg samorządowych. Nie zakończyła się dyskusja o wolnych od handlu niedzielach – tu wiele obiecano Solidarności, ale nie zanoszą się na realizację tych obietnic. Porzucono pomysł ograniczenia kadencyjności wójtów i burmistrzów w wersji odbierającej prawo startu w roku 2018 tym, którzy już rządzą dłużej niż jedną kadencję. Odsunięto w czasie kwestie zmian w ustawie aborcyjnej. W tej chwili zmieniane są pospiesznie zapisy określające na nowo kształt Krajowej Rady Sądownictwa i Sądu Najwyższego.

Były i sprawy drobniejsze: czy ktoś pamięta jeszcze, że mignął pomysł obowiązkowych kart dla rowerzystów, że

osoby przechodzące na emeryturę według nowych (czyli przywróconych zasad) miały dostać jednorazowo 10 tys. zł, jeśli zobowiążą się, że nadal będą pracować, zamiast przejść na garnuszek ZUS. Długo by wymieniać. Jednak były i propozycje rewolucyjne: takie jak jednolity podatek na przykład. Były też – odnotujmy z kronikarskiego obowiązku – propozycje mocno PR-owe, w których zbawienność wierzyli chyba tylko ci, którzy je wysuwali. Na przykład osławiona Konstytucja dla Biznesu wicepremiera Morawieckiego. Były również pomysły bardzo dobre – osławione „lex Szyszko” przywracające Polakom prawo do decydowania o tym, co mogą zrobić na własnej ziemi – zepsute tymi samymi rękami, które ustawę tworzyły.

Owe kroki w tył wykonywane były z różnych powodów – wsteczna dwukadencyjność budziła sprzeciw wewnątrz Zjednoczonej Prawicy (wicepremier Gowin, część samorządowców). Konstytucja dla biznesu utknęła w tzw. ustaleniach międzyresortowych. Reforma sądów zmieniana jest pod naciskiem prezydenta Andrzeja Dudy. Niektóre propozycje nie były dobrze przemyślane (zmiana ustroju Warszawy), przy innych zwyciężyła obawa, że elektorat zawyje (podatek paliwowy). Część zmian, które wywołały burzliwe dyskusje, nigdy nie powinna była się stać ich przyczyną, bo nigdy nie miała ujrzeć światła dziennego – były to pomysły dopiero rozważane przez wyrrywających się pojedynczych przedstawicieli rządu (czasem niższego szczebla) i nieopatrznie ujawnione. Tylko że tego też trzeba pilnować, panie i panowie ministrowie.

„Ile Prawo i Sprawiedliwość zapłaci za wypuszczanie balonów próbnych” – pytał na łamach „Rzeczpospolitej” kilka dni temu Michał Sułdrzyński, mając na myśli zamieszanie wokół SN, ale pytanie należałoby rozszerzyć na wszystkie reformatorskie zapędy PiS. Wrażenie bowiem pozostaje takie: pomysłów jest mnóstwo, a które są dobre (albo akceptowane), to się zobaczy. I hajda, do Sejmu, z kolejną ustawą.

RYZYKOWNA ZABAWA

Polityka balonów próbnych – wypuszczanie pogłosek o planowanych zmianach, by sprawdzić, jak rezonują w mediach, w elektoracie i jak reaguje polityczna opozycja – to żadna nowość. Robił tak regularnie Donald Tusk, czyniąc zresztą z tych „newsów” jeszcze jedno (prócz rządowych reklam i ogłoszeń spółek Skarbu

Państwa) narzędzie układania sobie dobrej współpracy z niektórymi mediami.

Zasada jest prosta: informację przekazuje się do zaufanej redakcji, jest to materiał na wyłączność, zwykle dzień przed innymi gazetami albo kilka dni przed konferencją prasową. Taki news kontrolowany jest zwykle odpowiednio naświetlony, tak by uwypuklić zalety, a ukryć wady. Potem cudze ręce odwalają całą robotę – skoro newsa mieli jedni, to dzień później sprawę nadrabiają inni, rozrabiają temat, obduwają komentarzami, pytają ekspertów. Nie chodzi oczywiście o to, że ministra X czy Y nie stać na ekspertów, bardziej o to, że taki rekonesans nadaje się dobrze do rozpoznania przyszłego pola walki: gdzie będzie największy opór, jakich argumentów użyje opozycja, czy podczas przygotowywania zmian nie przegapiono jakiegoś frontu, na którym niespodziewanie mogą wybuchnąć walki.

Tusk, polityk ostrożny do przesady, chwalił się jednak tym, że jego rządu nie ogarnie gorączka produkowania nowych ustaw. Wręcz szczycił się legislacyjnym nieróbstwem. Była to część planu rządzenia – nie antagonizujemy żadnych grup interesu, więc wielu rzeczy po prostu nie ruszamy. Na tle tego dryfu, tego impossibilizmu, tego kunktatorstwa, dzisiejsza nadaktywność PiS robi imponujące wrażenie. Politykę balonów próbnych można jednak realizować dobrze lub źle. PiS realizuje ją źle. Tak, wiem: „Nie będziemy rządzić PR-em” – wołają politycy PiS, ale się mylą. Badania nastrojów Polaków przed procesem legislacyjnym, a nie po nim, mogliby się nauczyć. Nawet od Tuska. Utrącanie ustaw w locie, wycofywanie ich, bo tak kazał nagle Jarosław Kaczyński (który jeszcze parę dni wcześniej groził wyrzuceniem z list wyborczych tym, którzy nie podniosą ręki „za”), pozostawianie reformatorskich pomysłów, ale zrealizowanych w połowie – to nie jest właściwa droga.

Owszem można się chwalić: patrzcie, Polacy tego nie chcą, więc się wycofujemy. Czy naprawdę nie można było zapytać Polaków wcześniej? Socjologów i speców od badań w obozie Zjednoczonej Prawicy nie brakuje. A że wiele potrafią i mają dobrą intuicję, pokazały obydwie kampanie wyborcze w roku 2015 (prezydencka i parlamentarna). Chyba że PiS chce rządzić, stosując dobre rady rabina ze słynnej anegdoty o kozie. Pamiętają państwo: nękanemu niezliczonymi problemami Żydowi rabin kazał jeszcze kupić kozę. Po tygodniu kazał się

tej kozy pozbyć, a szczęśliwy bohater anegdoty cieszył się, że mu ulżyło. Polityka PiS momentami niebezpiecznie zbliża się do tego modelu: dorzucimy wam jeszcze taki pomysł. I jeszcze jeden, i kolejny, a potem uszczęśliwimy, z niektórych się wycofując.

To ryzykowna zabawa. Skoro kontrowersyjne, nieprzemyślane pomysły nieustannie się pojawiają, to słaba i podzielona opozycja za każdym razem dostaje wiatr w żagle, bo nawet po rezygnacji czy złagodzeniu niektórych ustaw pozostają powody do punktowania rządzących. Wyborcy umiarkowani mogą w pewnym momencie realizowania polityki „na kozę” też mieć dosyć i dojść do wniosku, że rządzi Polską ludzie nieobliczalni. Wyborcy najwierniejsi będą się irytować, że radykalne pomysły są osłabiane, więc PiS nie spełnia obietnic. Sam PiS też nie ułatwi sobie rządzenia – zamieszanie wokół KRS i SN tego dowodzi. Uwzględnienie zmian proponowanych przez prezydenta utrudniłoby przecięcie wrzodu, ale nie odbierze paliwa opozycji oraz przeciwnikom rządów PiS spoza Polski.

POWRÓT SZERYFA

I na koniec raz jeszcze o wrażeniach, bo to one w polityce są niesłuchane ważne – wbrew pohukiwaniom najtwardszych wrogów PR i zwolennik tezy o tym, że to, co słuszne, nie musi się ludziom podobać. Bez zrozumienia u elektoratu rządzić się nie da. Na razie zwolennicy PiS stoją za rządem, ale mają prawo do narastających wątpliwości. Głosowali przecież na ekipę, która miała być dobrym wyborem na trudne czasy. W trudnych czasach zaś potrzebne są: zdecydowane działania, ostre cięcia, śmiałość i konsekwencja.

Taki wizerunek miało i chyba jeszcze wciąż ma Prawo i Sprawiedliwość. Polityka balonów próbnych, nieustanny taniec: krok w przód, pół kroku w tył, fundowany sobie samemu przez nieprzemyślane posunięcia, ten wizerunek może zrujnować. A to w połączeniu z narastającą skłonnością do powtarzania błędów poprzedników – pychą, nadmierną dbałością o własne interesy, arogancją władzy – może pogrzebać nadzieje PiS na drugą kadencję szybciej, niż się komukolwiek wydaje. Ludzie lubią rządy szeryfów tylko wtedy, gdy mają pewność, że to twardzi goście, po których zawsze wiadomo, jak się zachowają. Nikt nie będzie popierał szeryfa, który sam nie wie, co i właściwie z jakiego powodu chciałby zrobić.



Rafał A. Ziemkiewicz

Zagorzali przeciwnicy PiS tworzą narrację rozgrzeszającą przemoc i łamanie prawa. To bardzo niebezpieczna droga

Przy okazji batalii o reformę sądownictwa „opozycji totalnej” udało się wreszcie odnieść pewien sukces – sukces na jej obecną miarę, ale upragniony od miesięcy. Jarosławowi Kaczyńskiemu puściły wreszcie nerwy i z sejmowej trybuny nazwał politycznych przeciwników „kanaliami”, apelując, by „nie wycierali sobie swoich zdradzieckich mord” imieniem jego brata, którego „zamordowali”. Reakcja na ten emocjonalny wybuch prezesa PiS była łatwa do przewidzenia: istny festiwal podszytego radością oburzenia liderów i wszelkiego rodzaju autorytetów obozu „żeby znów było, jak było”.

Dokładnie tak samo, jak było po „ZOMO” czy „gorszym sorcie”, ale o tyle głośniej, że opozycja jest dziś jeszcze bardziej przegrana i jeszcze bardziej złakniona nimbu męczeństwa niż wtedy. Można być pewnym, że podobnie jak tamte emocjonalne wpadki Kaczyńskiego będzie ona wykorzystywana w politycznej propagandzie PO i Nowoczesnej przez wiele miesięcy. Zwłaszcza że oburzanie się słowami: „Stoją dziś tam, gdzie wtedy stało ZOMO” i „Donoszenie na własny kraj ma w genach ten najgorszy sort Polaków” wymagało ich wyrwania z kontekstu i zmanipulowania, a tym razem Jarosław Kaczyński po raz pierwszy „bluzgnął” opozycji wprost w oczy.

PRAWO DO BEZPRAWIA

Jest co prawda w tym sukcesie przyśłowiowa łyżka dziegciu – Kaczyńskiemu zdarzyło się wybuchnąć krótko po tym, jak Adam Michnik naubliżał dziennikarzowi TVP od „sk...synów”. Ci sami, którzy unieśli się oburzeniem po słowach Kaczyńskiego, jeszcze chwilę wcześniej na okoliczność Michnika bagatelizowali, że każdemu, a zwłaszcza człowiekowi starszemu i poddanemu silnym emocjom, może się to zdarzyć i nie ma z czego robić sprawy. Nie z takimi jednak sprzecznościami potrafili sobie radzić twórcy narracji, zresztą publiczność, do



której się zwracają, na hipokryzję swych idoli jest ślepa.

Zauważmy jednak, że obok groteskowego wrzasku, jaka to znowu straszliwa krzywda stała się zniesławionym „kanaliami”, sprowokowanie Kaczyńskiego do tych słów służy także budowaniu kolejnej narracji „opozycji totalnej”, służącej delegitymizowaniu jego władzy, podważaniu prawomocności wyborczego werdyktu i zwalnianiu się z obowiązków wobec „państwa PiS”. Z tą samą jedynowiernością, z jaką wcześniej powtarzały, że „Kaczyński przecież nie wierzy w zamach”, tylko „cynicznie, na zimno gra trumnami swego brata

i innych ofiar”, teraz grona autorytetów orzekły, iż „Kaczyński wierzy w zamach, widzi wokół siebie morderców” i „ślepo mści się na Polsce”.

To już rzecz idąca nieco dalej niż – jakby to ujął nieodżałowany „Szpot” – moszczenie się liniejących „gęgaczy” na pluszowych krzyżach. To, w czym zwykły człowiek dojrzy raczej chwilę słabości starszego, samotnego mężczyzny, który o śmierci najbliższego sobie człowieka nie umie mimo upływu lat myśleć z dystansem i ze spokojem, chwilę słabości w gruncie rzeczy go uczłowieczającą i „ocieplającą” demonizowany w opozycyjnych mediach wizerunek, starają się



FOT. MATELUSZ WŁODARCZAK / FORUM

dyrygenci anty-PiS przekuć w argument za prawem opozycji do podejmowania działań nadzwyczajnych.

W istocie, pod warstwą zachowań śmiesznych i groteskowych, po umownej lewej stronie „wojny polsko-polskiej” możemy bowiem zaobserwować coś naprawdę groźnego, coś, co powinno niepokoić. Jakaś część przegranych w żaden sposób nie potrafi pogodzić się z przegraną, nie przyjmuje argumentu, że została odrzucona demokratycznie przez zdecydowaną większość społeczeństwa, i coraz wyraźniej przyznaje sobie prawo do łamania zasad. To nie jest nasze państwo, to nie jest nasz prezydent, prawo

w Polsce jest tylko prawem PiS, a nie obywateli, sądy – za chwilę, a Trybunał Konstytucyjny – już też się nie liczą, bo są „PiS-owskie”.

PLUSZOWE MĘCZEŃSTWO

To rozumowanie, fundamentalne dla „opozycji totalnej” nie od dziś, wie-dzie nieuchronnie do wniosku, że tym, którzy działają przeciwko PiS, wolno wszystko. Z początku owo „wszystko” oznaczać jednak miało „obywatelskie nieposłuszeństwo”. Wielu wydawało się ono sposobem na łatwe nabicie sobie popularności, niewiążące się ze specjalnymi przykrościami, a jeśli nawet,

to krótkotrwałymi, drobnymi wobec przyszłych profitów. Przez pierwsze miesiące „opozycja totalna” żyła w poczuciu bezpieczeństwa, w którym utrzymywały ją jej media. W ówczesnej wizji alternatywnej Polski „tęfałów” dojście do władzy PiS przedstawiano jako powtórkę z roku 2005, jako krótkotrwały epizod, wywołany zbiegiem okoliczności i rozbiem obozu pomagdałenkowego. W żadnym razie nie dostrzegano w nim przejawu trwałej zmiany społeczeństwa. Celebryci wdający się w antypisowskie pajacowanie wierzyli, że protestują przeciwko władzy, która już jest powszechnie znienawidzona, a im więcej popularnych osób i korporacyjnych elit się przeciwko niej wypowie, tym bardziej jej izolacja będzie się pogłębiać. „Odważne” poniżanie Kaczyńskiego w mediach i publicznych wypowiedziach przypominało im sytuację przeciwiconą przez środowiska opiniotwórcze w dekadzie lat 90., kiedy to wyszydzenie Kościoła, „czarnych” i „państwa wyznaniowego” jednocześnie zapewniało popularność, gorliwą klakę oraz zarobek i pozwalało się czuć męczennikiem, opowiadającemu milionom, jak to zaraz go „spalą na stosie”. Czy jeszcze wcześniejsze nastroje sprzed „nocy teczek”, kiedy to podobną przepustką na salony i szczyty parnasu było demonstracyjne okazywanie pogardy „przyspieszczowi z siekierą” i „małemu Mussoliniemu” – Wałęsie.

Z czasem przyszło zdziwienie. Okazało się, że tym razem szydera elit nie jest przyjmowana przez „doły społeczne” jako coś fajnego i godnego naśladowania. Zaangażowane w nią gwiazdy zaczęły się zwierać nie tylko z lęku, jaki wzbudzały w nich pukanie do drzwi o szóstej rano czy też światła samochodów, którymi być może śledzą je siepacze – stałym elementem pluszowego męczeństwa stał się doświadczany hejt. Ciekawym przykładem był wspólny wywiad trojga aktorów, udzielony „Newsweekowi”, w którym Maciej Stuhr, Maja Ostaszewska i Magdalena Cielecka żalili się, że zaczynają być nawet w swoim środowisku uważani za nawiedzonych i nikt nie chce z nimi rozmawiać o PiS czy „prawach kobiet”, a ostatnia z wymienionych posunęła się nawet do bulwersującego porównania izolacji, w jakiej znalazła się z racji zaangażowania w KOD, z sytuacją „żydowskiego dziecka w czasie Holocaustu”.

Wrogość wobec PiS rozszerzyła się więc i przerodziła szybko w nienawiść

■ nie tylko do wąskiej grupy PiS-owskich „okupantów”, lecz także do całego ich społecznego zaplecza. Fakt, że zaplecze tym okazała się większość społeczeństwa, a w każdym razie, że okazało się ono znacznie liczniejsze niż zaplecze obozu próbującego zatrzymać dobrą zmianę, na niektórych zapewne wpłynęło mitygująco – w pewnym momencie lista „autorytetów” poniżających PiS i Kaczyńskiego w wywiadach wyraźnie się zamknęła, goście weekendowych wydań „Gazety Wyborczej”, TVN24 czy internetowych programów Lisa i Kuźniara zaczęli się stale powtarzać. Innych jednak popchnął ku zradyzowaniu poglądów i rozszerzeniu swej nienawiści do rządzących na „hołotę kupioną za pińśet” czy też „zwożoną autokarami”.

Przyszło to tym łatwiej, że dyskurs elit III RP zawsze miał charakter wyższościowy i zawsze polegał na kontrastowaniu swej „europejskości” i nowoczesności (hasłem Tomasza Lisa, kto jeszcze to pamięta, było reprezentowanie „fajnej Polski”) z rzekomą ciemnotą i brakiem cywilizacji społecznych dołów. Stąd te nieustające filipiki związanych z PO mediów, że Polacy się nie myją, ogradzają na plaży, noszą wasy i skarpety do sandałów, klaszczą po lądowaniu samolotu itd. Wszystko to miało jednak nieco inny charakter w czasach, gdy elity miały powody uważać, że dysponują wielką siłą imponowania, że „chamów” swoimi filipikami zawstydzają i zmuszają, by się „cywilizowali” na ich wzór.

W ostatnich dwóch latach to złudzenie prysnęło i musiało to obudzić w elitach frustrację. Zapewnienia, że elity stanowią „fajną Polskę”, zaczęły ustępować lamentom nad własnym męczeństwem. O ile wcześniej enuncjacje w rodzaju „Nazwał nas wykształciuchami!” i demonstracyjne używanie takich określeń wobec samych siebie miały wstrząsać czytelnikami oraz widzami, prowokować odruch buntu, na zasadzie: „Jak śmie ciemnota nazywać gorszym sortem śmietankę narodu, przecież każdy widzi, że jest właśnie odwrotnie!”, o tyle dziś identyczne enuncjacje służą raczej roztkliwianiu się postinteligencji nad sobą i swoim odrzuceniem, umacnianiu się w przekonaniu, że Polacy to nieuleczalna, prawicowa ciemnota, która nie umie docenić swoich elit i nie zasługuje na nie.

Starsi przedstawiciele anty-PiS przeżywali już podobną depresję, na dobrą sprawę wyleczył ich z niej dopiero Tusk

i mit „młodych, wykształconych z wielkich miast”, którzy mieli raz na zawsze zepchnąć z dziejowej sceny „polsko-katolicki ciemogród”. Na upadek tego mitu i postępującą dominację na scenie politycznej prawicy zareagują zapewne „emigracją wewnętrzną”, co najwyżej wyżalając się na blogach i wyrzucając na nich młodemu pokoleniu, że nie umiało obronić „zdobyczy wolności” i że „przyszłe pokolenia nie wybaczą”.

NIEBEZPIECZNA DROGA

Doświadczenie uczy jednak, że oprócz tych, których frustracja prowadzi do depresji, są i ci, których popycha ku zbrodniom. Już ponad rok temu Piotr Semka przypominał na tych łamach losy pokolenia '68 na Zachodzie. Uczestnicy i sympatycy lewackiej rewolty przeżyli podobną huśtawkę nastrojów, jaka jest dziś udziałem zwolenników „opozycji totalnej”. Najpierw doświadczili sukcesu i przekonania, że będą sprawować „rząd dusz” zawsze, potem zdumienia, że są odrzucani, a w końcu rozgoryczenia,

Wśród uczestników tego szaleństwa znajdują się na pewno tacy, których nie powstrzymają żadne zasady, gdyż już je odrzucili

gdy samo słowo „dixhuitard” stało się w mowie potocznej odpowiednikiem polskiego wyrazu „oszołom”. Większość z nich wycofała się z polityki czy jej komentowania, zajęła swoimi profesjami albo zamknęła w prywatności, część postanowiła nadal walczyć o swą ideologię metodą „długiego marszu przez instytucje”. A część – i to memento wisi dziś nad nami – uznała, że skoro głupie społeczeństwo nie docenia dobrodziejstw komunistycznej rewolucji i konserwuje mieszczański, kapitalistyczny system, trzeba poddać je terrorowi. Z nich wyrosły Czerwone Brygady, Frakcja Czerwonej Armii i inne zbrodnicze organizacje odpowiedzialne za falę lewackiego terroru w latach 70.

Oczywiście to jeśli ktoś zwróci uwagę, że tamte zbrodnie możliwe były tylko dzięki inspiracji, opiece i wsparciu, jakimi otoczyła lewacki terroryzm KGB poprzez powiązane z nią zbrojne

organizacje palestyńskie czy baskijskie, to będzie miał rację. Nie spodziewałbym się w Polsce terroru na porównywalną skalę (choć mając za wschodnią granicą Putina, trudno spać spokojnie). Trzeba jednak alarmować i ostrzegać, że tym razem radykalizm, w którym pograża się „opozycja totalna”, może doprowadzić do ataku samotnego szaleńca, jakim był Ryszard Cyba.

Tym razem wrogowie „państwa PiS” – mówmy otwarcie, bo uprawniają do tego ich działania w kraju i za granicą, po prostu państwa polskiego, które znienawidzili, odkąd zabrano im na nie wpływ – tworzą narrację rozgrzeszającą przemoc, łamanie prawa, fizyczne atakowanie np. dziennikarzy państwowych mediów i innych „sługusów reżimu”, a także członków ich rodzin. I wręcz nawołującą do tego. Tworzą też atmosferę akceptacji dla czynienia tego w sposób zorganizowany, czego dowodem jest swoista „organizacja bojowa” KOD, którą są „obywatele Kasprzaka” i z której już wyłoniła się jeszcze bardziej radykalna fronda „solidarnych w akcji”.

To prawda, że ci, którzy dziś najgłośniejsze do tego nawołują, są raczej śmieszni. Zbigniew Hołdys wyzywający przez Twittera na barykady z luksusowego spa czy oszalały z nienawiści i chyba strachu przed ujawnieniem jakichś spraw Tomasz Lis są równie groteskowi jak partia Razem powiewająca swymi fioletowymi flagami miotającemu gromy na socjalizm PiS Leszkowi Balcerowiczowi.

Radykalizm jednak to równia pochyła, gdy raz się na nią masy wprowadzi, coraz trudniej zatrzymać idącą coraz dalej radykalizację. W słowach, które z beztróską nieodpowiedzialnością wyrzuca z siebie dziś „opozycja totalna”, i w atmosferze skrajnej hysterii, którą nasycą życie publiczne, dochodzi ona do granicy, poza którą bardziej już podkreślić przekazu się nie da. Gdy granica ta zostanie osiągnięta, wśród uczestników tego szaleństwa znajdują się na pewno tacy – bo zawsze się tacy znajdują – których nie powstrzymają żadne zasady, gdyż już je pod wpływem swych przywódców odrzucili.

Jak daleko będą się gotowi posunąć, gdy uznają, że dotychczasowi przywódcy anty-PiS okazali się zbyt miękcy albo „zdradzili” i pogodzili się z „dyktatorem”? Powinniśmy zawczasu przygotować się na to, że będą gotowi posunąć się do wszystkiego, i być na to odpowiednio przygotowani.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Czerwona fala

RYN: MARCEJ ŁUCZMEJSKI/REPORTER


Wojciech Wybranowski

„Antyfaszyści” rozpowszechniają w Polsce apele wzywające do przemocy, grożą protestami podobnymi do ulicznych burd w Hamburgu. Ekspert ostrzega, że choć lewacka ekstrema to dziś w naszym kraju margines, to lekceważenie takich grup może doprowadzić do eskalacji przemocy

Broń palna to anarchizm w akcji, to narzędzie, które natychmiast uwalnia od polegania na hierarchicznej władzy. [...] Kiedy stanie się jasne, że życie anarchisty zagrożone jest przez radiowóz taranujący protest, lub gdy wyciągnięcie broni na wiecu stanie się potencjalnym zagrożeniem, sytuacja przestanie się pogarszać. Policja przestanie nękać ludzi i szaleć po twoim osiedlu, gdy zda sobie sprawę, że ryzykuje coś o wiele więcej niż dwutygodniowe,

płatne wakacje. [...] Dobrze, towarzysze, czy wciąż będziecie pozwalać im na to, by was okradali? Będziecie nadal żyć jak pokojowe i pacyfistyczne stado?” – to fragment apelu, do którego dotarło „Do Rzeczy”, rozpowszechnianego w środowisku ultralewicowych „antyfaszystów”.

Zamieszczono go m.in. na obecnej w polskiej sieci stronie Czarnej Teorii propagującej przemoc w ulicznych starciach. Autorem jest amerykański anarchokomunista ukrywający się pod

pseudonimem Dr. Bones, jednak polscy „antyfaszyści” dokonując przekładu na polski i umieszczając go na swojej stronie internetowej, dodali też parę zdań od siebie.

Brzmiały niepokojąco: „W obliczu ataków przeciwko mniejszościom, bezstannemu wzrostowi popularności skrajnej prawicy, próby określenia Antify jako »organizacji terrorystycznej« i wydarzeniach 20 stycznia nadszedł moment, w którym anarchiści powinni zrewidować swój światopogląd wobec legalizmu, taktyki »non-violence« i używania broni palnej. I nie chodzi tu bynajmniej wyłącznie o anarchistów żyjących w Stanach Zjednoczonych” – wzywają.

– Głoszenie tego rodzaju treści, pozwalanie na propagowanie takich zachowań prowadzi do wzrostu radykalizmu członków grup ekstremistycznych. A to w konsekwencji do eskalacji przemocy wobec policji, wobec przedstawicieli władzy

■ czy ludzi o odmiennych poglądach – ostrzega prof. nadzw. dr hab. Leszek Wieczorek, kierownik Zakładu Prawa Karnego, Kryminologii i Kryminalistyki Uniwersytetu Jana Kochanowskiego.

STARCIA W POLSCE? „JAK NAJSZYBCIEJ”

Ciesząca się złą sławą Antifa to nieformalny „parawan”, za którym organizują się aktywiści z różnych skrajnie lewicowych i anarchistycznych środowisk. Przegląd informacji, apele i wezwania zamieszczanych na stronach internetowych organizacji funkcjonujących również w Polsce sprawia wrażenie tworzenia coraz groźniejszej międzynarodowej bojówki. Na witrynach WWW polskich środowisk „antyfaszystowskich” można znaleźć więc np. pełną zadowolenia opowieść o podpaleniu przez lewicowych bojówkarzy „w proteście przeciw wyborom” przewożącego pasażerów autobusu w Chile czy pochwałę zniszczenia wielu pojazdów podczas awantur w Niemczech. „Podłożyliśmy ogień pod dużą ilość nowiutkich luksusowych samochodów na parkingu pod centrum Porsche w dzielnicy Finkelstein w Hamburgu” – szczycą się lewicowi ekstremiści. Nie brakuje też relacji z burd w Polsce – rozbijania pikiet organizowanych przez środowiska narodowe i konserwatywne, przez lewicowych ekstremistów określanych mianem „faszystów”.

– Pojęcie „pokojoych anarchistów” to wymysł z ostatnich kilkunastu lat, wykreowany po tym, gdy niemiecka policja skutecznie rozprawiła się z lewackim terroryzmem lat 70. Teraz następują ponowne przeformatowanie „myśli anarchistycznej” i wzrost agresji tego środowiska – zauważa Dariusz Loranty, ekspert ds. bezpieczeństwa Środkowoeuropejskiego Instytutu Badań i Analiz Strategicznych CIRSA, były policjant. I wskazuje: – Najpierw mamy bierny opór, później zaczynają się uliczne bójki i napaści, a w dalszej perspektywie istnieje zagrożenie zorganizowanej przemocy.

Na jednej z „antyfaszystowskich” stron zamieszczono wywiad z Polakiem, który uczestniczył w ulicznych zamieszkach w Hamburgu. Z dumą opowiadał o walce, którą on i jego „towarzysze” stoczyli z policją, usprawiedliwiał płądrowanie sklepów i dewastowanie samochodów. „Moim zdaniem są dwa rodzaje samochodów, te służące zwykłym ludziom i te burżujskie, będące symbolami bogactwa

pochodzącego z wyzysku. W czasie protestów paliły się w większości te drogie” – przekonywał ekstremista.

W publikacji pada też pełne oczekiwania pytanie prowadzącego stronę „antyfaszysty”: „Kiedy w Polsce takie protesty?”. I odpowiedź: „Oby jak najszybciej. W Polsce jest wyraźnie o co protestować i czemu stawiać opór. Moim zdaniem im szybciej ruch antykapitalistyczny w Polsce dorośnie do stawiania oporu w tak dosadny i wyraźny sposób jak w Hamburgu, tym lepiej” – tłumaczy uczestnik hamburskich zamieszek.

W awanturach w Hamburgu uczestniczyła grupa co najmniej kilkudziesięciu bojówkarzy z Polski, czterech z nich zostało zatrzymanych. Komenda Główna

ekstremy spod znaku Antify ograniczają się w praktyce do monitorowania stron internetowych. Jego zdaniem po części wynika to z błędnego założenia, że skoro grupy „antyfaszystów” są nieliczne, to zagrożenie płynące z ich strony jest niewielkie, a po części z tego, że w minionych latach więcej wagi przykładano do rozpracowywania środowisk narodowców i kibiców.

– To prawda, że ruchy ekstremistyczne, w tym radykalnie lewicowe jak owa Antifa są monitorowane przez stosowne instytucje, ale mam wrażenie, że w świetle obecnych wyzwań sam monitoring może okazać się nieskuteczny. Często trudno przewidzieć zasięg takich ruchów i to jakie mają powiązania – zauważa prof. Brunon Hołyst, kryminolog.



„Nacjonalizm nie przejdzie”, Poznań, 8 kwietnia 2017 r. FOT. ŁUKASZ CDAK/POLSKA PRESS/EAST NEWS

Policji pytana przez „Do Rzeczy” przekazuje, że podobnie jak ABW monitoruje treści zamieszczane przez „antyfaszystów” na polskich stronach WWW i ma rozeznanie w środowisku lewackich ekstremistów spod znaku Antify. Gdy jednak pytamy o konkrety – wskazując wydarzenia i publikacje – odpowiedzi brak.

– Polska policja we współpracy z innymi służbami odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo prowadzi wiele działań operacyjnych mających na celu zapobieganie i zwalczanie przestępczości. Ze względu na niejawną naturę tych działań informacje w tym zakresie nie mogą być upubliczniane – przekonuje podkom. Dawid Marciniak z KGP w Warszawie.

Tyle że jeden z naszych informatorów, doświadczony policjant, z którym nieoficjalnie rozmawialiśmy o całej sprawie, twierdzi, że policyjne działania wobec

Czy rozeznanie policji w środowisku lewackich ekstremistów jest wystarczające, by przeciwdziałać przemocy? Można się zastanawiać. Gdy pytamy KGP o rozróby, w których brali udział bojówkarze Antify, odpowiedź brzmi: „Z wyjątkiem Poznania i Marszu Niepodległości sprzed kilku lat innych tego typu sytuacji nie zanotowano”. W rzeczywistości w ostatnich latach było ich znacznie więcej; do awantur z udziałem „antyfaszystowskich” zadymiarzy doszło m.in. w Tczewie, Warszawie, Katowicach, Pile czy Lublinie.

„TĘCZOWY JACEK” I LEWACCY BOJÓWKARZE

To Poznań w coraz szybszym tempie staje się miastem, w którym środowiska Antify są najsilniejsze. A część naszych rozmówców zauważa, że wiele groźnych ekscesów, które za sprawą lewackich

ekstremistów kilkakrotnie już miały miejsce w Poznaniu, wskazuje na to, że – choć Antifa to dziś grupa bez większego wsparcia młodych ludzi – problemu nie można lekceważyć.

Jesienią ubiegłego roku, podczas organizowanego przez środowiska lewicowe czarnego marszu, kilkudziesięciu lewackich bojówkarzy usiłowało zaatakować mieszczące się w centrum Poznania biuro Prawa i Sprawiedliwości. Anarchiści i lewacy ekstremiści, usiłujący dostać się do siedziby partii rządzącej, kamieniami, petardami i płonącymi racami obrzucili pilnujących porządku policjantów. Rannych zostało pięciu funkcjonariuszy, w tym jeden ciężko.

Jednak to policję, a nie zadymiarzy skrytykował prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak (PO) i zażądał wyjaśnień, czy użycie oddziałów prewencji i środków przymusu bezpośredniego wobec ekstremistów było uzasadnione.

Mimo tych brutalnych wydarzeń już pół roku później, w kwietniu tego roku, Jaśkowiak, któremu krytycy – po tym, jak wziął udział w Paradzie Równości – nadali przezwisko Tęczowy Jacek, osobiście pojawił się wśród anarchistów i ubranych w charakterystyczne czarne stroje aktywistów Antify. Na poznańskim deptaku organizowali oni manifestację „Nacjonalizm nie przejdzie!”. Prezydent miasta rozdawał uśmiechy i pozował do zdjęć. Tuż przed rozpoczęciem demonstracji Jaśkowiak mówił też: „Jestem przeciwnikiem nacjonalizmu, zwłaszcza w skrajnych, faszyzujących postaciach. Dlatego przyszedłem posłuchać poznaniaków, którzy przeciwko temu chcą zaprotestować”.

Zniknął, gdy krótko po rozpoczęciu manifestacji kolejny raz doszło do ulicznych starć. Najpierw antifowcy starli się z grupką kibiców Lecha Poznań (przy okazji tej bójki jeden z lokalnych portali zauważył, że niektórzy „antyfaszyści” mieli przygotowane kije baseballowe używane jako drzewce do flag), a następnie, ponownie w pobliżu siedziby PiS, rozpoczęły walkę z interweniującymi funkcjonariuszami policji. Sześciu z nich zostało zatrzymanych.

Teraz ludzie prezydenta Jaśkowiaka, pytani przez „Do Rzeczy”, przekonują, że na demonstracji lewackich bojówkarzy był on... przypadkiem.

– W czasie trwania demonstracji pod hasłem „Nacjonalizm nie przejdzie!” prezydent miasta Poznania przyglądał się

temu wydarzeniu, przebywając w pobliżu prywatnie. Bywa na różnego typu spotkaniach, organizowanych przez zróżnicowane środowiska. Przygląda się w ten sposób wydarzeniom, które odbywają się w mieście, by poznać i obserwować nastoje społeczne, a także działania służb porządkowych – twierdzi Hanna Surma, rzeczniczka prezydenta miasta.

– Jaśkowiak buduje swoją pozycję nie na rozwiązywaniu spraw ważnych dla miasta, ale na podgrzewaniu sporów ideologicznych, w których tak skrajne organizacje jak Antifa dobrze się czują, tym samym kokietuje je, stwarzając przyzwolenie dla aktywności ekstremistów – wytyka Bartłomiej Wróblewski, poznański poseł PiS.

W lutym grupa bojówkarzy Antify zaatakowała w Poznaniu działaczy Młodzieży Wszechpolskiej rozdających z okazji walentynek plakaty „Kocham Polskę”. Wcześniej zaatakowali i zniszczyli witrynę sklepu Narodowy sprzedającego m.in. koszulki z symbolami patriotycznymi. Lewackim ekstremistom w Poznaniu przeszkadzały też przystanki

Nad przygotowaniem zamieszek z udziałem „antyfaszystów” pracował sztab profesjonalistów

tramwajowe, których wiaty artystycznymi rysunkami udekorowały dzieci z lokalnych szkół. Malunki zostały zabazgrane hasłami „Antifa Poznań” i symbolami „antyfaszystów”.

Podobne zdarzenia mają miejsce też w innych miastach. W maju tego roku antifowcy i narodowcy starli się w Tczewie, w kwietniu w Warszawie usiłowali zablokować manifestację ONR. Jesienią ubiegłego roku antifowcy zniszczyli billboard i witrynę sklepu Red Is Bad w Warszawie. Niedawno w Lublinie zakończył się proces bojówkarzy Antify, którzy zaatakowali uczestników Marszu Żołnierzy Wyklętych.

BOJÓWKARSKA MIĘDZYNARODÓWKA

Chociaż „antyfaszyści” działają w szeregu niezależnych lokalnych organizacji, to wiele wskazuje, że coraz częściej tworzą przenikającą się nawza-

jem zorganizowaną sieć, w której istotne miejsce zajmują „towarzysze” organizacji marksistowskich i komunistycznych.

Z pytaniami o międzynarodowe powiązania i wzajemną współpracę Antify w różnych krajach „Do Rzeczy” zwróciło się do aktywistów jednej z niemieckich odnóg tej struktury prowadzących na Facebooku profil „Antifa Infos & Mobilisierungen”. Odpowiedź, którą otrzymaliśmy, nie zostawia złudzeń. Aktywiści z „Antifa Infos & Mobilisierungen” piszą nam, że współpraca między działaczami z całej Europy jest dobra, wspierają się w „akcjach antynazistowskich”, „odwiedzają” na demonstracjach. A jeśli chodzi o Polskę? „Jest wewnętrzna współpraca, na przykład przeciw jesiennym marszom nacjonalistów w Warszawie. Ale tu jest jeszcze wiele do zrobienia” – napisali, odpowiadając na nasze pytania.

Uliczne starcia w Hamburgu i sposób ich przygotowania też wskazuje, że zamieszki z udziałem „antyfaszystów” to już nie nieprzygotowane, spontaniczne akcje alterglobalistów sprzed lat, ale zorganizowane działanie, nad którym pracował sztab profesjonalistów. Wspomniany wcześniej „antyfaszysta” z Polski, który uczestniczył w hamburskich zamieszkach w wywiadzie dla Czarnej Teorii zachwalał: „[...] Ruch bojowy, rewolucyjny i szczególnie antyfaszystowski jest świetnie zorganizowany w autonomiczne kolektywy z różnych miast, które koordynują działania, gdy zachodzi taka potrzeba [...] i natychmiast otrzymałem cały »plan zajęć«, warsztaty z prawa, porady o podróży i bezpieczeństwie, omówienie taktyk policyjnej represji, kurs z całej taktyki walki i protestu” – opisywał „antyfaszystą”.

Czy to oznacza, że w kilkuletniej perspektywie czasowej z „antyfaszystów” i bojówkarzy Antify wyłonić się może groźna grupa quasi-terrorystyczna pokroju dawnej niemieckiej Frakcji Czerwonej Armii?

– Na tę chwilę nie ma obawy, że nastąpi przeformowanie radykalnych lewackich środowisk w organizację terrorystyczną, natomiast pewien sposób przyzwolenia na działalność takich organizacji, wsparcie finansowe, wspólne marsze, udział znanych osób i polityków uwiarygadnia takie organizacje jak Antifa, pozwala jej na pozyskiwanie akceptacji społecznej i budowę pewnej bazy, z której w przyszłości może wyłonić się groźna grupa – przyznaje Dariusz Loranty. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Agnieszka Niewińska

Działacze pro-life alarmują: środowiska lewicowe są coraz bardziej agresywne. Atakują i straszą, niszczą własność pro-liferów, a w sieci nawołują do kolejnych przestępstw wobec przeciwników aborcji

W ruch szły puszkę ze sprejem, noże i gaz pieprzowy. Parking przed warszawskim szpitalem im. Orłowskiego stał się swego rodzaju polem walki po tym, jak fundacja PRO-Prawo do Życia zaparkowała przed wejściem do placówki żuka, na którym zainstalowane zostały banery fundacji. Od lat organizuje ona pikiety i rozwiesza plakaty, na których pokazuje drastyczne zdjęcia dzieci zabitych w wyniku aborcji. Żuk zaparkowany przed warszawską placówką był elementem akcji „Szpitale bez aborterów”. Fundacja zwraca uwagę, że to właśnie w szpitalu im. Orłowskiego wykonuje się rocznie 120 aborcji.

Po tym, jak banery kilka razy zostały zniszczone, wolontariusze fundacji PRO-Prawo do Życia wystawiali nocne dyżury, by pilnować instalacji. Nie wystraszyło to jednak zwolenników liberalizacji ustawy aborcyjnej. Kilkakrotnie przed szpitalem musiała interweniować policja. – Od 23 czerwca doszło do sześciu przestępstw. Tutaj nie chodzi o drobne incydenty. Już samo zniszczenie mienia o wartości powyżej 500 zł jest przestępstwem, a banery fundacji są warte ok. 900 zł. Działacze organizacji lewicowych w Internecie zachęcają do ich niszczenia. To nic innego jak nawoływanie do popełnienia przestępstwa – mówi adwokat Bartosz Lewandowski z Centrum Interwencji Procesowej Instytutu Ordo Iuris, który reprezentuje fundację PRO-Prawo do Życia i jej wolontariuszy. „Postawcie kolejny, zajmiemy się tym”, „Ilekcro to paskudztwo postawione, tylekcro znajdzie się ktoś, kto to zutylizuje”, „Nie nadąża drukować” – to tylko niektóre komentarze pod udostępnianym w Internecie linkiem do informacji o zniszczeniu banerów.

Mariusz Dzierżawski, założyciel fundacji PRO-Prawo do Życia, jest zdania, że środowiska lewicowe są coraz bardziej



Obrońcy życia

agresywne. – Do niedawna niszczyli nasze plakaty potajemnie, teraz to, co robia przed szpitalem Orłowskiego, to jawna bandyterka. Ostatnio nawet niszcząc nasze banery, zostawiają swoje namiary internetowe. Oczekuję od policji większej aktywności w zapobieganiu takim bandyckim zachowaniom – mówi.

PARAGRAF NA ŻUKA

Obrońcy życia wystąpili do warszawskiego ratusza z prośbą, by ich żuka objąć taką samą ochroną, jaką w 2014 r. zapewniono podpalanej kilkakrotnie tęczą na pl. Zbawiciela. Odpowiedź nie nadeszła. Za to straż miejska znalazła na żuka paragraf i go odholowała. – Czynności zostały podjęte na podstawie art. 50a

ustawy Prawo o ruchu drogowym, zgodnie z którym pojazd pozostawiony bez tablic rejestracyjnych lub pojazd, którego stan wskazuje na to, że nie jest używany, może zostać usunięty z drogi przez straż gminną lub policję na koszt właściciela lub posiadacza – mówi Monika Niżniak, rzecznik warszawskiej straży miejskiej. Dodaje, że funkcjonariusze podejmujący interwencję obok brakujących tablic rejestracyjnych stwierdzili, że niezabezpieczony był wlew paliwowy oraz dostęp do wnętrza samochodu. – Pojazd był zaparkowany prawidłowo, sprawny i ubezpieczony. Tablice rejestracyjne były aktualne – ripostuje fundacja PRO. Przypomina, że w sprawie nie chodzi tylko o niszczenie mienia fundacji.



na celowniku

Po jednej z utarczek z osobami, które zamalowywały banery, wolontariusz fundacji PRO trafił do szpitala. Konieczna była operacja. Inny złożył zawiadomienie, że został zaatakowany nożem. – Tuż przed godz. 22 zobaczyłem dwie kobiety, przyjechały rowerami i zaczęły odcinać plastikowe taśmy zaciskowe, którymi były przymocowane banery – relacjonuje Marek [nazwisko do wiadomości redakcji]. – Nie jestem człowiekiem, który od razu wzywa policję, przypominałem kobietom, że niszczą cudze mienie, i prosiłem, żeby odjechały. W odpowiedzi usłyszałem wyzwiska i deklarację, że mogą robić, co im się podoba. Twierdziły, że banery stresują kobiety przychodzące do szpitala. Zadziwiająca argumentacja

– zdjęcia są stresujące, a samo wykonywanie aborcji już nie? Poprosiłem jedną z kobiet, by odłożyła nóż, który kierowała w moją stronę, i przestrzegłem, że mam gaz pieprzowy. Ponieważ dalej wygrażała mi nożem, użyłem gazu. Nie prysnąłem jednak w twarz, tylko w dekolot, chciałem je po prostu odstraszyć. Druga z kobiet najeżdżała na mnie rowerem i filmowała mnie, choć nie wyrażałem na to zgody. Kiedy nie reagowała na moje prośby, zabrałem jej telefon i w końcu wyrzuciłem go w zarośla – opowiada mężczyzna.

W sieci krążą zdjęcia tej sytuacji. Ich jakość nie jest najlepsza. Kobiety wypierają się, że widzą na nich nóż. Na Facebooku piszą o gazie pieprzowym „z białą

końcówką”. – Dysponujemy ekspertyzą zdjęć. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że jest na nim nóż tapicerski z wysuwającym ostrzem – zapewnia Lewandowski.

Natalia Jakacka, jedna z dwóch kobiet, która brała udział w zajściu, odsyła nas do swojego oświadczenia i artykułu na portalu Wirtualna Polska. Razem z koleżanką Martyną Równiak mówią w nim, że to one zostały zaatakowane. I choć Równiak przyznaje, że miała ze sobą nóż do tapet, to zaznacza, iż nawet nie zdążyła go wyjąć, bo wolontariusz z fundacji PRO prysnął w nią gazem. – Żaden plakat będący reklamą fundacji nie został przeze mnie zniszczony. Dodatkowo to my mamy filmy z zajścia, które zostały przekazane policji, jak i obdukcję lekarską, która potwierdza naszą wersję zdarzeń – napisała nam Równiak.

Na filmie, który pokazuje nam z kolei Marek, słychać, jak jedna z kobiet, wymachując czymś, w końcu przyznaje, że „nie ma ostrza”. – Miały nóż tapicerski z trapezowym wysuwającym ostrzem, ale policji mówiły co innego. Dopiero gdy funkcjonariusz zobaczył ślady cięcia na banerze, uznał, że został przez obie panie oszukany – mówi.

Sprawę będzie musiał rozstrzygnąć sąd. Zwłaszcza że nie tylko wolontariusz fundacji PRO złożył stosowną skargę. Jak poinformował nas Robert Szumiata z Komendy Stołecznej Policji, jedna z pań złożyła skargę dotyczącą naruszenia nietykalności, druga w sprawie kradzieży telefonu. – Kobiety posługiwały się nożem w celu odcięcia zabezpieczeń mocujących banery do samochodu. Nikt w tej sprawie nie został zatrzymany, a czynności dochodzeniowe w sprawie są w toku – zaznaczył.

PRZESŁUCHANIA JAK SZYKANY

Działacze pro-life zaznaczają, że choć sytuacja z zaparkowanym przed szpitalem żukiem jest jaskrawym przykładem przemocy wobec nich, to wolontariusze muszą się przygotować także na inne zdarzenia. – Podczas pikiet często spotykamy się z agresją słowną ze strony zwolenników aborcji. Standardem jest życzenie naszym wolontariuszkom, żeby zostały zgwałcone, żeby urodziły niepełnosprawne dziecko. To ma zniechęcać ludzi do dalszych działań, ale na szczęście nie zniechęca – mówi Mariusz Dzierżawski. I podaje inny przykład: – W Krakowie celebryta uderzył w twarz wolontariusza, który zbierał podpisy.

■ Toczy się w tej sprawie proces karny. Na szczęście takie napady zdarzają się raz na wiele lat. Bardzo dotkliwe są jednak dla nas interwencje policjantów, którzy traktują naszych wolontariuszy jak przestępców. Kierują wnioski do sądów i choć te nas uniewinniają, to konieczność stawiania się na przesłuchania, ryzyko bycia nachodzonym przez policję w domu czy konieczność stawiania się na rozprawach sądowych w charakterze obwinionego nie jest niczym przyjemnym. W fundacji mamy wielu weteranów, sam kilka razy byłem podsądnym – mówi.

Mecenas Olgierd Pankiewicz od kilku lat prowadzi we Wrocławiu sprawy, które wszczęto wobec obrońców życia z Kodeksu wykroczeń. – Nigdy nie dotyczą niezgodnego z prawem zachowania uczestników tych legalnie odbywających się przecież pikiet, ale treści ich transparentów – wyjaśnia. – Wystarczy twierdzenie jakiejś osoby, że oburzają ją treści baneru, a policja wszczyna postępowanie z art. 51 Kodeksu wykroczeń, mówiącego o wybrykach naruszających porządek publiczny, mimo że na pierwszy rzut oka widać, iż nikt nie dopuszcza się wybryku. Sama pikietka za życiem, głos w debacie publicznej o aborcji, są traktowane jako czyn zabroniony. To niedopuszczalne cenzurowanie debaty publicznej, a art. 51 staje się policyjną pałką na niewygodne manifestacje jak w czasach komunistycznych. I choć sądy za każdym razem uniewinniają uczestników pikiet albo

dla władz miejskich, aby nie zezwalać na kolejne zgromadzenia i głos pro-life znikłby z naszych ulic.

Wobec Adama Brawaty, działacza wrocławskiego oddziału fundacji PRO-Prawo do Życia, prowadzone były aż trzy sprawy dotyczące pikiet. – Chodziło o wydarzenia z 2015 r., to się bardzo długo ciągnęło. Jedną ze spraw trafiła do sądu i została przez sąd umorzona. Dla mnie było to zupełnie nielogiczne, bo kiedy jedną ze spraw dotyczącą rzekomego zgorznięcia sąd umarzał, kolejne dotyczące tej samej materii były wszczynane – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy”. Działalności w ramach fundacji nie porzucił, choć zaznacza, że wielokrotne stawianie się w komisariacie i w sądzie było uciążliwe. – Trzeba było na to znaleźć czas, odłożyć codzienne obowiązki. To niektórych może zniechęcić do takiego manifestowania swoich przekonań.

INSTRUKCJE PARTII RAZEM

Mariusz Dzierżawski zwraca uwagę, że do prób rozwiązania legalnej manifestacji doszło niedawno w Sopocie. Przypomina też ubiegłoroczne pikiety w Gdyni i Katowicach, które choć odbywały się legalnie, zostały zerwane przez policję. Sprawę tę na posiedzeniu parlamentarnego zespołu na rzecz prawa do życia wyjaśniał na początku lipca komendant główny policji Jarosław Szymczyk. Poinformował, że wobec czterech funkcjonariuszy policji, którzy rozwiązali legalne pikiety w Gdyni i Katowicach, wszczęto postępowania dyscyplinarne. Zapowiedział też działania na rzecz zwiększenia wiedzy funkcjonariuszy dotyczących postępowania w sytuacji pikiet prowadzonych przez działaczy pro-life. Zaznaczył jednak, że policjanci nie wszczynają spraw o wykroczenie z urzędu, ale po zgłoszeniu przez osoby trzecie. – Funkcjonariusze policji muszą wyjaśniać sprawę kompleksowo, by nie narażać się na odpowiedzialność karną. Miejmy świadomość tego, że są osoby, których poziom determinacji do zniechęcania do tego typu działalności jest bardzo wysoki. My również musimy być przygotowani na atak z ich strony, mieć argumenty do odporu i do ewentualnej obrony funkcjonariuszy. Musimy pokazać, że przed decyzją o niewnoszeniu wniosku o ukaranie wykonali wszystkie czynności, by w sposób wszechstronny to zbadać – tłumaczył.

Mimo zapewnień policji obrońcy życia zwracają uwagę, że w tym roku spraw toczących się wobec pikietujących wolontariuszy wcale nie jest mniej. Ich zdaniem

to efekt kampanii prowadzonej przez partię Razem, która na specjalnej stronie „Szantaż z dala od szpitala” instruuje, jak walczyć z banerami obrońców życia, zamieszcza wzory pism. „Billboardy anti-choice [tak lewica nazywa aktywistów pro-life – przyp. red.] nie tylko epatują przechodniów makabrycznością, lecz także zawierają fałszywe i przekłamane informacje” – czytamy na stronie prowadzonej przez partię Razem. Dalej informują, że zebrali dla czytelników „fakty”: „Prawo do przerywania ciąży to prawo człowieka”, „Hitler i Stalin byli anti-choice”, „Banery i plakaty antyaborcyjne nie pokazują medycznej aborcji”, „Płody nie czują bólu i (najprawdopodobniej) nie są świadome” – czytamy na stronie.

– Nie mamy nic wspólnego z atakami na banery czy na prezentujących je przeciwników aborcji. Osoby dopuszczające się ich, nie są z nami związane – mówi Agnieszka Dziemianowicz-Bąk z partii Razem. – Akcja „Szantaż z dala od szpitala”, którą prowadzimy, jest pokojowa, przybiera formę spotkań i happeningów, gdzie sprzeciwiamy się antykobiecej propagandzie, obalamy mity i nieprawdy na temat przerywania ciąży. Zgłaszamy i informujemy, jak zgłosić wykroczenie, jeśli w przestrzeni publicznej znajdują się banery z drastycznymi treściami. One są ustawiane przed szpitalami, przed oddziałami położniczymi, na których leżą także kobiety z zagrożoną ciążą i po poronieniach. To naraża je na ogromny stres i na krzywdę. Mity na temat przerywania ciąży obalać będziemy zawsze, a w przypadku akcji, w których prezentowane są za pomocą drastycznych obrazów, nasz sprzeciw dotyczy nie tylko ich treści, ale także metod ich szerzenia – dodaje.

Dzierżawski: – Oczywiście moglibyśmy w sposób sympatyczny przedstawiać aborcję, tyle że to jest okrutne morderstwo i trzeba tak je pokazywać. Na czym polega propaganda aborcyjna? Na mówieniu, że aborcja to nic takiego. My pokazujemy, że to morderstwo i dlatego to wzbudza taką agresję. Czasami jacyś pięknoduchowie mówią: „Ale to takie brzydkie”. Jest brzydkie, zdjęcia z obozów koncentracyjnych też są brzydkie.

Fundacja PRO-Prawo do Życia odyskłada odholowanego przez straż miejską żuka i w ubiegły czwartek ponownie zaparkowała go przed szpitalem. Tym razem samochodu pilnuje firma ochroniarska. Fundacja zbiera datki na pokrycie kosztów ochrony. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Obrońcy życia skarżą się na policjantów. – Traktują naszych wolontariuszy jak przestępców – twierdzi Mariusz Dzierżawski

umarzają postępowania, to samo wezwanie do komisariatu, przesłuchiwanie następnego razu na te same okoliczności, wydawane wyroki zaoczne, potem konieczność udziału w rozprawach i podejmowania obrony, świadczą o szykanach za poglądy. Ci sami ludzie kilkanaście razy w roku zywani są do komisariatu – opowiada adwokat. I dodaje, że jeśli działacze pro-life nie podjęliby obrony, nie wniesliby w terminie siedmiu dni sprzeciwu od wyroku zaocznego, byłoby karani za wykroczenia. – To stałoby się argumentem



TYLKO U NAS!

ROZMOWA Z BOHATERKĄ POWSTANIA!

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

HISTORIA
DO RZECZY



NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Sławomir Koper – **Masakra w domu Polańskiego**

Maciej Rosalak – **Jak karano homoseksualistów**

Marek Gałęzowski – **Żydzi przeciw bolszewikom**

Grzegorz Wołk – **Inwigilacja Macierewicza**

Rafał A. Ziemkiewicz – **Adolf Hitler superstar**

Roger Moorhouse – **Zamach w Wilczym Szańcu**

Mikołaj Iwanow – **Polska w planach Stalina**

i wiele, wiele więcej



Andrzej Krzystyniak

Niemcy mieszkający w Polsce korzystają z pełnych praw. Polska mniejszość w Niemczech do dziś, według obowiązującego prawa, jakby nie istniała

Po pierwszej wojnie światowej w nowych granicach odrodzonego państwa polskiego zamieszkiwał spory odsetek mniejszości narodowych. Inną kwestią jest, że wiele z nich (podobnie jak Polaków) wyzwolenie zastało poza granicami ich ojczyzny. Ciekawie historycznie rysują się zwłaszcza relacje mniejszości narodowych: polskiej i niemieckiej.

STATYSTYKA I PRAWA

Wielu Polaków pozostało w Niemczech, porównywalna liczba Niemców przebywała w Polsce. Maria Wardzyńska w pracy pt. „Był rok 1939. Operacja niemieckiej policji bezpieczeństwa w Polsce Intelligenzaktion” podaje, że w okresie międzywojennym na Śląsku w granicach Niemiec mieszkało ok. 0,5 mln Polaków, a w Prusach Wschodnich – ok. 100 tys. Ogólną liczbę autochtonów polskich w Niemczech szacowano na ok. 1 mln osób. W niemieckiej Nadrenii powstały znaczne skupiska ludności polskiej, która wyruszyła na te tereny w poszukiwaniu pracy (ok. 250 tys.). Robotnicy rolni (ok. 115 tys.) w trzech piątych stale mieszkali w obrębie Rzeszy, a pozostali (ok. 45 tys.) napływali do Niemiec i pozostawali tam sezonowo – od marca do grudnia. Natomiast Niemcy stawiali się mniejszością na terenach, które po uzyskaniu niepodległości przypadły Polsce.

Mniejszość niemiecka w Polsce wynosiła, według spisu z 1931 r., 2,3 proc. mieszkańców całego kraju i liczyła ok. 750 tys. ludności. Ludność niemiecka zamieszkiwała głównie tereny graniczące z Rzeszą. W Wielkopolsce i na Pomorzu stanowiła blisko 10 proc., na Górnym Śląsku zaś ok. 7 proc. wszystkich mieszkańców regionu. Nie wielkie grupy niemieckiej mniejszości zamieszkiwały także Polskę Centralną: województwa łódzkie, warszawskie, kieleckie i lubelskie.



Oni u nas. My u nich



Grupa niemieckich rolników z Wołynia (ok. 1918 r.) FOT. NAC

Powitanie żołnierzy niemieckich przez volksdeutschów w przygranicznej wsi na terenie Polski (1939 r.) FOT. NAC



Mniejszość niemiecka w Polsce miała prawo, na mocy traktatów międzynarodowych oraz konstytucji polskiej, do zachowania i pielęgnowania mowy ojczystej oraz do nieskrępowanej działalności narodowej, w ramach założonych przez siebie instytucji i organizacji oświatowych, społecznych, wyznaniowych i kulturalnych. Korzystała z tego prawa, powołując liczne organizacje młodzieżowe i sportowe, towarzystwa oświatowe, biblioteki i teatry. Utrzymanie tych placówek było subwencjonowane przez państwo niemieckie. Dodatkowo Polska chroniła postanowienia traktatu wersalskiego. Takich przywilejów nie posiadała mniejszość polska na terenie Niemiec. Chociaż konstytucja Republiki Weimarskiej przyznawała wszystkim obywatelom niemieckim, bez względu na narodowość, pełnię swobód obywatelskich, to z biegiem czasu traktowanie Polaków w Niemczech wyraźnie odbiegało, na niekorzyść, od traktowania Niemców w Polsce.

Zgodnie z zapisem jednego z artykułów konstytucji weimarskiej: „obcojęzyczne części ludności Rzeszy nie mogą być drogą administracyjną lub ustawodawczą ograniczane w swobodnym

rozwoju narodowym, w szczególności w używaniu języka przy nauczaniu, w administracji i sądownictwie”. Należy jednak pamiętać, że zapisów konstytucyjnych nie chronił traktat wersalski. Szczególnym obszarem ścierania się mniejszości polskiej i niemieckiej był Śląsk po obu stronach granicy.

Należy zauważyć, że działalność organów mniejszości polskiej w Niemczech nie różniła się od odpowiedników mniejszości niemieckiej w Polsce. Jednak były one traktowane przez Niemców jako zagrożenie interesów państwa niemieckiego, co doprowadzało do różnorodnych represji mimo zachowania pozorów przestrzegania przepisów prawa. Częste były przypadki interpretowania obowiązującego prawa na niekorzyść Polaków i ograniczenia ich swobód. Natomiast ze strony organizacji nazistowskich jawnie stosowano wobec Polaków terror i przemoc fizyczną. Akty terroru nasiliły się zwłaszcza w latach 30. Jak podaje Wardzyńska: „Konsulowie polscy informowali, że we Wrocławiu za rozmowę po polsku pobito studentów, a w Westfalii ostrzegano w kopalniach, aby nie używać języka polskiego. W dzielnicach, gdzie mieszkała autochtoniczna ludność polska i naturalne było prowadzenie rozmowy w dialekcie mazurskim lub śląskim, przy wejściach do urzędów i sklepów umieszczano blaszane tabliczki z napisem nawołującym do używania języka niemieckiego: »Deutscher, sprich deutsch!«”.

CZAS PRZEŚLADOWAŃ

Mieszkająca na obszarze Polski mniejszość niemiecka, była dla służb III Rzeszy doskonałym źródłem informacji – wśród Niemców mieszkających w Polsce rekrutowano dywersantów, prowokatorów oraz zamachowców. O aktywności niemieckiej agentury na terenie RP świadczą raporty polskiej policji, które mówią, że w samym tylko 1938 r. wykryto ponad 200 szpiegów niemieckich, co stanowiło ponad połowę wszystkich ujawnionych działań obcych wywiadów w Polsce. Bojówki niemieckich dywersantów miały jasno określone cele, a ich założeniem było przede wszystkim wywoływanie paniki i strachu na zapleczu polskiego frontu, poprzez atakowanie polskich żołnierzy, mordowanie bezbronnej ludności polskiej oraz niemieckiej, podkładanie ładunków wybuchowych w miejscach

publicznych, także liczne prowokacyjne ataki na mniejszość niemiecką. O bezwzględności niemieckich dywersantów świadczy akt terroru, jakim niewątpliwie było podłożenie bomby na dworcu kolejowym w Tarnowie 22 sierpnia 1939 r. W wyniku wybuchu zginęło 35 osób

Niemcy wszystkich przedstawicieli mniejszości polskiej uważali za wrogów III Rzeszy, każdy z działaczy polskich został umieszczony na liście proskrypcyjnej osób przeznaczonych do aresztowania. Od pierwszych dni agresji niemieckiej na Polskę trwały aresztowania przedstawicieli mniejszości, konfiskata i grabież majątku polskich organizacji. Delegalizację organizacji polskich mniejszości narodowych rozpoczęto z chwilą wybuchu II wojny światowej od aresztowania ich członków. Na podstawie rozporządzenia rady ministrów dla obrony III Rzeszy z dnia 27 lutego 1940 r. zdelegalizowano Związek Polaków w Niemczech, cały majątek organizacji został skonfiskowany. Większość czołowych działaczy zamordowano, a ok. 1,2 tys. członków uwięziono w obozach koncentracyjnych. Całkowitą liczbę prześladowanych szacuje się na co najmniej 2 tys. osób. Straty materialne poniesione przez polską mniejszość narodową w Niemczech, spowodowane konfiskatą majątku, wyceniane są na co najmniej 8,45 mln Reichsmarek (Michał Nowosielski, Andrzej Sakson, Jan Sandorski „Pozycja prawna i majątek polskiej mniejszości narodowej w Niemczech: Ekspertyza dla Departamentu Prawno-Traktatowego MSZ”).

Po zakończeniu II wojny światowej Niemcy nie przywrócili statusu polskiej mniejszości, nie zwrócono też zagrabionego majątku. Nie zrobiono tego również po zjednoczeniu Niemiec, tłumacząc, iż nie istnieje na obecną chwilę polska mniejszość na obszarze Republiki Federalnej, którą można by uznać na podstawie zapisów niemieckiego prawa. Odmienne sytuacja ma miejsce z mniejszością niemiecką w Polsce, którą polskie prawo uznaje za mniejszość narodową ze wszystkimi tego następstwami. Niemcy w Polsce korzystają z wielu praw i przywilejów przewidzianych w polskim prawie dla mniejszości narodowych.



Ciągle pada



Łukasz Zboralski

Po ostatnich upalnych latach martwiono się, że Polska zmienia się w pustynię. Patrząc na te wakacje, można mieć wątpliwości

Nawet jeśli od rana jest pięknie i wskazania termometru sięgają blisko 30 st. C, to można być prawie pewnym, że za chwilę i tak nadciągną chmury przynoszące ulewę. Tak wyglądają tegoroczne wakacje. Od początku sezonu urlopowego w Polsce

pada. I to zwykle właściwie na całym obszarze kraju.

MOKRO I CHŁODNO

Ci, którzy w tym roku postanowili wypoczywać nad morzem czy nad jeziorami, zamiast leżeć na słońcu i chłodzić się kąpielami, są mokrzy niezależnie od tego, czy akurat chcą. I w tym sezonie często szukają miejsc, w których uciekają od nadmiaru wody lejącej się z nieba.

– Tydzień temu wróciłam z Bałtyku i sporą część urlopu spędziłam, podróżując po okolicach, bo pogoda była w kratkę – mówi Weronika, turystka z Warszawy. – Chodzenie na plażę było jak ćwiczenia wojskowe. Rano biegiem, bo piękne słońce i szybkie rozkładanie ręczników,

a za godzinę szybkie zwijanie rzeczy, żeby zdążyć schować się przed ulewą. I potem znów taki cykl – śmieje się.

Wydawałoby się, że kiedy jest ciepło i mokro, to zadowoleni powinni być przynajmniej rolnicy. Jednak i oni mają dość deszczu w tym roku. Chociaż rośliny rosną, to mogą mieć problem. – Przy takiej pogodzie jak teraz i przy takiej wilgotności jest duże ryzyko chorób grzybowych – mówi Marek Kosiedowski, rolnik z Kęsowa w Borach Tucholskich. – To może wpłynąć nie tylko na obniżenie plonów, lecz także na ich jakość. No i koszty produkcji będą większe. Idealnie jednak przecież nigdy nie będzie, bo gdyby padało za mało, to mielibyśmy w rolnictwie suszę – dodaje.



Prezenter pogody Tomasz Zubilewicz zwraca uwagę, że lipiec w naszej szerokości geograficznej jest najbardziej deszczowym miesiącem. – Chociaż rzadko to zauważamy, bo opady wyparowują – mówi „Do Rzeczy”. – No, ale w tym roku deszczu jest ponad normę. Raz na siedem–osiem lat zdarza się tak, że jest dużo chmur, często nawiedzają nas nize, mamy więc więcej pochmurnej pogody i niekorzystny biometr, bo ciśnienie często się zmienia – dodaje.

GDZIE TA SUSZA?

Patrząc na ściekające po szybach krople, można zadawać sobie pytanie, czy niedawne ostrzeżenia o suszy grożącej Polsce nie były na wyrost. O marnych zasobach wody w kraju głośno zrobiło się w 2012 r.

Rzeki wysychały, a w niektórych rejonach kraju pusto zrobiło się nawet w studniach i mieszkańców trzeba było zaopatrywać w wodę. Eksperci przekonywali, że do Polski wkracza susza, która już wcześniej doświadczyła ludzi w Hiszpanii i Portugalii. W Warszawie archeolodzy i nurkowie korzystający z niskiego poziomu wód wydostali z dna rzeki liczne skarby zrabowane w XVII w. przez Szwedów.

Te obawy spotęgował jeszcze rok 2015. Na Dolnym Śląsku i w Karpaczu brakowało wody, mieszkańcom pomagali przetrwać strażacy. Koryta wielu rzek pokazały dno. Na Wiśle żegluga zamarła. Było tak sucho, że w niektórych miejscach można było przejść przez największą z polskich rzek. W Warszawie stan wody w Wiśle opadał do 61 cm (rok wcześniej było to 700 cm, a w deszczowym roku 2010 – 734 cm) i widać było nawet stare pale mostu z XVIII w.

Raport firmy Oras z 2015 r. wskazywał, że zasobów wody pitnej w kraju mamy niezbyt dużo. Z tamtego opracowania wynikało, że na jednego mieszkańca Polski przypada 1,7 tys. m sześć. odnawialnej wody słodkiej. Dla porównania – na jednego Hiszpana przypada 2,4 tys. m sześć.

TO TYLKO DESZCZ

Eksperci przekonują jednak, że mokre lato nie oznacza końca problemów z wodą. Bo te opady go nie rozwiązują. – To są opady przelotne, związane z burzami i one na odbudowę zasobów wodnych nie bardzo wpływają – tłumaczy „Do Rzeczy” Marianna Sasim, hydrolog z Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej. – Część takiej wody opadowej po burzy spłynie, część, która wsiąknie, zużyją rośliny, a część po prostu dość szybko odparuje – dodaje.

Sasim wskazuje, że specyfiką naszego klimatu jest występowanie co kilka lat okresów, w których nie ma upałów, za to padają deszcze. Przez kilka lat jest przewaga okresów suchych, a potem ich miejsce zajmują lata mokre. Szansa na odbudowywanie zasobów wodnych w kraju jest jednak wtedy, gdy z opadami mamy do czynienia jesienią. – Kiedy pada w październiku i listopadzie, to ziemia takiego deszczu już tak mocno nie przyjmuje, a rośliny nie potrzebują tak dużo wody do vegetacji – mówi ekspertka IMGW. – Teraz mamy wrażenie okresu lat mokrych, ale opady są punktowe. W związku z tym nawet w rzekach wody utrzymują się na ogół w strefie wody

niskiej czy średniej. Są też stany wysokie, ale raczej w rzekach nizinnych, gdzie o tej porze koryta zarastają roślinnością i przez to następuje pewne spiętrzenie wód. Pomimo deszczów wody jednak wcale nie jest za dużo – tłumaczy.

Jeden z ostatnich prawdziwie mokrych okresów był w roku 2010. Wówczas dużo wody zgromadzonej w śniegu roztopiało się stopniowo – nie powodując powodzi, ale dobrze nasączając grunt. Poziom wód gruntowych był wysoki i gdy w maju przyszły solidne opady, woda nie miała już gdzie wsiąkać i stworzyły się warunki grożące powodzią. – Jest więc chłodniej i lato przeplatają nam deszcze. To jednak bardziej uciążliwość dla turystów niż ratunek dla wód – dodaje Marianna Sasim.

TRZEBA POCZekać

Naukowcy odżegnują się od prób wnioskowania, że chłodne i deszczowe lato zaprzecza tezę o ocieplaniu się klimatu. Profesor Marek Lewandowski, kierownik Zakładu Badań Polarnych i Morskich Instytutu Geofizyki PAN, podkreśla, że takich wniosków nie wolno wyciągać ani na podstawie jednego roku, ani też Polska jako region nie może być wyznacznikiem żadnego trendu na poziomie globalnym. – Okres, w którym można sprawdzać trend dotyczący klimatu, to dziesięciolecia – mówi „Do Rzeczy” prof. Lewandowski. – Jeśli w tym roku są opady większe czy mniejsze od średniej statystycznej, to z tego nie możemy wnioskować o całym procesie. Wiemy jedynie, że są zbiegi okoliczności, których do końca nie rozumiemy, wpływające na to, że mamy chłodniejsze bądź cieplejsze lato. Takich zmian i fluktuacji temperatury jako człowiek blisko 70-letni pamiętam wiele.

Profesor wskazuje również, że opady są w ogóle kwestią właściwą regionom. – Bo Ziemia jest systemem zamkniętym. Jeśli gdzieś pada, to znaczy, że w innym miejscu odparowało – mówi prof. Lewandowski. – Z mojego punktu widzenia na podstawie jednego lata możemy tylko stwierdzić, że komuś nie udał się urlop, a nie że coś dzieje się z klimatem – dodaje żartobliwie.

Cierpliwość – tym razem urlopowiczom – poleca też Tomasz Zubilewicz. – Druga część lipca ma być lepsza – zdradza „Do Rzeczy”. – Prognozy mówią też, że sierpień ma być w normie. Czyli nie powinno być tragicznie, chociaż też popada – dodaje.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wojciech Engelking

Pewien amerykański filozof powiedział raz, że Szekspir wiedział wszystko. Można dodać, że nawet jeśli tak, to my i tak wiemy o nim prawie tyle co nic

Dreżczy mnie myśl, że boski William to największe i najbardziej udane oszustwo, jakiego kiedykolwiek dopuszczono się wobec cierpliwego świata – tak w sierpniu 1903 r. Henry James pisał w liście do swojej przyjaciółki, niejkiej miss Violet Hunt. Podejrzenia, że to wcale nie William Szekspir jest autorem „Hamleta”, „Makbeta” i „Króla Leara”, były wówczas przedmiotem plotek całego, nie tylko literackiego świata i – warto dodać – nie było to nic nowego. Szekspirowski rewizjonizm – porównany przez znanego badacza renesansu Stephena Greenblatta, autora bestsellerowej biografii Szekspira, do rewizjonizmu holokaustowego – ma się w najlepsze od XVIII w. i jego szeregi co pokolenie zasilają kilkoro co bardziej prominentnych członków.

WIELKIE OSZUSTWO

Byli wśród nich i Samuel Coleridge (twierdzący, że Szekspir nie mógł napisać swoich sztuk, gdyż był opiumistą) i był wśród nich także Nietzsche, przypisujący autorstwo dzieł Szekspirowskich filozofowi Franciszkowi Baconowi. Ze współczesnych nam poważne wątpliwości co do tego, czy Szekspir był Szekspirem, ogłosił kilka lat temu na łamach brytyjskiego tabloidu „Daily May” wybitny interpretator postaci z jego sztuk, aktor Kenneth Branagh. Skłaniał się ku teorii, że tak naprawdę na okładkach „Snu nocy letniej” i „Otella” winno się znajdować nazwisko Christophera Marlowe’a. Inny znany aktor szekspirowski, sir Derek Jacobi, powołał nawet specjalną fundację, zajmującą się udowadnianiem, że w istocie za „Romeem i Julią” oraz innymi dziełami Szekspira stoi grupa wybitnych brytyjskich XVI-wiecznych dramaturgów i poetów, skupionych w jedno nazwisko dzięki mecenatowi oksfordzkiego hrabiego Edwarda de Vere (przez jedną część rewizjonistów uznawanego z kolei za kochanka Szekspira i adresata miłosnych inwokacji w jego sonetach, przez drugą – za Szekspi-



Zagadka Willa

ra ukrywającego się pod pseudonimem). Można powiedzieć, że najczęściej wystawiany na świecie dramaturg stał się – nie tylko dla fanatyków literatury – postacią ciekawszą niż te, które urodziły się pod jego piórem.

Powody takiej zawrotnej kariery Szekspira-nie-Szekspira są dwa. Pierwszy sformułował dawno temu Mark Twain. „Ogarnia nas zdumienie – pisał – że można sporządzić listę wszystkich sławnych Anglików z czasów nowożytnych, sięgnąć po książki historyczne, biografie i encyklopedie, aby poznać szczegóły życia każdego z nich, z wyjątkiem jednego: tego najślawniejszego, najbardziej znanego, najwybitniejszego: Szekspira!”. Drugi bierze się z pewnego rodzaju wygody. Przy tak skąpej ilości danych na temat domniemanego autora „Romea i Juli” każda epoka może stworzyć sobie takiego Szekspira, na jakiego ma ochotę i jakiego aktualnie potrzebuje. Najnowszego stworzył zaś Shekhar Kapur, reżyser 10-odcinkowego „Will”, którego w Polsce można od połowy lipca oglądać na TNT.

SZEKSPIR WSPÓŁCZESNY

To, że Kapurowi chodzi o to, by postacią Willa Szekspira skomentować współczesność, widać już od pierwszych minut serialu, kiedy dwudziestoparoletni tytułowy bohater, zaopatrzony w rękopis debiutanc-

kiej sztuki o triumfie Edwarda III nad Francuzami, przybywa ze Stratfordu do Londynu w rytm punkowego „London Calling” grupy The Clash. Will w serialu TNT to prowincjonalny biznesmen – producent rękawiczek, który wielkomiejski świat teatralny traktuje nie jako spełnienie swoich artystycznych marzeń, lecz jako okazję do inwestycji, która może się zwrócić o wiele lepiej niż wyprawianie zwierzęcych skór. „W Londynie pisarze są bogaci i uwielbiani przez tłumy” – mówi swojej żonie przed opuszczeniem domu. Ma rację: w stolicy poeci pojedynkują się w plugawych szynkach na rymy (skojarzenie z raperską bitwą więcej aniżeli oczywiste), a gdy Will trafia na nieudany spektakl, którego aktorów tłum wygwizduje i których obrzuca pomidorami, by londyńczycy się uspokoili, wystarcza jedna zapowiedź dyrektora teatru, że wszyscy, którym się sztuka nie podobała, mogą następnego dnia przyjść na darmowy pokaz nowego dzieła Christophera Marlowe’a.

Ów – grany przez obdarzonego wampiryczną urodą idola nastolatek Jaimiego Bowera – uosabia w „Willu” wszystko, czego tytułowy bohater pragnie. Nie dość, że zarabia na swoich sztukach setki funtów (z konkurencyjną wobec Willowej kompanią teatralną podpisał nawet ekskluzywny kontrakt, w ramach którego płacą mu za niepiśanie), to jeszcze jest agentem królew-



William Szekspira gra w serialu
Laurie Davidson FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Szekspira

skich służb, dla których szpieguje środowisko teatralne. Jesteśmy w końcu w Anglii u progu XVII stulecia, w kraju podzielonym: półtora wieku wcześniej Henryk VIII ogłosił zerwanie z Kościołem katolickim, a panująca obecnie Elżbieta I niedawno promulgowała „Akt o utrzymaniu w posłuszeństwie poddanych Jej Królewskiej Mości”, który przewidywał karę śmierci zarówno dla osób nawracających się, jak i nawróconych na katolicyzm. Niedługo wyda także akt przeciwko jezuitom. Jaki ma to związek z młodym Willem Szekspirem? Taki, że może i jest on w serialu Kapura cokolwiek w sprawach religijnych obojętny, ale wywodzi się z katolickiej rodziny właśnie (w stosunku do prawdy historycznej spore nadużycie – ojciec Szekspira, przez pewien czas piastujący stanowisko lokalnego burmistrza, jako katolik nie mógłby tego robić). A żeby prawa królowej Elżbiety nie były pustosłowiem, zaraz po przybyciu do Londynu Will zostaje przez miejscowego ulicznika zaprowadzony na – jak zapowiada chłopiec – najlepszy spektakl, jaki można w stolicy zobaczyć, czyli wiwisekcję i wyjmowanie jelit podejrzanemu o katolicyzm wyznawcy mężczyźnie na gwałtownym, nabitym ludźmi placu w sercu Londynu.

A jaki jest teatr prawdziwy? Nie ma nic wspólnego ani z nobliwymi wystawieniami sztuk Szekspira-nie-Szekspira w dzisiejszych mieszczańskich świątyniach sztuki bez czwartej ściany, ani też z eksperymentalnymi reinterpretacjami jego dzieł, do jakich przyzwyczaili widzów teatr postdramatyczny. W świecie „Willa” to maszyna do zarabiania pieniędzy i producent rozrywki najniższych lotów przygotowującej na chybcika: praca nad opowieścią o Edwardzie III, która uczyni Willa sławnym, trwa niecałą dobę, a kluczowy fragment – słynna scena z ptakami – powstaje na godzinę przed wyjściem na scenę.

NIEROZWIĄZANA TAJEMNICA

Po premierze pierwszego odcinka „Willa” za oceanem rozpoczęły się utyskiwania krytyków, że serial nie jest wierną biografią Szekspira. Owszem, nie jest – podobnie jak „Demony da Vinci”, sytuujące tytułowego bohatera w otoczeniu małego ulicznika Machiavellego i każącemu żeglować na koniec świata, nie były biografią twórcy „Ostatniej wieczerzy”, a „Rodzina Borgiów”, radośnie mieszającą wydarzenia z paru dekad historii włoskich państwów, niewiele miała wspólnego z prawdziwą historią dzieci papieża



REŻ. SHEKHAR
KAPUR
„WILL”
USA 2017

Aleksandra VI. Po prawdzie to daleki od prawdy historycznej był także hitowy, filmowy „Zakochany Szekspir” – dzieło m.in. Toma Stopparda, najwybitniejszego brytyjskiego dramaturga drugiej połowy XX w. W tamtym filmie kazano Szeksprowi romansować z wysoko postawioną szlachcianką, w serialu TNT – powoli zakochiwać się w córce właściciela teatru, w którym wystawiana jest jego debiutanka sztuka. Cóż – w „Miguelu i Williamie” sprzed dekady domniemany autor „Hamleta” spotkał się z innym założycielem nowoczesnej literatury, Cervantesem, i rywalizował z nim o względy pięknej Hiszpanki, a w sztuce Esther Vilar „Królowa i Szekspir” nie tylko miał romans z Elżbietą I, lecz także nawiązywał przyjaźń z Giordanem Brunem i Michelelem de Montaigne’em. Wielkich renesansowych umysłów, które w przeciętnym pozeraczu seriali budzą – niewyraźne, bo niewyraźne, ale jednak – skojarzenia, jest wystarczająco wiele, by można nimi było żonglować.

A jaka jest w końcu ta historyczna prawda, do której wszyscy lubią się odwoływać? Z ksiąg parafialnych w Stratfordzie wiadomo, że 28 listopada 1528 r. niejaki William Szekspir [Shakespeare] pojął za żonę Annę Hathaway z wioski Shotton. Z innych źródeł – że w 1592 r. ktoś, kto nazywał się tak samo, pożyczył londyńczykowi Johnowi Claytonowi 7 funtów. 15 marca 1595 r. skarbnik królewski wypisał rachunek dla kompanii teatralnej Lorda Szambelana – a w niej: Williama Szekspira, Richarda Burbage’a i Williama Kempe – za występ przed królową w pałacu w Greenwich. Rok później londyńczyk William Wayte zgłosił zakłócenie spokoju publicznego przez Williama Szekspira i paru innych; dwa lata po z kolei William Underhill ze Stratfordu sprzedał Williamowi Szeksprowi dwupiętrowy dom z cegły i drewna za 60 funtów. Poborcy podatkowi zasypali tego drugiego wezwaniem do uiszczenia niezbędnej kontrybucji dla królewskiego skarbcza. W 1599 r. William Szekspir stał się właścicielem 10 proc. udziałów w teatrze Globe, a w 1604 r. nabył 20 akrów łąki w Old Stratford i sprzedał 20 buszli wywaru słodowego miejscowemu aptekarzowi. W 1615 r. najął adwokata, by właściciel ziemski Matthew Bacon wydał mu kilka aktów hipotecznych. Sprawa zostaje załatwiona polubownie. W tym samym roku Szekspir umiera, nie uiszczając kwoty niezbędnej, by spocząć w oznaczonym grobie. Zaiste, przyda się temu serialowe podkreślenie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Bezkrwawa wojna Nolana



★★★★★

REŻ. CHRISTOPHER
NOLAN„DUNKIERKA”
(„DUNKIRK”)USA/FRANCJA/
WIELKA
BRYTANIA/
HOLANDIA 2017wyst. Fionn
Whitehead, Mark
Rylance, Tom Hardy

Dziwni są ci Anglicy. Trafalgar Square, Waterloo Bridge – jaki jest sens czcić wielkie klęski? – dziwił się pewien Francuz. Operacja „Dynamo”, najsynniejsza zorganizowana rejturada XX w., klęską nie była. Brytyjski Korpus Ekspedycyjny w ostatniej chwili wyostał się z matni. Czy jednak odwrót można nazwać zwycięstwem? Nawet Churchill miał co do tego wątpliwości. Reklama faktów trzymać się nie musi, spuśćmy więc litościwą zasłonę milczenia na slogany promujące „Dunkierkę” („Najbardziej zacięta bitwa drugiej wojny”, „Operacja, która zmieniła świat”).

Sam film nie jest w żadnym calu rewizjonistyczny. Na upartego można by twierdzić, że podważa autorytet armii, pokazując, jak cywilbanda pomaga uratować skórę munduro-

wym. Prywatne jachty, kutry, barki, motorówki, statki wycieczkowe w operacji „Dynamo” okazały się bardziej użyteczne od łatwiejszych do namierzenia i zniszczenia wielkich wojskowych okrętów. W Anglii wyprawa pospolitego ruszenia na drugą stronę kanału do dziś jest przedmiotem dumy narodowej. U nas chyba powołano by w tej sprawie komisję śledczą.

„Dunkierka” to nie „Szeregowiec Ryan”. Amatorzy batalistycznych widowisk mogą być nieco zawiedzeni ascetyczną formułą. Nolan oszczędza widzom widoku zmasakrowanych ciał, urwanych wybuchami kończyn i pływających bebeczków. Chciałbym wierzyć, że z wrodzonej delikatności, a nie z chęci załapania się do kategorii wiekowej PG-13, właściwej wakacyjnym blockbusterom. Największym atutem filmu są

aktorzy. Rzadko się odzywają, bo i po co – sytuacja jest jasna.

Jak na reżysera „Incepcji” mało tu wydziwiania. Odkrycie, że czas jest pojęciem subiektywnym, inaczej mija ludziom stojącym w kolejce na plaży, a inaczej pilotowi samolotu, w którym kończy się paliwo, trudno uznać za epokowe. Podobnie jak pomysł, by rozwój wypadków śledzić z trzech różnych punktów widzenia. Dopiero po złożeniu tych narracji zrozumiemy wszystkie niuanse fabuły. Brzmi dobrze, wygląda trochę gorzej.

Całe to widowisko obywateli się bez Niemców. Widzimy czarne krzyże na skrzydłach samolotów, rozbiłtek wspominają o U-Bootach, ale w rozmowach pojawia się jedynie enigmatyczny „wróg”. Dziwne to, bo narodowe resentymenty nie są w „Dunkierce” tematem tabu. Brytyjczycy odmawiają Francuzom miejsca na okrętach. Ci żegnają ich szyderczym okrzykiem: „Bon voyage!”. Epizodycznie pojawia się Holender, a Niemców nie.

Żołnierze wiedzą, że zawiedli. Tymczasem rodacy uważają ich za bohaterów. W angielskim porcie dochodzi do konfrontacji. „My tylko przetrwaliśmy” – mówi skonfundowany wojak. „O to właśnie chodziło” – słyszy w odpowiedzi. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „WOJNA O PLANETĘ MAŁP”

„Geneza planety małp” ukazywała, jak groźny wirus sprawił, że małpy zyskały inteligencję, a ludzie zaczęli wymierać. „Ewolucja planety małp” rozgrywała się już w zrujnowanym świecie, gdzie małpy i ludzie próbują żyć obok siebie (ale osobno). „Wojna o planetę małp” to widowisko ukazujące ostateczne

starcie – eskalacji przemocy nie da się powstrzymać, ktoś musi wygrać, a ktoś przegrać. Zgadnijcie, kto ma większe szanse. ©© Piotr Gociek

• „Wojna o planetę małp”,
reż. Matt Reeves, wyst. Andy Serkis,
Woody Harrelson, USA 2017

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Atomic Blonde”, reż. David Leitch, USA 2017
- „Mała Wielka Stopa” („The Son of Bigfoot”), reż. Ben Stassen, Francja/Belgia 2017
- „Kedi – sekretne życie kotów” („Kedi”), reż. Ceyda Torun, Turcja/USA 2016

Świnia w salonie

Komedia dydaktyczno-terapeutyczna. Głównym bohaterem jest literat – celebryta, klasyczny przedstawiciel kawiorowej lewicy. Po 35 latach walki o prawa uciśnionych najwyraźniej stracił czujność, bo w telewizyjnym talk-show daje się podejść adwersarzowi jak małe dziecko. Na pytanie, czy jako zwolennik multi-kulti zaprosiłby do swojego domu imigrantów z Rumunii, odpowiada twierdząco. Jeszcze tego samego dnia do bramy rezydencji pisarza puka komando Cyganów (pardon, Romów).

„My chcąc zostać dobrym Francuzem” – deklaruje ich przywódca, monsieur Bobik, lecz kulturowe różni-

ce aż nadto rzucają się w oczy. Przybysze jedzą jeże, hodują świnie, żebra i kradną, nie posyłają dzieci do szkół oraz pomiatają kobietami. A gospodarze to zwykli hipokryci. W tym miejscu jednak odwaga twórców filmu się kończy. Wychłostawszy jedwabnym biczem elity, dają do zrozumienia, że znacznie gorsi od Cyganów (pardon, Romów) są Marsylczycy i rasiści, ukrywający swe prawdziwe preferencje seksualne. Imigranci zasymilują się, to pewne jak amen w pacierzu. Prawicowe ksenofoby przegrają z kreteśsem. We Francji faszyzm nie przejdzie. Niech żyje prezydent Macron! ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★
REŻ. PHILIPPE DE CHAUVERON
„CZYM CHATA BOGATA!” („À BRAS OUVERTS”)
FRANCJA/BELGIA
2017

wyst. Christian Clavier, Elsa Zylberstein, Ary Abittan



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KSIĘŻNICZKA I CHŁOPIEC

Szczypta „Niekończącej się opowieści”, dwa gramy „Zakazanego królestwa”, chińskie pieniądze i opieka Luca Bessona, który rzecz współprodukował – to w skrócie projekt „Wrota bohaterów”. Sympatyczny nastolatek rozkochany w grach komputerowych dzięki staremu chińskiemu artefaktowi będzie miał okazję naprawdę poznać pewną wojowniczą księżniczkę w opałach i naprawdę stawić czoło magicznym wojownikom. Dziewczyna natomiast przejdzie przyspieszony kurs nauki życia w naszym świecie, gdzie nikt nie mówi do niej Wasza Wysokość, istnieje rap, lody o wielu smakach i centra handlowe, w których podoba się nawet księżniczkom. Skrzyżowanie komedii dla nastolatków z filmem sztuk walki okazuje się daniem lekkostrawnym i sympatycznym dzięki charyzmie wschodzącej gwiazdy kina chińskiego, czyli Ni Ni w roli księżniczki. Resztę załatwiają wartka akcja oraz chińskie i kanadyjskie pejzaże.



wyst. Mark Chao, Ni Ni, Dave Bautista

★★★★★
REŻ. MATTHIAS HOENE
„WROTA BOHATERÓW”
FRANCJA/CHINY
2016,
KINO ŚWIAT

SZKOŁA I PIĘŚĆ

Ostatni dzień roku szkolnego w amerykańskim liceum – uczniowie robią nauczycielom psikusy, a dyrekcja zwalnia połowę kadry (oszczędności – skąd my to znamy?). Ciapowaty nauczyciel angielskiego (Charlie Day) naraża się ciemnoskóremu nauczycielowi historii wyglądającemu jak weteran walk z ulicznych gangów (Ice Cube). Po lekcjach panowie mają walczyć na pięści. Wystraszony białas rozpaczliwie próbuje uniknąć bójk, ale tylko pogarsza swoją sytuację. Na drugim planie przewijają się zabawne postacie grane przez aktorów znanych z seriali. Christina Hendricks (Joan z „Mad Men”) gra szaloną nauczycielkę francuskiego, Kumail Nanjiani (Dinesh z „Doliny Krzemowej”) szkolnego strażnika, a Dean Norris (Hank z „Breaking Bad”) dyrektora szkoły. To komedia mądrzejsza, niż wynika ze streszczenia, a problemy podobne do naszych. Jak uczniowie mają szanować swoich profesorów, skoro za nic mają ich ci, którzy dają im pracę?



wyst. Ice Cube, Charlie Day, Jillian Bell

★★★★★
REŻ. RICHIE KEEN
„USTAWKA”
USA 2017,
GALAPAGOS

©© recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „MICRO MACHINES: WORLD SERIES”

Debiutująca na platformie NES seria „Micro Machines” przeszła do historii wyścigów. Za jej sukcesem stał prosty i zabawny koncept – przeniesienie na ekrany telewizorów zmagani resorówek, które walczyły o pierwsze miejsce na stole w kuchni, w wannie, na stole bilardowym czy biurku.

„Mikromaszyny” wracają po latach na konsolę nowej generacji, ale nie jest już tak różowo. Po pierwsze, na siłę do wszystkiego wciśnięto tryb multiplayer, podczas którego często dominuje chaos. Po drugie, map – choć ładnych i dopracowanych – jest mało, bo tylko 10. Niestety, zabrakło



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

prawdziwej kampanii dla jednego gracza. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** Wyścigi
- **Platforma:** PC/PS4/XONE
- **Producent, dystrybutor:** Codemasters/Techland
- **Klasyfikacja wiekowa PEGI:** 7+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Schabowy po żydowsku

Punkt wyjścia do swojej najnowszej książki filozof Dariusz Karłowicz znalazł w filmie. Konkretnie – w „Tożsamości Bourne’a”, nakręconej w 2002 r. przez Douga Limana z Mattem Damonem w roli tytułowej. Bohater filmu – przypominajmy – cudem wyłowiony z wody odzyskuje przytomność, ale nie pamięć. Amnezja to jednak nie reset, Bourne bynajmniej nie jest niezapisaną tablicą, trwa jego tożsamość i ona okazuje się najważniejsza.

Podobnie zbawienną – utrzymuje autor – była tożsamość dla Polski wynurzającej się z otchłani w roku 1989. Była i jest, czemu trudno zaprzeczyć, co najwyżej możemy się pospierać, czy rzeczywiście Polska przed 28 laty cierpiała na amnezję podobną do przypadłości, jaka dotknęła tajemniczego agenta z ekranizacji (dość dowolnej) głośnej sensacyjnej powieści Roberta Ludluma.

Polska po wyborach z czerwca 1989 r. nie tylko nie wzięła się znikąd – co oczywiste – lecz także totalnie nie utraciła pamięci, zarówno o rzeczach złych, jak i dobrych. Błąd nowych władz polegał na tym, że uznały niemal całą przeszłość za godną jedynie zresetowania. Można by nawet zgodzić się z taką, było nie było, drastyczną terapią, gdyby lekarz miał do zaoferowania coś rzeczywiście godnego uwagi. Tymczasem – użyję ulubionej metafory Dariusza Karłowicza – zainstalował on w całej Polsce kserokopiarki, zatrudniając do nich obsługę na umowę-zlecenie, domagając się od pracowników wdzięczności za dostępną im wodę w kranie i inne podobne luksusy, no a przede wszystkim za niepowtarzalną szansę kopiowania tych wszystkich rozwiązań, które na Zachodzie sprawdziły się raczej średnio.

Na nową książkę autora „Sokratesa i innych świętych” złożyły się



FOT. JAKUB SZYMCZAK/FOTO GOSĆ FORUM

teksty w większości mające swój pierwodruk w tygodniku „W Sieci”, którego Karłowicz jest stałym współpracownikiem. Pisuje tam teksty o charakterze światopoglądowym, politycznym, społecznym. Teraz ułożył je w trzy zestawy tematyczne, z których pierwszy, zatytułowany „Mare nostrum”, od pierwszego zdania wprowadza w gorącą atmosferę poruszanych przez Karłowicza kwestii. Trzeba bowiem przyznać, że nie interesują go zagadnienia marginesowe, a skupia się na tym, co dla naszego życia najistotniejsze. Stawiając pytania z gatunku tych za 10 punktów, poczynając od: Kim jesteśmy? I zaraz podsuwa odpowiedź: „Katolickimi dziedzicami rzymskiego republikanizmu, niemówiącymi po łacinie łacinnikami, ukształtowaną przez rzymską formę Północą, której skradziono blisko 200 lat podmiotowej polityki, odbierając zarazem szansę na własny kształt nowoczesności”. Naturalnie, nie jest to definicja, w oryginale kończy ją zresztą znak zapytania, ale niemal z punktu ustawia ona całą problematykę poruszanej tematyki w takim właśnie świetle.

Zwracam uwagę na użytą przez autora formułę „niemówiących po łacinie łacinników”, rozwiniętą następnie w takich m.in. błyskotliwych konstatacjach: „Świadomie czy nie, religii uczyliśmy się od św. Augustyna, polityki od Cyncerona, a rolnictwa od cystersów”. Karłowicz nie stawia spraw na ostrzu noża, ale dopowiedzmy za nim: dajmy sobie spokój z wielokulturowością, eklektyzmem, absolutyzmem oświeconym i wszelkimi „-izmami”. „Nie potrafimy – czytamy – zostać Niemcami czy Francuzami, tak samo jak nie potrafiliśmy zostać Rosjanami, Prusakami czy Austriakami. To nie w ludzkiej mocy”. No bo i prawda, co poradzimy na to, że nasza chata z kraja, a w Polsce oświecenie wprowadzali księża katolicy? Jagiellońska różnorodność – „mówię o typie idealnym”, zaznacza autor – była w Polsce możliwa „dzięki (a nie mimo) katolicyzmowi”.

Dariusz Karłowicz, jak na filozofa przystało, skupia się na pryncypiach i kwestiach dla naszego życia fundamentalnych, ale zwraca też uwagę na – powiedzmy – drobiazgi. Ot, takie jak czczenie 1050. rocznicy chrztu Polski wystawieniem musicalu „Jesus Christ Superstar”, niedostrzeżenie faktu (i niewyciągnięcie z niego wniosku), że najczęściej tłumaczoną polską książką jest „Dzienniczek” siostry Faustyny, wreszcie – nazywając rzecz po imieniu – postępujące zjawisko tzw. sekularyzacji, w istocie będącej „brakiem wykształcenia, gamoniowatością, barbarzyństwem”. Czyż można się dziwić, że w następstwie tego w restauracyjnych kartach dań natkniemy się na „schabowego po żydowsku”?

Felietony Dariusza Karłowicza, zebrane obecnie i ułożone w spójną całość, zyskały nową jakość. Powstał znakomity materiał do przemyśleń, refleksji i oczywiście polemik. ©



★★★★★

**DARIUSZ
KARŁOWICZ**
„POLSKA JAKO
JASON BOURNE”
TEOLOGIA
POLITYCZNA,
WARSZAWA 2017



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Fantastyka pod lupą

Dla tych, którzy latem pragną czegoś więcej niż literatury lekkiej, łatwej i przyjemnej, mam propozycję: a gdyby się tak przyjrzeć temu, jak taka literatura jest robiona? Oddajmy głos literaturoznawcom. W ubiegłym roku sensację wywołała Agnieszka Gajewska książką pt. „Zagłada i gwiazdy”, w której ujawniała nieznane fakty z życiorysu Stanisława Lema i analizowała jego twórczość przez pryzmat wojennych doświadczeń pisarza. Ten sezon, moim zdaniem, należy do Piotra Gorlińskiego-Kucika. Książka „TechGnoza, uchronia, science fiction. Proza Jacka Dukaja” to potężne opracowanie poświęcone twórczości pisarza, który zaczyna się za granicą cieszyć estymą równie wielką jak Stanisław Lem. Wiem, co mówię, bo rozmawiałem o tym z gośćmi ostatniego Kongresu Tłumaczy w Krakowie – grono wyznawców Dukaja było wśród nich mocno zauważalne.

Gorliński-Kucik wykonał robotę tytaniczną: przygląda się zmaganiom Dukaja z Lemem (tego ostatniego jest wszak jednocześnie i kontynuatorem,

i kontestatorem), bada relacje twórczości autora „Lodu” z literackim mainstreamem (szczególnie ciekawe są porównania z Gombrowiczem), analizuje rozmaite role: pisarza, krytyka, popularyzatora nauki. Cała ta panorama ukazuje w pełni, jak niezwykle, utalentowanym, inspirującym i wszechstronnym twórcą jest Dukaj.

Z zaciekawieniem, które jednak mało w miarę lektury, czytałem z kolei książkę Katarzyny Kaczor „Z »getta« do mainstreamu. Polskie pole literackie fantasy 1982–2012”.

Praca jest obszerna i pełna szczegółów, znajdziemy w niej drobiazgowo wyliczenie autorów, tytułów, artykułów krytycznych, streszczenie sporów, a oprócz informacji o Polakach kreślone jest również tło zagraniczne – wyobraźnię naszych pisarzy kształtowały wszak przede wszystkim przekłady i filmy z importu. Jest jednak z tą pracą kłopot, bo skrupulatność nie zastąpi interpretacji. Dowiedzie się więc, kto, ile, gdzie i dlaczego, nie dowiedzie się jednak, na czym polega wyjątkowość polskiej fantasy. Ciąg dalszy pilnie poszukiwany. © ©



★★★★★
PIOTR GORLIŃSKI-KUCIK
„TECHGNOZA, UCHRONIA, SCIENCE FICTION. PROZA JACKA DUKAJA”
WYDAWNICTWO UNIwersYTETU ŚLĄSKIEGO 2017



★★★★★
KATARZYNA KACZOR
„Z »GETTA« DO MAINSTREAMU. POLSKIE POLE LITERACKIE FANTASY 1982–2012”
UNIVERSITAS 2017

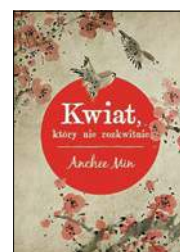
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Nicole cudem ocalała z wypadku samochodowego. Sprawy zaczęły się komplikować, gdy zaczęła mówić o dziecku, które według innych nie istnieje. Elegancki i inteligentny thriller, w którym powraca detektyw Tessa Leoni.



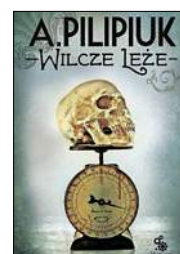
LISA GARDNER
„DOM DLA LALEK”
SONIA DRAGA

Uznana w Chinach za „jałowe ziarno” (swoje życie w reżimie komunistycznym opowiedziała w książce „Czerwona Azalia”) 27-letnia Anchee leci do Ameryki, by zacząć życie na nowo. Wspomnienia autorki „Cesarzowej Orchidei”.



ANCHEE MIN
„KWIAŁ, KTÓRY NIE ROZKWITNIE”
ALBATROS

Nowy zbiór opowiadań mistrza polskiej rozrywki. Powracają w nim bohaterowie znani i lubiani przez czytelników: poszukiwacz Robert Storm, oraz XIX-wieczny obieżyświat doktor Skórzewski. Lekki melanz przygody, fantazji i sensacji.



ANDRZEJ PILIPIUK
„WILCZE LEŻE”
FABRYKA SŁÓW

Edukacja dla najmłodszych na najwyższym poziomie – uroczą opowiastką o tym, jak żyli 100 lat temu polscy ziemianie. Każde pomieszczenie zilustrowano osobną planszą, a przewodnikiem czytelnika została myszka Jaś Ogonek.

© © poleca Piotr Gociek



JAN SKURATOWICZ, TOMASZ ZYSK
„DWÓR DLA DZIECI”
ZYSK I S-KA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- 1. Nela „Nela i tajemnice oceanów” (Burda NG Polska)** – literatura edukacyjna dla najmłodszych czytelników, kolejny tom popularnej serii.
- 2. Jay Asher „Trzynaście powodów” (Rebis)** – śmierć nastolatki objaśniana przez nią samą na taśmach pozostawionych po samobójstwie. Także serial Netflixa.
- 3. Paula Hawkins „Zapiskane w wodzie” (Świat Książki)** – nowa powieść autorki największego bestsellera ostatnich lat, czyli „Dziewczyny z pociągu”.
- 4. Nicola Yoon „Ponad wszystko” (Wydawnictwo Dolnośląskie)** – melodramat dla młodzieży o chorej na rzadką alergię dziewczynie. W kinach już ekranizacja.
- 5. Keri Smith „Zniszcz ten dziennik. Nowy” (K.E. Liber)** – kolejna odsłona najgłupszego przedsięwzięcia w dziejach literatury. Niby że darcie książek uczy ich czytania.

(Najchętniej kupowane książki w sieci salonów Empik między 19 czerwca a 9 lipca 2017 r.)



JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Ambasador polskiego jazzu

To nie jest próba recenzowania recenzenta, to akt sprawiedliwości wobec kogoś, kto od wielu lat nieustraszenie i bardzo kompetentnie promuje polską muzykę jazzową. Urodzony w Polsce Adam Baruch, choć od wielu lat mieszka w Izraelu, nigdy nie zerwał więzi z polską kulturą. Na swojej stronie internetowej zamieszcza recenzje polskich płyt jazzowych, śledząc nowości, zarówno z dużych wytwórni, jak i z małych niezależnych wydawnictw.

W świecie, w którym nastąpił uwiad niezależnej krytyki muzycznej, w czasach, gdy w renomowanych magazynach gołym okiem można rozpoznać recenzje obstawiane przez fonograficzne koncerny, Baruch, autor niezależny, tworzy kompendium wiedzy i uczciwej oceny polskiego jazzu. Na portalu Adam Baruch – Sound-



FOT. MICHAŁ WARGENFEST NEWS

track Of My Life znajduje się ponad 5,3 tys. omówień albumów.

Jako ceniony znawca Baruch obecny jest na łamach „Jazz Journal International”, w kultowym „Down Beat”, a także „Jazz Forum” i „Polish Jazz”. Należy do tych obserwatorów światowego rynku muzycznego, którzy podzielają tezę, że ważne projekty i zwiastuny nowej energii w muzyce jazzowej paradoksalnie rodzą się dziś poza ojczyznę jazzu – Amerykę. A polscy młodzi muzycy w tym tygłu właśnie mocno miesza. Utalentowani, wykształceni

na zagranicznych uczelniach, bez kompleksów, z energią, szturmują kluby i studia nagraniowe.

Baruch zauważa, że to młode pokolenie naszych artystów, choć często musi nagrywać za własne pieniądze, choć nie ma gdzie grać, wnosi do światowego jazzu więcej świeżego brzmienia niż nowojorczycy. Dobrze, że widzi to i głośno o tym mówi ktoś z zewnątrz.

Szkoda, że my nie jesteśmy w stanie zagospodarować tego młodego potencjału. Na przykład w Warszawie, która wydaje ogromne publiczne pieniądze na kulturę czy na coś, co za kulturę chce się uważać, jedyny klub jazzowy z prawdziwego zdarzenia – 12on14 – który w kilka lat zyskał światową renomę, prowadzi pasjonat nie tylko bez subwencji, lecz także nawet bez ulg ze strony miasta. Jednak to już temat na kolejny felieton. ©©



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Książę wraca z grobu

W 1994 r. Prince uznał, że kontrakt z wytwórnią Warner Bros. czyni z niego niewolnika.

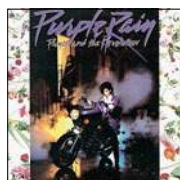
Wypowiedział wojnę, czego skutkiem był brak wznowień jego płyt. Dopiero ubiegłoroczna śmierć Księcia sprawiła, że ukazał się jego najśłynniejszy album, i to w wersji czteropłytowej.

W 1984 r. Prince zdobył potrójną koronę: w maju piosenka „When Doves Cry” była numerem jeden w USA, w lipcu album trafił na szczyt, a jesienią film „Purple Rain” królował w amerykańskich kinach. Książę wprowadził nigdy nie był tak popularny jak Michael Jackson, ale w latach 80. był najbardziej twórczym czarnoskórym artystą.

Na poły autobiograficzny film „Purple Rain” opowiada o rywali-

zacji dwóch zespołów muzycznych. Nie tyle sama historia, ile muzyczny geniusz Prince’a sprawił, że album wciąż uchodzi za arcydzieło. Na swoją szóstą płytę Książę nie tylko skomponował wielkie utwory, lecz także zawarł w nich historię czarnej muzyki: wokálną ekspresję Little Richarda, zaraźliwy funk Jamesa Browna, gitarowe szaleństwa Jimiego Hendriksa czy społeczne zaangażowanie Sly’a Stone’a.

Obecna wersja albumu, który dotąd rozszedł się w 25-milionowym nakładzie, zawiera: zrekonstruowany dźwiękowo oryginał, 11 niepublikowanych nagrań, 15 piosenek w wersjach z płyt singlowych oraz DVD z genialnym koncertem z 1985 r. Co istotne, wydawnictwo można kupić na Allegro nawet za 75 zł. ©©



★★★★★
PRINCE & THE
REVOLUTION
„PURPLE RAIN”
WARNER BROS.



★★★★★
BROKEN SOCIAL
SCENE
„HUG OF THUNDER”
CITY SLANG

Po siedmioletniej przerwie powrócił zjawiskowy kanadyjski kolektyw. Zderzenie osobowości 20 muzyków przełożyło się na radosne wspólne śpiewanie, porywające gitarowe ściany dźwięków, wyszukane melodie i brzmieniowy sezam. ©©



★★★★★
THE CEEZ
„O CHŁOPCU
POLSKIM”
POLSKIE RADIO

Mieszkający od lat w USA Peter Ceez Okrasa nagrał z tamtejszymi, wybitnymi muzykami concept album oparty na wierszach Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Piosenki ukazują kolejne rozdziały rozwoju emocjonalnego i twórczego artysty. Muzycznie od jazzu do elektroniki. ©©

XXVII Forum Ekonomiczne

5 - 7 WRZEŚNIA 2017, KRYNICA-ZDRÓJ



Województwo Małopolskie
Główny Partner
Forum Ekonomicznego

PROJEKT EUROPA - JAKI PRZEPIS NA NASTĘPNE DEKADY?



Najważniejsza konferencja organizowana
od ponad 25 lat w Europie Środkowo-Wschodniej.



Ponad 3000 gości - liderów świata polityki
i biznesu z ponad 60 krajów z Europy, Azji i USA.

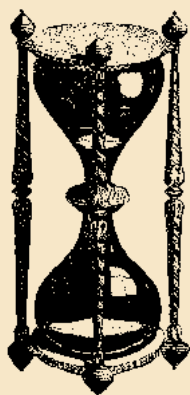
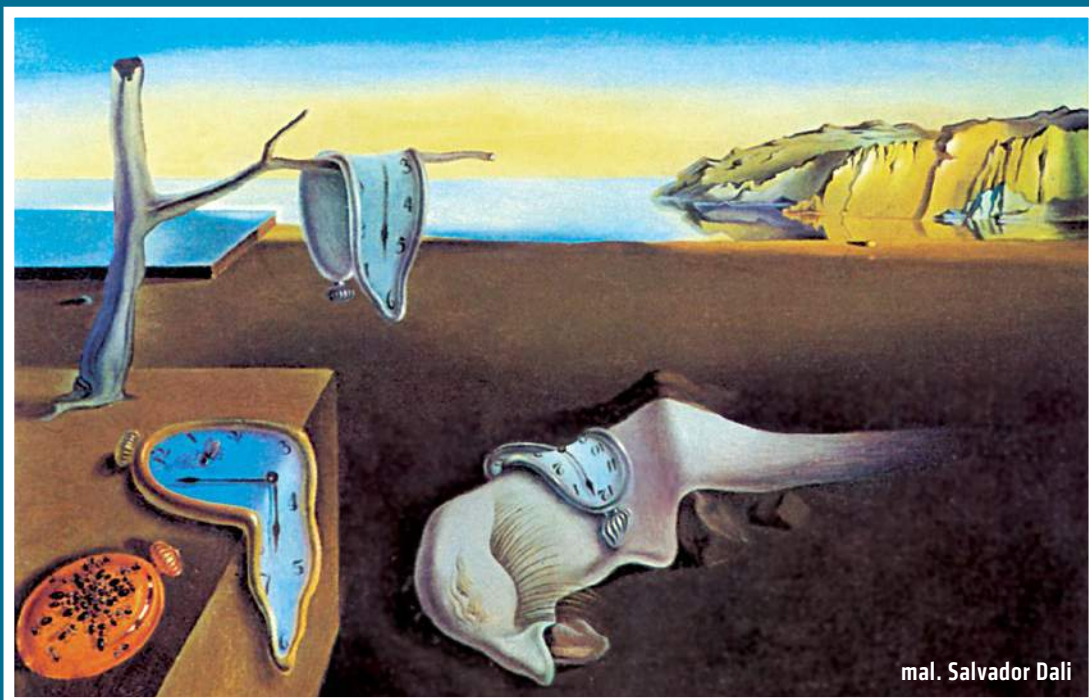


Ponad 150 debat - makroekonomia, biznes
i zarządzanie, energetyka, innowacje.



Najbardziej znane miejsce spotkań
elit gospodarczych w tej części Europy.

T i m i n g



Biernat z Lublina (XV/XVI wiek):

*„Nigdy nie miej za pewne tego,
Co nie przyjdzie czasu swego.
Wiele się ich omylają,
Którzy czasu nie patrzą.
Słuszeciem to na mądrego
Działać wszystko czasu swego”.*

Kazimierz Brodziński (XIX wiek):

*„Czas rachmistrz wszystko sobie
W grze z nami nagrodzi”.*

Andrzej Niemojewski:

„Czas może z nas zadrwi...”.





Waldemar Łysiak

Definicyjnie „*timing*” to „*koordynacja czasowa, regulowanie czasowe, synchronizujące planowanie, chronologicznie prawidłowy tok zdarzeń*”. Plus sporo jeszcze rzeczy (jak punktualność, spóźniałstwo, tzw. „*niedoczas*”, antycypacje, prekognizje, etc.) — ileż rzeczy można podciągnąć pod modny dziś termin „*timing*”! Według słownika Reader's Digest: „**TIMING** to wybór najlepszego z możliwych momentów do rozpoczęcia jakiegoś przedsięwzięcia, podjęcie działań we właściwym czasie”. Czyli niepopelnianie błędów czasowych. O Henryku Sienkiewiczu, któremu (gdy pisał Trylogię) zdarzało się mimowolnie „*wskrzeszać*” uśmierconych już bohaterów, moglibyśmy dziś powiedzieć, iż czasami chrząnął mu się „*timing*”. Ludzie od czasów Jaskini zmagali się z „*timingiem*”, co jest oczywistą oczywistością nie dlatego, że zdarzają się każdemu „*timingowe*” lapsusy — według tygodnika „**ANGORA**” (17/2016) rok 2000 to „*przełom XIX i XX wieku*” — tylko dlatego, że każdy człowiek zmagą się z Czasem, przed którym ucieczka nie istnieje. Fakt ów komentowali smętnie poeci wszystkich epok, exemplum Zbigniew Morsztyn (wiek XVII):

*„Jako nie mam dni i godzin rachować,
Kiedy je pędzi czas niedościgniony?
Zegar wybija na wysokiej wieży,
A czas niewrotny jak bieży, tak bieży”.*

Zdaje się, iż na tym — na naszej grze z Czasem i grze Czasu z nami — polega życie, zaczynajmy więc „*timingowe*” różności (model „*silva rerum*”) od rozdziału:

ŻYCIE JAK SPORT

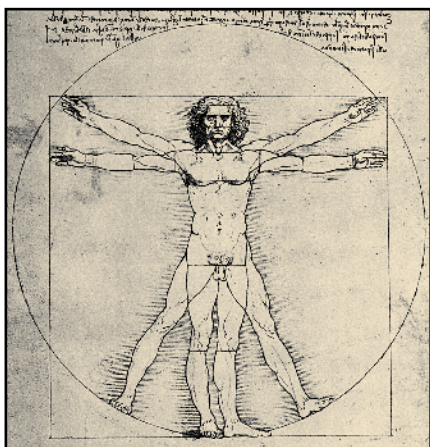
W pierwszej połowie 2015 roku ogłoszono wyniki pomiarów ludzkiego życia (dane kilku zachodnich centrów badawczych). Okazało się, że przeciętny człowiek śpi 26 lat, pracuje 12 lat, na jedzenie poświęca 4,5 roku, a na pranie odzieży 3 lata. Do tego klnie stojąc w kolejkach przez 6 miesięcy, a śmieje się przez 4 miesiące. Różnice między płciami są i zaskakujące (seks), i banalnie oczywiste (dbanie o urodę) według tych pomia-



sztych z XVII wieku



mal. Hans Holbein Mł.



■ rów. Mężczyźni doznają orgazmu przez 9 godzin, a kobiety tylko przez 84 minuty (te dane budzą nieufność wobec „mierzniczych”, zważywszy „wolnościową” superaktywność erotyczną „wyzwolonych” niewiast, plus bezsporny fakt, iż dama może mieć kilka orgazmów podczas jednego stosunku), natomiast dbałość o wygląd (o urodę i o stroje) zabiera paniom dużo więcej czasu niż panom. Toczą one bowiem walkę ze starzeniem się morderczą wprost, i podczas tych bitew przelewają nie tylko tony kosmetyków, lecz również morze krwi (spod skalpeli). Jest to „timingowy” bój o życie, czyli „o wszystko”, gdyż każda baba zna (świadomie lub podświadomie) starą mądrość akademickich (uczelnianych) dostojników: „— Żony się starzeją, a studentki trzeciego roku — nigdy!”.

Świszczące wokół globu skalpele chirurgów liftingujących co tylko można (a można też waginę, dzisiaj operacyjne przywracanie dziewictwa to pestka) czynią silikonowo-botoksowe starszuszki fertycznymi młódkami, stąd głośna francuska aktorka, Catherine Deneuve, ma rację mówiąc: „— *Kobiety wydają się dziś młodsze niż pięćdziesiąt lat temu*” (2015), podobnie jak rację miał niegdyś Oscar Wilde, kpiąc: „*35 lat to bardzo atrakcyjny wiek. Świat jest pełen kobiet, które od dawna mają 35 lat*”. Prócz skalpeli gra tu także rolę dużo większa niż niegdyś aktywność fizyczna dwojakiego rodzaju: seksualna i sportowa. Pierwszą celnie ujął poeta Rafał Wojaczek:

„Dobra matka, co wstydy się
roślego syna,
Kultywując kurestwo po to,
by zatrzymać
Młodość, wszak wreszcie musi
potknąć się o śmierć”.

Dруга to ćwiczenia sportowe i paraspportowe (aerobik, jogging, tenis, kolarstwo, itp.), co pozwala nam bezkolizyjnie przejść do „timingu” w sportach. Każda pani chciałaby być gibka i chylą jak Agnieszka Radwańska, by móc „wyginać śmiało ciało”. Notabene: tej samej jesieni 2015 Azja zdominowała Polskę (Azjaci wygrali XVII Konkurs Chopinowski), zaś Polska zdominowała Azję (Radwańska wygrała trzy azjatyckie turnieje tenisowe — od Tokio do Singapuru — zdobywając

nieoficjalny tytuł mistrzyni świata), co jest ciekawą „timingową” zbieżnością międzykontynentalną forehandu na korcie i klawiaturze. Mamy już w sporcie „timingowego” rekordzistę świata (5 goli Lewandowskiego w niespełna 9 minut), i doskonale wiemy, że niejedne zawody sportowe, niejednym meczu, warto obejrzeć dla ledwie paru minut lub sekund (to samo jest z filmami — cały liczący 100 minut film Petera Chelsoma „*Shall We Dance*” warto zobaczyć tylko dla 2,5-minutowego argentyńskiego tanga, które nocą tańczą w wielkiej pustej sali Richard Gere i Jennifer Lopez, a cały trzeci sezon „*House of Cards*” dla jednej wścieklej frazy, którą zdolowany polityczną klęską główny bohater rzuca w kierunku widzów: „— *Co się gapiacie!*”).

Związane ze sportem „timingowe” pechy to rodzaj dreszczowca chronometrycznego. Legenda obrosła w USA wpadka telewizji NBC, która — transmitując (1968) ważny mecz NFL (futbol amerykański) — przerwała transmisję 65 sekund przed końcem, bo New York Jets wyraźnie prowadzili z Oakland Raiders i raczej nic nie mogło tego zmienić, a stacja wskutek przedłużania się meczu miała już duże opóźnienie programowe (musiała puścić sławny film dziecięcy „*Heidi*”). Tymczasem Raidersi dwoma przyłożeniami odrobili stratę w 9 sekund i wygrali, więc miliony telekibiców wściekły się na NBC. Dziś każde dziecko „kuma”, że w koszykówce (zwłaszcza w NBA) jedna końcowa sekunda to godzina, a dwie końcowe sekundy to wieczność. Co zaś do pechów „timingowych” — polskim symbolicznym (być może nawet legendarnym) będzie wpadka Legii Warszawa, która wygrała z Celtikiem Glasgow (2014), ale została karnie wyrzucona za burtę rozgrywek, bo w jej składzie przez końcowe niespełna 4 minuty grał nieuprawniony piłkarz. Notabene: kary „timingowe” bywają nie tylko sportowe, są również polityczne, ekonomiczne, etc. Po wizycie dalejlamy w Londynie Chińczycy na trzy lata zamrozili stosunki dyplomatyczne z Wielką Brytanią, a gdy Oslo przyznało pokojową nagrodę Nobla chińskiemu dysydentowi Liu Xiaobo, norweski kontener z łososiami tak długo czekał w chińskim porcie na oclenie, że ryby się zepsuły.

Szczególnie ciekawe rodzime opóźnienie dotknęło tygodnik „*Wprost*”. Za zrobienie przykrości Platformie publikacją „*taśmową*” (knajpiane podsłuchy) — wydawca periodyku został bezzwłocznie ukarany ciężkim finansowym haraczem, bo rzekomo „*naruszył międzynarodowe*



mal. Marian Puffke

standardy rachunkowości” przed... pięciu laty! Spóźnienia, opóźnienia, niepunktualność, itp. to pikny „timingowy” temat sam w sobie:

PUNKTUALNOŚĆ, NIEPUNKTUALNOŚĆ

Kobiece: „— Będę gotowa za pięć minut!”, i męskie: „— Będę w domu za pięć minut!” — to dokładnie jedno i to samo. Spóźnienie gwarantowane, ale nie grzeszne. Czymś zupełnie innym jest notoryczne spóźnianie się tych, którym trzeba przypominać, że punktualność stanowi cnotę królewską, więc winni obstawiać łacińską mądrość „*hit et nunc*” (tutaj i zaraz; tu i natychmiast). Chociaż jednak niepunktualność (spotkaniowa, kontraktowa) mnie mierzi, pamiętam z czasów głębokiego PRL-u, że punktualność też może wyjść człowiekowi bokiem. Cela więzienna, strażnicy wypychają trzech nowych aresztantów, „starszy” celi pyta pierwszego:

— Za co kibelujesz?

— Za to, że przychodziłem do pracy pięć minut wcześniej niż trzeba. Powiedzieli, że robiłem to, by szpiegować.

— Ja siedzę, bo spóźniałem się do pracy pięć minut — odpowiada drugi. — Powiedzieli, że to sabotaż.

— A ty? — pyta „starszy” trzeciego.

— Ja przychodziłem punktualnie. Powiedzieli, że mam zachodni zegarek.

Wśród polityków z górnej półki za najbardziej niepunktualnego (czyli źle wychowanego lub prowokująco arogantkiego) uchodzi Władimir Putin, którego spóźnienie jest już anegdotyczne. Po 20–40 minut musiały czekać na niego

liczne upokorzone figury (m.in. królowa Wielkiej Brytanii, król Szwecji, kanclerz Niemiec), papież Franciszek 50 minut, zaś premier Włoch Enrico Letta aż 90 minut! Miano najbardziej punktualnego wodza wszech czasów zyskał Bonaparte, który wiele zwycięskich bitew rozgrywał dosłownie z zegarkiem w rękę. Klasyczny przykład to Austerlitz (1805). Centralnym punktem bitwy była wyżyna Pratzen, zajmowana przez armię rosyjską i armię austriacką. Po prawie trzech godzinach walk wokół Pratzen Napoleon wezwał marszałka Soulta, dowódcę francuskiego centrum, pytając:

— Ile czasu będziesz potrzebował, by zdobyć to wzgórze?

— Dwadzieścia minut, Sire.

„Bóg wojny” spojrzał na zegarek:

— Dobrze, damy im jeszcze kwadrans.

Gdy minął ów kwadrans, kohorty Soulta runęły ku Pratzen, wymierzając wrogiemu śmiertelny cios. Ale za wszystkie takie zwycięstwa los się zemścił dziesięć lat później, pod Waterloo, gdzie Bonaparte przegrał wskutek pechowego „*timingu*” (zbyt późno, dopiero koło południa, rozpoczął bitwę, przez co Prusacy w ostatnim momencie, wieczorem, zdążyli przybyć na pomoc przegrywającym Anglikom).

Opóźnienia wszakże bywają nie tylko szkodliwe — są też błogosławione, zamierzone, planowane, kalkulowane. Choćby przy ekspiacjach, wynurzeniach, auto-ujawnieniach. Jeszcze dwie dekady temu „*coming-outy*” homoseksualistów były bardzo rzadkie, bo niebezpieczne — dziś są częste i radosne, bo terror „*politycznej poprawności*” sprawił, że pasują „*timingowo*”. Albo dlaczego głośny lewacki noblista Günter Grass dopiero w XXI wieku (mając 79 lat) ujawnił, że za młodu wstąpił ochotniczo do zbrodniczej SS i jako esesman wojował póki II Wojna Światowa się nie zakończyła? Bo gdyby przyszedł w stulecie XX, nie dostałby ani literackiego Nobla (1999), ani honorowego doktoratu Harvarda, ani żadnej z rozlicznych nagród, jakimi obsypywało go lewactwo salonowe. Odczekał więc spokojnie, czyli racjonalnie „*timingowo*”.

Wykalkulowanym opóźnieniom towarzyszą na tym padole również wyrachowane przyspieszenia, niektóre wielce perfidne, jak choćby takie produkowanie wszelakich mechanizmów (od samochodów do AGD), by ich żywot nie był zbyt długi, ergo: byśmy szybko musieli kupić nowy model pojazdu lub sprzętu. Brytyjska rozgłośnia BBC ujawniła niedawno, że pierwsze tego rodzaju tajne porozumie-

nie zawarli czołowi producenci żarówek w 1924 roku (nocnym koszmarem producentów żarówek jest żarówka, która rozjaśnia pewną kalifornijską remizę strażacką nieprzerwanie od roku 1901!), a dzisiaj to już standard światowy: dzięki producentom znowu nie mamy szans na rzeczywiście trwałe urządzenia, musimy ciągle „*bulić*” fabrykantom cwaniaczkom.

W handlu na całym świecie obowiązują dziś „*timingowa*” zasada „*just in time production*” (dokładnie w terminie), co oznacza bardzo krótkie i szybkie terminy dostaw, dzięki czemu hurtownie magazynują produkty żywnościowe przez zaledwie 6 godzin. Mówię o wyśrubowanych normach zachodnich — w Polsce nie idzie to równie koncertowo. Ale po PRL-u rodzą się jeszcze tak wdrożeń/przyzwyczajeni do spóźniałstwa, że trzeba naprawdę czegoś apokaliptycznego lub „*barejowskiego*” (jak oznakowanie A.D. 2015 przejazdów kolejowych w dolnośląskim Przemkowie, gdzie od dawna tory kolejowe nie istnieją), by wywołać szok „*timingowy*”. Mamy spóźnienia duże/znaczące (jak kilkuletnie opóźnienie realizacji terminalu gazowego w Świnoujściu), średnie (zamiast zrobić krakowskie referendum o zimowej olimpiadzie przed zgłoszeniem kandydatury, zrobiono je dopiero po wydaniu kilkunastu milionów złotych bezcelowo, gdyż społeczeństwo powiedziało: nie!) i małe (również w Krakowie sprowadzono sokolników, z sokołami do przeprowadzania uciążliwych gawronów, o dwa tygodnie za późno, gdy gawrony złożyły już jaja, więc zawetowaną przez przyrodników akcję władze musiały przerwać, strofując urzędników, którzy schrzaniili „*timing*”). No i odnotujmy jeszcze należący do Polski rekord świata: okręt patrolowy „*Ślązak*” (wcześniejsza nazwa: „*Gawron*”) III RP budowała 14 lat!

O ile „*timingowe*” spóźniałstwo bywa irytujące, niebezpieczne, czasami dramatyczne — o tyle jego odwrotność, „*timingowe*” pospieszanie się (niefortunne wyprzedzanie właściwego czasu), bywa zazwyczaj komiczne, choć czasami robi się z tego tragikomedia:

POSPIESZYŃSCY

Przykład wręcz modelowy (aczkolwiek rangi mizernej) mieliśmy nad Wisłą niedawno. Oto prezydent PO-wski Bronisław Komorowski był tak bardzo pewien (w 101%, do bułu), że jego PO-sługa prezydencka będzie dwukadencyjna, czyli że darmowe łóżko będzie miał przez dekadę pod żyrandolem pałacowym, iż wynajął



■ komuś swoje prywatne mieszkanie na 10 lat. Ergo: po pierwszej kadencji stał się bezdomny i gwałtownie trzeba mu było wynająć jakiś mieszkalny lokal.

Fatalne pospiesznictwo było udziałem wielu grup branżowych, od dziennikarzy i reklamodawców, którzy przedwcześnie odtrąbiają lub fetują jakiś sportowy sukces (tak wpadła m.in. grupa bankowa Santander, przygotowując na sezon zimowy 2015/2016 reklamy z Justyną Kowalczyk, a ta ciągiem sromotnie przegrywała) do prognozujących długofalowo synoptyków i nawet historyków, chociaż ci „z definicji” zajmują się czasem przeszłym li tylko (sławny chiński przywódca Zhou En Lai alias Czou Enlai, spytany co sądzi o Rewolucji Francuskiej, odparł, że 200 lat to zbyt krótki okres, by można było sumiennie ocenić; vulgo: według Azjatów historycy cywilizacji zachodniej robią „timingowy” błąd, zbyt pospieszenie ferując swe dziejowe werdykty).

Dwie najciekawsze „timingowe” wpadki polityczne XX wieku związane z głupim pospieszeniem się są wojenne i mają ikonograficzne „godła” w postaci olbrzymich, dziś absolutnie unikatowych plakatów. Kiedy sowieckie armie Tuchaczewskiego

i Budionnego szły na Warszawę, a Polacy rozpaczliwie cofali się ku Wiśle spod Kijowa (1920) — Kreml utworzył na zapleczu swych wojsk (Białostockie) czerwony rząd Polskiej Republiki Rad (Marchlewski, Dzierżyński, Unszych, Kon i in.), zaś rosyjska drukarnia wypuściła gigantyczny plakat, który głosił, że Polskę właśnie zdobyto („NIECH ŻYJE POLSKA SOCJALISTYCZNA REPUBLIKA RAD — WOLNA POLSKA LUDU ROBOCZEGO”). Tymczasem Marszałek Piłsudski skopał Sowietom tyłki w dwóch wielkich bitwach (Wiśła i Niemen), pognął czerwone hordy na wschód i zmusił do błagania o armistycjum. Przedwcześnie sowiecki plakat to dziś rarytas — dwa lata temu sprzedano go na aukcji antykwariatu „Logos” za ponad 15 tysięcy zł.

Identycznie pospieszył się Hitler. Kiedy szeregi Wehrmachtu stały już „o rzut beretem” u rogatek Moskwy (1941) — Niemcy, pewni zwycięstwa, wydrukowali w kilku językach megaformatowy plakat, który prezentował zdobycie stolicy ZSRR jako fakt dokonany. Polska wersja głosiła: „MOSKAU — GNIAZDO BOLSZEWIZMU W NIEMIECKICH RĘKACH”. Gdy operacja „Tajfun” (kryptonim ofensywy na

Moskwę) załamała się jednak i Rosjanie przeszli do kontrataku — Niemcy ze wstydem spalili cały nakład plakatu, ocalało ledwie kilka egzemplarzy, więc jest to bibliofilskie „rarissimum” (które szczęśliwie posiadamy).

Główna (dziś już legendarna) amerykańska wpadka „timingowa” z pospieszeniem się to wybory prezydenckie roku 1948. Wszystkie renomowane sondażownie (Gallup, Roper, Crosley, etc.) dawały republikaninowi Deweyowi tak miażdżące zwycięstwo nad demokratą Trumanem, iż powszechnie żartowano, że szkoda wyrzucać pieniądze na te wybory, których wynik jest przesądzony już. Bukmacherzy przyjmowali proDeweyowskie zakłady 1:8 (stąd większość firm bukmacherskich zbankrutowała), a gazety głosiły, że „już pozamiatane”, tytułowały Deweya „prezydentem Deweyem” i omawiały szeroko skład jego rządu. Republikanie, całkowicie pewni zwycięstwa, wykupili (co do jednego pokoju) wszystkie waszyngtońskie hotele na dzień inauguracji nowej prezydentury, oraz 96% okien przy gotującej się do parady triumfu Pennsylvania Avenue. W przedwyborczą noc „Chicago Daily Tribune” wydrukowała na stronie





frontowej wielkimi czcionkami: „*DEWEY DEFEATS TRUMAN*” (Dewey pokonał Trumana) — później, gdy Truman zwyciężył, egzemplarze tego nakładu przepłacano kolekcjonersko jako curiosum elekcyjne. Sondażowcy publicznie posypywali głowy popiołem, a zdjęcia roześmianego zwycięzcy, który prezentuje dziennikarzom kompromitującą „*timingowo*” pierwszą stronę „*Chicago Daily Tribune*” — obieły cały świat. Uwieczniono tę scenę nawet pomnikiem Trumana w Rapid City (Południowa Dakota).

Tak zabrnęliśmy omawianym tematem ku polityce. „*Timingi*” polityczne są dla narodów znaczące, zaś dla publiczności pasjonujące, i mają rozmaite oblicza:

ZEGAR POLITYCZNY

Bywa większy i mniejszy — zegarek i zegareczek. Bywa też zmienny (jak choćby rocznice irlandzkiego Powstania Wielkanocnego 1916, które są kalendarzowo ruchomym świętem narodowym, bo uroczą się je obchodzić w każdą Niedzielę Wielkanocną) lub cykliczny, jak chociażby elekcje i jednodobowa „*cisza wyborcza*”, nonsensowna w dobie internetu (podczas wyborów prezydenckich 2015 „*Sieć*”, wykorzystując przecieki z firmy exitpollowej, cały czas podawała stan poparcia dla „*kielbasy myśliwskiej*” i dla „*kielbasy krakowskiej*”, czyli dla Komorowskiego i Dudy). Wpadki „*czasówkowe*” polityków bywają duże (jak spóźnienie zapowiedzianych reform, ulg, etc.) i drobniejsze, ale też wkurzające społeczeństwo, jak choćby „*wojna*”, którą wiceminister Igor Radziewicz-Winnicki wytoczył latem 2014 (było gorące) tanim piwom. Uznano to za fatalny „*timing*” polityczny („*Wiceminister zdrowia nie ma dobrego wyczucia czasu*”).

Do historii przechodzą wszelako nie takie duperele, lecz rzeczy istotne w dziejach państw. Traktat ryski (1921) między ZSRR a Polską oddał pokonanym przez Piłsudskiego Sowiecom, ku ich zdumieniu, więcej niż żądali (np. Mińsk i Kamieniec Podolski), skazując ponad milion ludności polskiej na bolszewickie jarzmo. Cemu? Bo delegacji rozejmowej przewodził,

z woli Sejmu, ludowiec Jan Dąbski, który tańczył tak, jak mu zagrała nienawidząca Piłsudskiego endecja, a to ona stanowiła główny trzon naszych negocjatorów ryskich. Gdy Marszałek zorientował się, że polscy delegaci realizują antyjoczyzniany sabotaż, wysłał do Rygi ministra spraw zagranicznych, księcia Sapiechę, by ten uzdrowił rokowania twardą ręką. Endecy warszawscy zdążyli jednak zaalarmować swych ryskich kumpli i Dąbski postawił szefowi delegacji sowieckiej, Adolfowi Joffemu, ultimatum: mam 24 godziny na podpisanie traktatu korzystnego dla was, jutro będzie za późno! Joffe zrozumiał i podpisał traktat bez dalszej zwłoki, czyniąc przyjazd Sapiechy rzeczą niepotrzebną.

Złe „*timingi*” notowane są nie tylko w polityce bieżącej (np. zamknięcie naszej ułanbatorskiej ambasady roku 2008, czyli akurat wówczas, kiedy Mongolia otwierała się jako surowcowe eldorado — Tusk zrobił to na złość prezydentowi Kaczyńskiemu), lecz również w tzw. „*polityce historycznej*”. Stara łaćniańska mądrość mówi: „*Temporis filia veritas*” (prawda jest córką czasu). Polacy przerabiają to odkąd Niemcom i Żydom udało się wmówić światu, że byliśmy współsprawcami Shoah. Kłania się tu stara mądrość XIX-wiecznego francuskiego polityka Villemaina: „*Historię zawsze można stworzyć na nowo*”. Co też Francuzi czynią gdzie tylko się da — kilka lat temu wysłali do Nowego Jorku replikę fregaty „*L'Hermione*”, którą w 1780 przypłynął tam francuski uczestnik narodowowyzwoleńczej walki Amerykanów, markiz de La Fayette. Bystrzy obserwatorzy wyśmiali tę fetę jako „*timingowy*” cyrk, bo nad rufą repliki dumnie powiewała flaga „*tricolores*”, wprowadzona kilkanaście lat później przez jakobinów. Na



timingopochodne szyderstwa narażali się też powieściopisarze, u których średniowieczny proletariatus wciniał ziemniaki, lecz co tu mówić o tanich beletrystach, gdy szacowni autorzy „*Starego Testamentu*” kazali Abrahamowi dosiadać wielbłąda, tymczasem zwierzęta te wykorzystywano na Bliskim Wschodzie nie wcześniej niż w X wieku przed Chrystusem.

„*Timingowe*” spory wielkich historyków to osobny temat. Dla Europy II Wojna Światowa zaczęła się 1 września 1939 roku (zaatakowanie Polski), lecz Rosjanie i Amerykanie twierdzą, iż dopiero roku 1941 (zaatakowanie Rosji i Pearl Harbour), natomiast według Azjatów już w roku 1937 (zaatakowanie Chin przez Japonię). Protagonisci logicznie kontrargumentują i jednym trudno przekonać drugich. Znamy taki „*timingowy*” upór również z rodzimego kraju: od lat wszyscy (historycy, politycy, publicyści, belfrzy, etc.) bredzą, że Polska całe 123 lata cierpiała rozbiorową niewolę, bo wyleciało im z głowy 8 lat Księstwa Warszawskiego, utworzonego przez Napoleona dzięki pobiciu i wypędzeniu naszych zaborców. Wylatywanie z głowy dat i faktów to zresztą istota wielu „*timingowych*” wpadek. Kandydatka demokratów na prezydenta USA, Hillary Clinton, publicznie zapytana skąd się wzięło jej dziwne imię, wyjaśniła, że z fascynacji jej mamusi zdobyciem Mount Everestu przez Edmunda Hillary'ego. Nazajutrz przypomniano jej, że Hillary zdobył królewski szczyt 6 lat po jej urodzinach! Zaś dzisiejszemu dyktatorowi Turcji, Recepowi Erdoğanowi, wytknięto niedawno, że sfałszował swój uniwersytecki dyplom (bez wykształcenia wyższego nie można zostać prezydentem Turcji), i to w głupi sposób, bo fałszywka nosi datę 1981 (a Uniwersytet Marmara powstał dopiero rok później), ma „*lewe*” podpisy dziekana i rektora (zostali mianowani później), wreszcie jest kaligrafowana rodzajem pisma nie używanym roku 1981.

PECHY I ŻARTY

Dwa lata temu (2015), dokładnie w dniu, w którym liderzy kontrującego

Zachód (USA, Europę i MFW) ugrupowania/banku BRICS (Brazylia, Rosja, Indie, Chiny, South Africa) zebrali się w Ufie na swój doroczny miting — załamała się szanghajska giełda. Media globu określiły to jako niesamowity „timingowy” pech. Mój osobisty największy to zecerska „literówka” na str. 99 pamiętnikarskiego „Lepszego”: zamiast „do połowy lat siedemdziesiątych” wydrukowano: „osiemdziesiątych”, co uczyniło cały wspominkowy wywód nonsensem. Rodzime muzealnictwo też może mówić o „timingowym” pechu: Muzeum Żydów Polskich wybudowano nam piorunem, a nie możemy się doczekać Muzeum Historii Polski.

Odwrotnością spóźnień są — jak już wspominałem — „speedingi”. To nieprawda, że pośpiech jest dobry tylko przy łapaniu pcheł. Również przy redagowaniu tabloidów (rosyjski „król tabloidów”, Aram Gabrielianow, mawiał: „ — Lepiej się pomylić, dać błędną informację, niż być wyprzedzonym przez konkurentów!”). Straszliwego „timingowego” pecha miał konkurent Darwina Alfred Russel Wallace, który wykoncypował „teorię ewolucji” trochę wcześniej niż Darwin, ale Darwin posiadał lepsze układy w londyńskim Linnean Society, więc jego ogłoszono

wynalazcą. Wynalazcza równoległość zawsze kogoś krzywdzi (np. wynalazcą fotografii jest Francuz Daguerre, choć tego samego roku w Kielcach inżynier Maksymilian Strasz zrobił zdjęcia techniką bardzo podobną). Ba! — nawet pierwszeństwo Kopernika się kwestionuje, bo teorię heliocentryczną jako pierwszy głosił pono grecki astronom Arystarch z Samos (IV/III w. p.n.e.) i wyznawała ją w Antyku m.in. filozofka/astronomka Hypatia z Aleksandrii (IV/V wiek). Wcale nie żartuję. Żarty „timingowe” daję niżej, gwoli wesołego zwieńczenia artykułu:

Kiedy nadworny astrolog okrutnego francuskiego króla Ludwika XI przepowiedział, że wkrótce zemrze faworyta monarchy, i piękna Małgorzata Assenage rzeczywiście niebawem oddała ducha, rozwścieczony władca, podejrzewając, iż astrolog przyłożył do tego rękę, warknął mu w twarz: „ — Ty, który wszystko przewidujesz, zgadnij kiedy zembrzesz sam!...”. Astrolog, czując groźbę, wycedził: „ — Gwiazdy mówią, Najjaśniejszy Panie, że wyzionę ducha trzy dni przed twoim zgonem...”. Z kolei król Ludwik XIV zwany „Słońcem” powiadał, że awansując kogoś — w jednym momencie czyni 99 malkontentów i jednego niewdzięcznika.

Adiutant francuskiej królowej, pan d'Uzès, zapytany przez nią która jest godzina, odparł: „ — Która się podoba Najjaśniejszej Pani”. Na pytanie czemu w niektórych krajach król może być koronowany jako 14-latek, lecz żenić się może dopiero jako 18-latek, poeta John Milton wyjaśnił: „ — Bo rządzić państwem jest dużo łatwiej niż kobietą”. W Akademii Francuskiej filozof Victor Cousin oznajmił: „ — Upadek języka francuskiego zaczął się dokładnie w 1789 roku...”, na co jego imiennik, pisarz Victor Hugo, złośliwie wtrącił: „ — Przepraszam, o której godzinie?...”. Z polskich „timingowych” sentencji wysoko cenię polityczną, którą sformułował u schyłku XIX wieku mecenas sztuki i habsburski polityk Karol hrabia Lanckoroński: „ — Kto nie był socjalistą jako dwudziestopięcioletek, ten nie ma serca. Ale kto jest socjalistą po czterdziestce, ten nie ma rozumu” (inna wersja: „Kto za młodu nie był socjalistą, ten na starość będzie świnią. Ale kto na starość socjalistą pozostał, ten jest osłem”).

* * * * *

Moja ulubiona maksyma „timingowa” to zdanie Richarda Bacha, pisarza amerykańskiego: „Istnieje tylko jeden sposób, żeby sprawdzić, czy twoja misja na Ziemi została wypełniona. Jeśli wciąż żyjesz — to nie”. ©





IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Pomysł na starość

Jest takie określenie „człowiek kanapka”. Oznacza ono osobę, która jednocześnie wychowuje dziecko i zajmuje się rodzicami w podeszłym wieku. Kiedyś ludzi kanapek było mało, bo dzieci się miało wcześniej, a rodzice umierali młodszej. Teraz jest nas wielu.

Piszę „nas”, bo jestem w podobnej sytuacji. Może nie jestem wzorcową kanapką, bo moja mama radzi sobie całkiem nieźle, zaś mój syn błyskawicznie rośnie (straszenie szybko się starzeją te dzieci), ale obojgu jestem jednak potrzebny. W dodatku mam jeszcze na głowie dwa stare koty i to właśnie za ich sprawą poczyniłem pewną niezbyt wesołą obserwację.

Otóż z racji wieku i koty, i mama często odwiedzają lekarzy. Koty u weterynarza zawsze doświadczają wielkiego serca. Dla swoich pacjentów panie (to dość sfeminizowany zawód, przynajmniej w mieście) mają mnóstwo współczucia, cierpliwości, a nawet czułości. Zawsze bardzo się starają, żeby dla zwierzątka stres był jak najmniejszy. Czuję się, że kochają zwierzęta i swoją pracę przy okazji. Jeszcze nigdy nie spotkałem weterynarza, który byłby dla swego pacjenta brutalny, niemiły czy choćby zimno obojętny.

Natomiast moja mama – i z tego, co wiem, nie tylko ona – trafia na lekarzy... rozmaitych. Oczywiście są tacy, którzy dają z siebie bardzo dużo. Jednak równie często napotyka antypatycznych, opryskliwych typów, którzy

ocierają się o granice wulgarnego chamstwa. W swojej karierze wiekowej pacjentki usłyszała już rozmaite teksty. Na przykład: „Jeśli chce pani wiedzieć, dlaczego się pani źle czuje, proszę spojrzeć w PESEL”. Albo: „Niech się pani cieszy, że pani jeszcze żyje”. Lub też: „Co z tego, że się pani źle czuje po tym leku? Ma go pani brać i tyle”.

Oczywiście można zrozumieć, że koty wzbudzają większą sympatię niż starsze panie. Koty są puchate, miłe w dotyku i dla oka (nawet w podeszłym wieku). Nie narzekają i nie przedstawiają swojego zdania, a jeśli nawet, to robią to w sposób, którego nie da się zrozumieć, więc nie jest irytujący. Nie gędzą, a co najwyżej miauczą. Nie znużają nas opowieściami o swoim cierpieniu.

Nie da się ukryć, że zwierzęta nas rozczulają, a staruszkowie niekoniecznie. Ja osobiście na filmach boję się tylko wtedy, kiedy niebezpieczeństwo grozi pieskowi. Na coś takiego nie mogę patrzeć, chociaż trupy ludzi nie robią na mnie wrażenia. W cywilizowanej i postępowej XIX-wiecznej Anglii towarzystwo opieki nad zwierzętami powstało 60 lat przed podobnym towarzystwem zajmującym się dolą dzieci. Tak, zwierzęta mają na nas patent.

Staruszkowie wręcz przeciwnie. To jednak smutne, że są traktowani gorzej niż kotki. I pieski. Mam nadzieję, że to się zmieni do czasu, kiedy się postarzeję. A jeśli nie, to będę chodził do weterynarza. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

O potrzebie monarchii

Kiedy wśród rozszalałych burz politycznych przybyła do Polski brytyjska para książęca, przypominało to beczkę oliwy wyłaną na wzburzone fale. Chociaż na krótką chwilę The Royal Family odwróciła uwagę od pyskówek, kalumnii i potępieńczych swarów.

Okazuje się, że monarchia nie jest tak złym i kosztownym pomysłem, jak głosili jej przeciwnicy. W Wielkiej Brytanii zyski finansowe przemysłu pamiątkarskiego przekraczają koszty utrzymania domu Windsorów, a zasługi mieszkańców pałacu Buckingham dla utrzymania jednolitości wspólnoty są nie do przecenienia. Nawet dla buntowniczych Szkotów to argument za utrzymaniem Zjednoczonego Królestwa.

A w Polsce? Czy dziedziczna monarchia konstytucyjna nie zwiększyłaby zaufania do państwa i nie zmniejszyła napięć? Król nie musiałby walczyć o reelekcję ani uczestniczyć w bieżących sporach. Mógłby być rozjemcą, autorytetem, ostateczną instancją. Tylko skąd wziąć u nas króla? Czasy, kiedy chwalcy Wałęsy wywodzili mu rodowód od cesarza Walensa lub co najmniej Henryka Walezego, bezpowrotnie minęły. Żyją potomkowie Poniatowskich, a także Napoleona (Colonna-Walewscy), ale trudno byłoby im znaleźć stronników. Nie sądzę też, że możliwe byłoby zaproszenie na tron jakiegoś Habsburga,

Hohenzollerna czy Romanowa. Mniej oporów wywołałby Burbon czy przedstawiciel dynastii Bernadotte – Wazowie wymarli! A może Brytyjczyk?

Monarchia nie jest tak złym i kosztownym pomysłem, jak głosili jej przeciwnicy

Tyłu jest bezrobotnych, nieźle przygotowanych do zawodu przedstawicieli rodziny królewskiej, a i kropla krwi nadwiślańskiej po Kazimierzu Jagiellończyku też by się znalazła. Są też rodzime rody wywodzące się od trzeciej żony Kazimierza Wielkiego Elżbiety Granowskiej, niestety wybór z tego grona mógłby jedynie spotęgować wojnę polsko-polską, jako że genealogizy wywodzą od niej zarówno Komorowskich, jak i Kaczyńskich. ©©

W amerykańskiej kulturze masowej wciąż utrzymuje się religijna perspektywa, wracają pytania zadawane Bogu, trwa spór dobra ze złem, wprost nazywane są wątki biblijne. Za przykład niech posłużą dwa serie: „Detektyw”, a także trzy już serie „ Fargo”.

Oba zdobyły nie tylko wielką popularność wśród widzów, lecz także zyskały najwyższe uznanie krytyki. Przyjrzyjmy się im od strony pytań o Boga i moralny porządek ludzkiego życia.

Przed tygodniem („Do Rzeczy” nr 29/231) opublikowaliśmy pierwszą część eseju prof. Andrzeja Nowaka. Poniżej część druga



prof. Andrzej Nowak

My chcemy Boga

– American way cz. 2

Seria druga serialu „ Fargo” cofa się w czasie do roku 1979. Jest wnikliwym społeczno-moralnym studium spotkania trzech epok: dogasającego entuzjazmu rewolucji dzieci kwiatów, „ cudownych lat” wolności narkotyków i nieograniczonego seksu lat 60., postwietnamskiego kaca lat 70. – i początku nowej ery, którą symbolizuje trwająca kampania wyborcza Ronalda Reagana (przyszły prezydent występuje bezpośrednio w filmie). Stare zło reprezentuje tutaj rodzinna mafia Niemców z Minnesoty. To ich rodzinna tragedia. Senior kultuwyje jeszcze tradycje Bismarckowskiej II Rzeczy. Zajmuje się wraz z rodziną wymuszaniem haraczu w skali stanowej. Przybywa jednak z głębi Ameryki nowe zło – jeszcze bardziej pazerna, nowocześniejsza, już nie tak przaśna, ale zbiurokratyzowana mafia. Tutaj cytowane są wprost „Listy starego diabła do młodego” Lewisa. Nowe zło, działające zza biurka, jest bardziej

efektywne od starego. Reprezentuje je również kusicielka, namawiająca młodą żonę rzeźnika z prowincjonalnego miasteczka, by ta wyzwoliła się z więzów małżeńskiej niewoli, krępującej jej możliwości. Kobieta (grana przez Kirsten Dunst) powinna się „samorealizować”, tak jak podpowiadają jej to setki magazynów temu poświęconych, kursów, które mają ją nauczyć, jak to „wyzwolenie” od rodziny osiągnąć. Do tego także są potrzebne pieniądze. Chciwość ma różne oblicza. I tu zło wciąga w zbrodnię z bezwzględną siłą. Doświadcza człowieka. Jak Hioba, którego cytuje z wiarą pierwsza ofiara długiej serii zabójstw przedstawionych w serialu. I tu staje naprzeciwko rodzina, rodzina policjantów: Solversonowie, ojciec i syn. Ten drugi (grany przez Patricka Wilsona) ma chorą na raka żonę i małą córeczkę. Kiedy rozpętuje się zło, przyjmują pod swój dach także młodzieńką niedoszlą ofiarę, pracownicę sklepu rzeźnika. Dziewczyna,

trochę zagubiona w atmosferze tego czasu, zaczytuje się w Camusie. Rozumie z tej modnej europejskiej filozofii tyle: życie nie ma sensu, bo wszyscy i tak umrzemy. Na to odpowiada umierająca na raka żona policjanta: „Nie wiem, kto to jest [Camus]. Domyślam się jednak, że nie ma sześciolatniej córki. – Jest Francuzem. – OK. Nie obchodzi mnie, czy jest nawet z Marsa. Nikt z odrobiną rozsądku nie powiedziałby czegoś tak głupiego. Znaleźliśmy się na tej ziemi, żeby wykonać pewną pracę. I każdy dostaje czas, żeby ją wykonać. Kiedy twoje życie się skończy i staniesz przed Panem... Cóż, spróbuj Mu wtedy powiedzieć, że to wszystko był tylko żart jakiegoś Francuza”. Dobry policjant tłumaczy z kolei mit Syzyfa, którego nie mógł pojąć nieszczęśliwy, tragicznie wpłątany w zło rzeźnik. Tłumaczy to jego żonie, już nad stygającym ciałem rzeźnika: „Twój mąż powiedział, że będzie chronił swoją rodzinę bez względu na wszystko.

Finansowy spekulant Varga (z lewej) symbolizuje w serialu „ Fargo ” zło i może się kojarzyć z finansistą George'em Sorošem (w środku). Symbolem dobra jest policjantka Gloria Burgle (z prawej)

FOT. LUKE MACGREGOR/REUTERS/FORUM



Albo uczyć – kultury i historii (tyle jest tutaj odniesień do ich symboli). Albo zastanowić się nad sobą. Dobro, rodzina, wartości oparte na wierze w moralny porządek, którego centrum jest Bóg – to wszystko znajduje skutecznych obrońców w rodzinie Solversonów. Zło, reprezentowane w łagodniejszej z pozoru formie, przenosi się jednak do biurowca, skąd może sprawnie zarządzać ludzką chciwością i zdolnością do samookłamywania. Zło najbardziej brutalne, reprezentowane przez indiańskiego killera niemieckiej mafii, Hanzee (w języku Lakotów znaczy to: cień) Denta, rozplywa się w nowym, wspaniałym świecie.

To jest skała, którą pchamy my wszyscy – mężczyźni. Nazywamy ją naszym ciężarem, ale w rzeczywistości to jest nasz przywilej”. Wstrząśnięta konsekwencjami swojej woli „samorealizacji” adresatka tych słów, próbuje się usprawiedliwiać: „Ja tylko chciałam być kimś”. Aresztujący ją policjant stawia kropkę nad i: „Cóż, teraz jesteś kimś”.

Czy żeby być kimś, musimy w nowoczesnym świecie zawrzeć układ ze złem? To jedno z fundamentalnych pytań, jakie stawia ta seria. Stawia je jednak wśród tak gęstej kryminalnej intrygi, w trakcie takiej „jazdy” scenariusza, skrzących się od dowcipu i mądrości zarazem dialogów, z muzyką tak dobraną (od chorałów Brahmsa i wariacji na temat Mahlera, do dziesiątków fenomenalnie skompilowanych przebojów popkultury lat 70.), że została uznana za najlepszy w dziejach seriali soundtrack. Dlatego można odbierać „ Fargo ” na najniższych poziomach. Bawić się świetnie.

I wraca w trzeciej serii, w nowej, najbardziej demonicznej z dotychczasowych, postaci. Najnowsza seria rozgrywa się współcześnie: od roku 2010 do 2016. Oczywiście w mroźnej Minnesocie. Zaczyna się jednak od swoistego prologu – w pokoju przesłuchań Stasi, we wschodnim Berlinie, w roku 1988. Zło przychodzi teraz stąd, z komunistycznego systemu. Oficer Stasi przesłuchuje struchlałego, niewinnego obywatela NRD, którego wzięto za mordercę żony. Prawdziwym zabójcą jest przybysz z ZSRS, Jurij Gurka. Oskarżony musi się przyznać nie tylko do niepełnionego czynu, lecz także zaakceptować tożsamość obcego człowieka, mordercy. „Jesteśmy tu nie po to, żeby opowiadać sobie historie, ale żeby powiedzieć prawdę” – zapowiada tonem nieznoszącym protestu oficer Stasi. Zapowiada epokę postprawdy, fake news, nie-rzeczywistości zastępującej rzeczywistość. To się bierze wprost z sowieckiej Moskwy, z centrali KGB na Łubiance (w 2016 r. zrozumieli to nawet Amerykanie). Jurij Gurka może dzięki temu uciec na Zachód – i tam



FOT. MATERIAL PRASOWE

■ zacząć nowy etap służby. Jego pan, grany przez maksymalnie odrażającego w tej roli Davida Thewlisa, to niejaki Varga, finansowy spekulant. Varga podsuwa swoje usługi „królów parkingów” w Minnesocie, granemu przez Ewana McGregora, który jak tysiące innych przedsiębiorców, po kryzysie finansowym 2008 r., wywołanym (czy wykorzystanym) przez takich rekinów jak Varga, potrzebuje gotówki, żeby utrzymać, a nawet rozwinąć swój biznes. Chciwość czyni go nieostrożnym. Prowadzi do układu z diabłem, jakim okazuje się Varga. Ten, stopniowo, lecz nieuchronnie, przejmując firmę „króla parkingów”, by wykorzystać ją do kolejnej, wielkiej spekulacji finansowej. Wchodzi nie tylko do firmy, wchodzi do domu, próbuje wejść do duszy skuszonoj ofiary. „Król parkingów” jest uwikłany jednocześnie w konflikt z bratem bliźniakiem, jak Jakub i Ezaw. Odebrał swemu bratu prawo pierworództwa, cenny znaczek, za który mógł zbudować swą fortunę. Brat (także grany przez McGregora) próbuje, namówiony przez piękną i dziką narzeczoną, odzyskać znaczek – i wchodzi na drogę przestępstwa, która prowadzi do śmierci, wielu śmierci.

I znowu naprzeciw zła staje skromne, ale silne dobro: policjantka Burgle, wspomagana przez inną dzielną strażniczkę prawa, Lopez. Spotykamy Głorię Burgle (gra ją Carrie Coon), kiedy wali się jej świat, a ona musi to wytłumaczyć synowi. Co jest końcem moralnego porządku? Mąż policjantki pewnego dnia oświadcza jej, że zmienił orientację seksualną, będzie teraz żył z innym mężczyzną. Syn Burgle’ów pyta matkę, czy będzie miał teraz dwóch tatusiów. Gloria nie rozumie nowoczesności. Nie używa komputera, nie daje się wciągnąć w wirtualny świat. Chce trzymać się świata zrozumiałych obowiązków. Do nich należy walka ze złem. Walczy zatem. I wydaje się, że przegrywa z obezwładniającą siłą manipulacji, alternatywnej rzeczywistości, jaką potrafi stworzyć, żeby ukryć swoje oszustwa i zbrodnie Varga. Policjantka Burgle zaczyna wątpić, czy jest realna, czy dobro jest realne. Nie wyczuwają jej sensory otwierające drzwi, uruchamiające kran i suszarkę w publicznych łazienkach. Na dzień tego zwątpienia spotyka pomoc drugiej dzielnej kobiety, policjantki Lopez. Kiedy Burgle mówi, że przegrała, że „bad guys” wygrali, wtedy słyszy od swej koleżanki te słowa: „Może chwilowo, ale przecież wszyscy wiemy, że na końcu zwycięża Jezus”. I otrzymuje

od niej długi uścisk, który przywraca jej wiarę we własne istnienie, w istnienie dobra. Sensory w łazience, do której idzie, by ukryć wzruszenie, zaczynają ją wyczuwać. Jakkolwiek to dziwnie zabrzmie – moment, kiedy zaczyna cieknąć woda z kranu nad dłońmi policjantki Burgle, to dla mnie jedna z najpiękniejszych scen w historii filmu.

Nie sposób wymienić nawet drobnej części fabularnych i moralnych wątków tej skomplikowanej opowieści, ubranej w szaty kryminału. Jest tu Żyd Wieczny Tułacz, noszący jego imię z powieści Aleksandra Dumasa, tajemniczy Paul Marrane, który występuje w roli wyrzutu sumienia wobec ludzi współcześnie narażonych na zwątpienie w dobro i pomagający im. Jest pamięcią dokonywanego w ludzkiej historii zła. Usuwając z drogi demonicznego Jurija Gurkę, przywołuje zbrodnie jego kozackich pobratymców na tysiącach Żydów w Humaniu w 1768 r. i przypomina zabitą w Berlinie w 1988 r. przez Gurkę żonę niewinnej ofiary Stasi. Jest tu także wiele nawiązań do innych współczesnych

Teraz zło wydaje się silniejsze, dysponujące sprawniejszymi narzędziami manipulowania ludzkimi słabościami. Dobro jednak nie „odpuszcza”

tworzy zła. Varga trzyma nad swoim komputerem portret Stalina, cytuje Lenina – nawet jego opinie na temat Beethovena, podziwia (podobnie jak Gurka) Putina. I w niekończących się tyradach przekonuje swoje ofiary o nieuchronnym triumfie zła. „Problem – mówi, niepokojony uporem policjantki Burgle – polega nie na tym, że jest zło na świecie. Problem polega na tym, że jest dobro. Bo w przeciwnym razie, kto by się przejmował?”. Ktoś się jednak przejmuje. I film kończy się tak, jak się zaczął: rozmową w sali przesłuchań. Tym razem nie w lochu Stasi, lecz w amerykańskim areszcie, w roku 2016. Gloria Burgle dopadła – razem z sumiennym urzędnikiem podatkowym – demona Vargę. Teraz ma on swoją siedzibę w Brukseli. Sam przedstawia się jednak jako „obywatel powietrza”, bez przynależności państwowej. Z powietrza jednak został ściągnięty na przesłuchanie. Zło staje naprzeciwko dobra. W decydującej rozgrywce. „Lu-

dzie – stwierdza Varga – nie mają żadnej wewnętrznej wartości innej niż pieniądze, które zarabiają”. Ludzie, którzy nie potrafią zarabiać na naiwności innych, nic nie są warte. To jest jego „filozofia”. Czy to jest filozofia Trumpa, jak próbują pocieszać się interpretatorzy „Varga” z lewackich mediów? A może węgierskie nazwisko – Varga – tropy i powiązania prowadzące do dawnego bloku wschodniego, aktualna siedziba Vargi w Brukseli, w Europie – razem z taką, a nie inną filozofią, a przede wszystkim z fenomenalną umiejętnością tworzenia „alternatywnej rzeczywistości” i z zasadniczym zajęciem, którym nie jest „real estate” (czym zajmował się przed prezydenturą Trump), tylko spekulacje finansowe na globalną skalę – czy to wszystko nie podpowiada raczej innej postaci: pewnego miliardera węgierskiego pochodzenia? Czy to nie Sorosa symbolizuje ta bulimiczna, straszna postać nienasyconego zła, chciwości i manipulacji, którą tworzy Varga? To nie ma zasadniczego znaczenia. Zasadniczy sens ma pytanie, które pozostawia ostatnia, metafizyczna scena. Policjantka Burgle jest pewna, że za chwilę do pokoju przesłuchań wejdą agenci ochrony prawa i wyprowadzą Vargę na zawsze do więzienia, chociaż za nadużycia finansowe. A ona będzie mogła wrócić do spokojnego życia, w poturbowanej, ale istniejącej nadal rodzinie – ze swoim synkiem. Varga jest także pewny: za chwilę wejdą zwierzchnicy policjantki Burgle i każą go uwolnić. Zła nie da się wyeliminować. Widzowie patrzą na zegar, słuchają dźwięków „Appassionaty” Beethovena i czekają na to, kto wejdzie do pokoju, w którym siedzą Varga i Burgle. Zło i dobro – jak się rozstrzygnie ich starcie?

To jest centrum amerykańskiej kultury masowej. Jesteśmy ciągle w scenie z westernu „W samo południe”. Jest szeryf (szeryfka) i jest „bad guy”. Teraz jednak, w latach 2016 i 2017, zło wydaje się silniejsze, bardziej rozpanoszone, dysponujące sprawniejszymi narzędziami manipulowania ludzkimi słabościami. Dobro jednak nie „odpuszcza”. Stoi nadal naprzeciwko zła. I broni nas ode złego.

To o tym mówił w Warszawie amerykański prezydent. Bardzo amerykański. Bardzo oburzający „cywilizatorów” z Brukseli, Paryża czy Berlina. Jednak – mam nadzieję – wciąż zrozumiały w Polsce.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, sowietologiem, publicystą, wykładowcą akademickim, członkiem powołanej przez prezydenta Narodowej Rady Rozwoju.



Z Piotrem Wojciechowskim,
prezesem zarządu
Polskiej Wytwórni Papierów
Wartościowych SA

rozmawia
Wojciech Wybranowski



FOT. PWPW SA

Kultywujemy unikalną historię

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Interesuje się pan sportem? Na przykład zapasami?

PIOTR WOJCIECHOWSKI: Co do zasady tak, zapasami w szczególności z powodu własnych doświadczeń. W latach młodości

trenowałem wyczynowo zapasy w stylu klasycznym. Zdobyłem nawet tytuł wicemistrza Polski w kategorii do 81 kg juniorów starszych. Byłem także w rezerwie kadry narodowej.

W jakim klubie pan trenował?

Moim macierzystym klubem był CWKS Legia. Pamiętam, że tam poznałem przyszłych mistrzów olimpijskich i świata: Andrzeja Wrońskiego, Włodzimierza

■ Zawadzkiego i Andrzeja Malinę, którzy odbywali w klubie zasadniczą służbę wojskową.

Dopytuję, bo okazuje się, że kierowana przez pana Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych niedawno objęła opieką sponsorską polskich zapaśników, uruchomiła – jak czytam – specjalny program.

PWPW stała się pierwszym od lat tytułarnym sponsorem polskich zapaśników. Jest to, w mojej ocenie, bardzo ważne wydarzenie dla tej dyscypliny sportu, która niestety w ostatnich latach została zaniedbana. Dzięki rekomendacji ministra sportu pana Witolda Bańki objęliśmy sponsoringiem na najbliższy rok PZZ, a docelowo zamierzamy objąć tę dyscyplinę sponsoringiem do czasu igrzysk olimpijskich w Tokio. Zdradzę tylko, że kwota sponsoringu jest siedmiocyfrowa, cały projekt zaś polega na wsparciu finansowym naszych zawodników, którzy są przygotowywani do udziału w letnich igrzyskach, na finansowaniu konkretnych imprez zapaśniczych oraz popularyzowaniu tej dyscypliny sportu wśród młodzieży. Warto wrócić też do świetnych tradycji polskich zapaśników, kiedy ta dyscyplina była naszą dumą narodową. Polscy zapaśnicy zdobyli łącznie 26 medali olimpijskich.

A ja chciałbym zapytać o zapasy w polskim biznesie. Mija półtora roku, odkąd został pan szefem PWPW SA i sądząc po publikacjach prasowych, trochę tych starć było.

Należy powiedzieć, że można było zrobić więcej i lepiej – co do tego pełna zgoda. Przez półtora roku naszego funkcjonowania w spółce udało nam się osiągnąć historyczne, rekordowe wyniki finansowe za rok 2016. Skończyliśmy go z zyskiem 234 mln zł, wartość spółki przekroczyła kwotę 1,1 mld zł. Zmiany w kapitale własnym zwiększyły się o kwotę 121 mln zł. Z tych wskaźników finansowych wynika, że jesteśmy na drodze znacznego tempa wzrostu i ekspansyjności. Co dla firmy jest bardzo ważne – ten rok, 2017, jest również rekordowy pod względem zaplanowanych inwestycji szacowanych na kwotę 350 mln zł.

A jaki plan działań na kolejne lata?

Chcemy równolegle z jednej strony podwyższać standard obsługi naszych głównych klientów, którymi są przede wszystkim krajowe instytucje rządowe i samorządowe, z drugiej zaś strony, sys-

tematycznie dywersyfikować przychody ze sprzedaży naszych produktów i usług na rynkach państw Ameryki Południowej, Afryki i Azji. Musimy zabezpieczyć się przed sytuacją, w jakiej spółka w przeszłości już się znalazła. Przykładowo opinii publicznej znany jest przypadek zlecenia z pominięciem PWPW produkcji banknotów denominacyjnych brytyjskiej firmie De La Rue, co doprowadziło spółkę do paści finansowej. Reasumując: na dziś możemy się pochwalić świetnymi wynikami finansowymi i rekordowym zyskiem netto, niespotykanym w skali ostatnich 25 lat procesem inwestycyjnym zwiększającym możliwości technologiczne i produkcyjne spółki, wreszcie postępującą restrukturyzacją firmy i rozwojem pionu IT.

To również inwestycje w kapitał ludzki? Kilka miesięcy temu dzienniki alarmowały, że z PWPW odejdzie ponad 100 osób, doświadczonych wieloletnich pracowników.

Liczyby nie kłamią. W zeszłym roku odeszło ze spółki 177 osób, ale zatrudniliśmy 218. W tym półroczu odeszło 86 pracowników, ale zatrudniliśmy ponad 106. Zwiększamy zatrudnienie w pionie IT oraz w obszarze R&D (badawczo-rozwojowym – przyp. red.) ze względu na

Instytut Technologii Elektronowej oraz WB Electronics. Ma ono za zadanie opracowanie i wdrożenie Programowalnego Układu Scalonego (polskiego mikroprocesora) wraz ze sprzętowym otoczeniem systemowym, zapewniającym bezpieczną produkcję i użytkowanie. Układ scalony będzie dedykowany dokumentom potwierdzającym tożsamość oraz ją autoryzującym, które będą w użytkowaniu służb podległych szefowi MON. W dalszej perspektywie chcielibyśmy, by był on wykorzystywany w paszportach biometrycznych i w przyszłych dowodach osobistych z warstwą elektroniczną. Obecnie wszystkie prace są po stronie Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, czekamy już na oficjalne ogłoszenie postępowania. To projekt trzyletni, którego zakończenie planujemy pod warunkiem podpisania umowy z NCBiR.

Projekt ambitny, ale na rynku słychać głosy ludzi z branży, kiedyś również związanych z PWPW, mówiących, że dzisiaj spółka nie jest przygotowana do tego, by robić np. nowoczesne, elektronicznie zabezpieczane dowody osobiste.

Takie głosy są inspirowane w prasie nam nieprzychylniej, przez konkurentów PWPW, którzy poprzez deprecjację

Dokumenty urzędowe, oprócz podstawowej funkcji, jaką pełnią, mogą i powinny być nośnikiem polityki historycznej oraz kulturalnej

nowe projekty, a także w pionie produkcji specjalnej, ze względu na nowe zagraniczne zlecenia. Pracujemy nad nowym paszportem biometrycznym, e-dowodem oraz Kartą Specjalisty Medycznego. Zatrudnienie optymalizujemy zaś w obszarze Back Office. Rotacja kadrowa jest związana także z naturalnym przechodzeniem uprawnionych pracowników na emeryturę. Tego typu zarzuty, które pan przytacza, nie mają merytorycznego uzasadnienia.

Jednak z tego, co pan mówi, wynika, że odpływ pracowników jest niemały.

To naturalna rotacja, nieodbiegająca znacznie od wskaźników z lat ubiegłych.

PWPW SA ma też ruszyć z programem o dość enigmatycznej nazwie: Programowalnego Układu Scalonego. Co to takiego?

Jesienią ubiegłego roku powołaliśmy Konsorcjum POL-PUS, w którego skład weszły: Instytut Maszyn Matematycznych,

naszych zdolności chcą po prostu przejąć ten rynek. PWPW ma zarówno zasoby kadrowe, jak i techniczne, by temu zadaniu sprostać.

Słowa, słowa... Jakież przykłady z innych pól działalności?

Proszę bardzo. W maju podczas prestiżowej Currency Conference w Kuala Lumpur polski banknot o nominale 20 zł, wykonany przez PWPW na zlecenie Narodowego Banku Polskiego, wyemitowany w zeszłym roku z okazji 1050. rocznicy chrztu Polski, otrzymał główną nagrodę za „najlepszy banknot kolekcjonerski”. Dwa lata wcześniej nagrodzono także wyprodukowany przez nas polski banknot, przygotowany na podłożu polimerowym „Setna rocznica utworzenia Legionów Polskich”. W marcu tego roku z kolei w trakcie gali finałowej regionalnej konferencji HSP, która odbyła się w Baku w Azerbejdżanie, Narodowy Bank Polski

został wyróżniony przez komisję konkursową HSP nagrodą główną w kategorii „Najlepszy banknot 2017 r.”. Nagroda została przyznana za unikalny projekt graficzny banknotu o nominale 500 zł, zastosowanie innowacyjnych rozwiązań technicznych oraz za wysoki poziom zastosowanych w nim zabezpieczeń.

Skoro mówimy o banknotach, to nie sposób nie zapytać o udział PWPW w sprowadzeniu do Polski szczątków płk. Ignacego Matuszewskiego i mjr. Henryka Floyar-Rajchmana, którzy w 1939 r. uratowali przed okupantem 75 ton polskiego złota. Ich wizerunek pojawił się też na przygotowanym przez PWPW banknocie, który jednak nigdy nie wszedł do obiegu. Dlaczego?

Tutaj pewne sprostowanie. W tym przypadku nie mówimy o banknotach, które są prawnym środkiem płatniczym, ale o banknotach promocyjnych, które wytwórnice na całym świecie przygotowują w celu prezentowania swoich kompetencji i przekonywania klientów o swoich możliwościach. W tym przypadku dla uczczenia wielkich polskich bohaterów i z okazji sprowadzenia do Polski ich doczesnych szczątków wydaliśmy dwa banknoty promocyjne z ich wizerunkami. Podobnie ma się rzecz z tzw. paszportem okolicznościowym, który nie jest dokumentem urzędowym.

Pod koniec ubiegłego roku wydaliśmy tzw. paszport promocyjny „Cichociemni”.

Sejm RP ogłosił rok 2016 Rokiem Cichociemnych. Dla upamiętnienia naszych bohaterów wydaliśmy unikalną limitowaną serię paszportu okolicznościowego. W paszporcie wykorzystano wizerunek ostatniego z żyjących cichociemnych Aleksandra Tarnawskiego ps. Upłaz, a także nazwiska 315 jego towarzyszy oraz daty i trasy ich lotów. Każda strona wizowa jest inna i opowiada o historiach polskich bohaterów, są tam wizerunki cichociemnych, wizualizacje samolotów i używanej broni. Są też białe-czerwone szachownice. Można także odnaleźć hasło cichociemnych: „Wywalcz Polsce wolność lub zgiń”.

Wygląda na to, że może to być ciekawy sposób na popularyzowanie historii Polski.

I trafił pan w sedno tej inicjatywy. Uważam, że co do zasady dokumenty urzędowe, oprócz podstawowej funkcji, jaką pełnią, mogą i powinny być nośnikiem polityki historycznej i kulturalnej władzy państwowej. Powinny nieść ze

sobą także dla swoich użytkowników walor edukacyjny. Paszport doskonale do tego się nadaje. Inne dokumenty, takie jak dowody osobiste, prawa jazdy, legitymacje służbowe, także. Książeczka polskiego paszportu liczy 40 stron. Dość miejsca by zawrzeć opowieść. Tak czynią dumne narody. Proszę tylko spojrzeć na najnowszy brytyjski paszport. Małe dzieło sztuki.

Robicie coś w tym kierunku?

Oczywiście! Pod kierunkiem i z inicjatywy MSWiA pracujemy nad nowym biometrycznym paszportem, który ma zostać wydany z okazji 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Projekt ten został zgłoszony zresztą przez ministerstwo do rządowego Programu Wieloletniego „Niepodległa” 2017–2021. Proszę tylko zwrócić uwagę na liczby i zasięg takiej akcji, jeżeli tylko decydenci by na nią przystali. Średnio co roku wydaje się polskim obywatelom 1,2 mln sztuk nowych paszportów, w zależności od lat od 4 do 5 mln sztuk dowodów osobistych, 1 mln sztuk praw jazdy. Namawiamy, bo tylko tyle możemy, przedstawiciele resortów, które zlecają nam produkcję dokumentów urzędowych, by uwzględniali w swoich projektach graficznych fakt nadchodzącej rocznicy. Jeżeli jest taka wola i zainteresowanie, to pomagamy w opracowaniu szczegółowych projektów.

Odkąd został pan szefem PWPW, wytwórnia dość mocno angażuje się w akcje promujące historię Polski.

Tak, współpracujemy np. z Muzeum Historii Polski przy organizacji imprezy o nazwie „Wydarzenie Historyczne Roku”. Nasza fundacja Reduta PWPW realizuje także projekty wspólnie z wieloma organizacjami i instytucjami zaangażowanymi w przypominanie oraz promowanie ważnych wydarzeń historycznych, zarówno z czasów II wojny światowej, jak i dotyczących podziemia antykomunistycznego czy zbrodni sowieckich, np. operacji polskiej NKWD w 1937 r. Przypomnę, że przecież w ubiegłym roku kapituła konkursu Strażnik Pamięci organizowanego przez tygodnik „Do Rzeczy” przyznała statuetkę Strażnika wytwórni za wspieranie inicjatyw poświęconych polskiej historii. W zeszłym roku udało nam się również zorganizować całonocne obchody rocznicy obrony budynku PWPW podczas

powstania warszawskiego w sierpniu 1944 r., które przeszły do legendy powstania jako „obrona reduty PWPW”. Zorganizowaliśmy też, chyba największą w ostatnim 10-leciu, rekonstrukcję walk powstańczych: brało w niej udział ponad 160 rekonstruktorów z różnych grup.

Tak, tylko dlaczego ma za to płacić państwowa firma?

Odpowiedź jest bardzo prosta. PWPW ma unikalną historię i tradycję, do której się odwołujemy oraz którą kultywujemy. Wytwórnia jest ściśle, nierozzerwalnie wręcz związana z polską państwowością. Powstała 2,5 miesiąca po odzyskaniu niepodległości, jest instytucją, która symbolizowała odradzające się państwo i jej atrybuty suwerenności. Nie dość, że spółka zachowała ciągłość przez prawie 100 lat swojej działalności, to jeszcze prowadzimy swoją działalność w tym samym historycznym kompleksie budynków, wybudowanych w 1926 r. Unikalna historia daje nam prawo moralne do kultywowania i promowania pamięci o tych wydarzeniach. Twierdzę, że udział w promocji polskiej historii to jedno z zadań spółek Skarbu Państwa: walka o pamięć narodową i wspólnotę polską. Państwowe firmy są nie tylko narzędziem rządu do realizacji pewnych celów gospodarczych, lecz także, moim zdaniem, są instrumentem w pełni uprawnionym do realizacji polityki historycznej i społecznej.

Spółecznej? W jakim sensie?

W zeszłym roku wprowadziliśmy unikalny system wsparcia dla rodzin, chyba jedyny taki w spółkach Skarbu Państwa. Polega ona na tym, że zagwarantowaliśmy 12 miesięcy dodatkowego płatnego urlopu macierzyńskiego dla uprawnionych pracowników. Innymi słowy, nasi pracownicy, którzy chcą z tego skorzystać, mają dwa lata płatnego urlopu macierzyńskiego, ponadto wypłacane jest becikowe oraz wprowadziliśmy gwarancję powrotu do pracy na tych samych warunkach płacowych. Od początku programu z becikowego skorzystało już 76 urodzonych dzieci, z dodatkowego urlopu macierzyńskiego korzysta zaś obecnie 21 rodzin pracowników Wytwórni. Za ten projekt w tym roku uzyskaliśmy nagrodę Tulipany Narodowego Dnia Życie za wzmacnianie więzów rodzinnych i silnej roli rodziny.



Wojciech Golonka

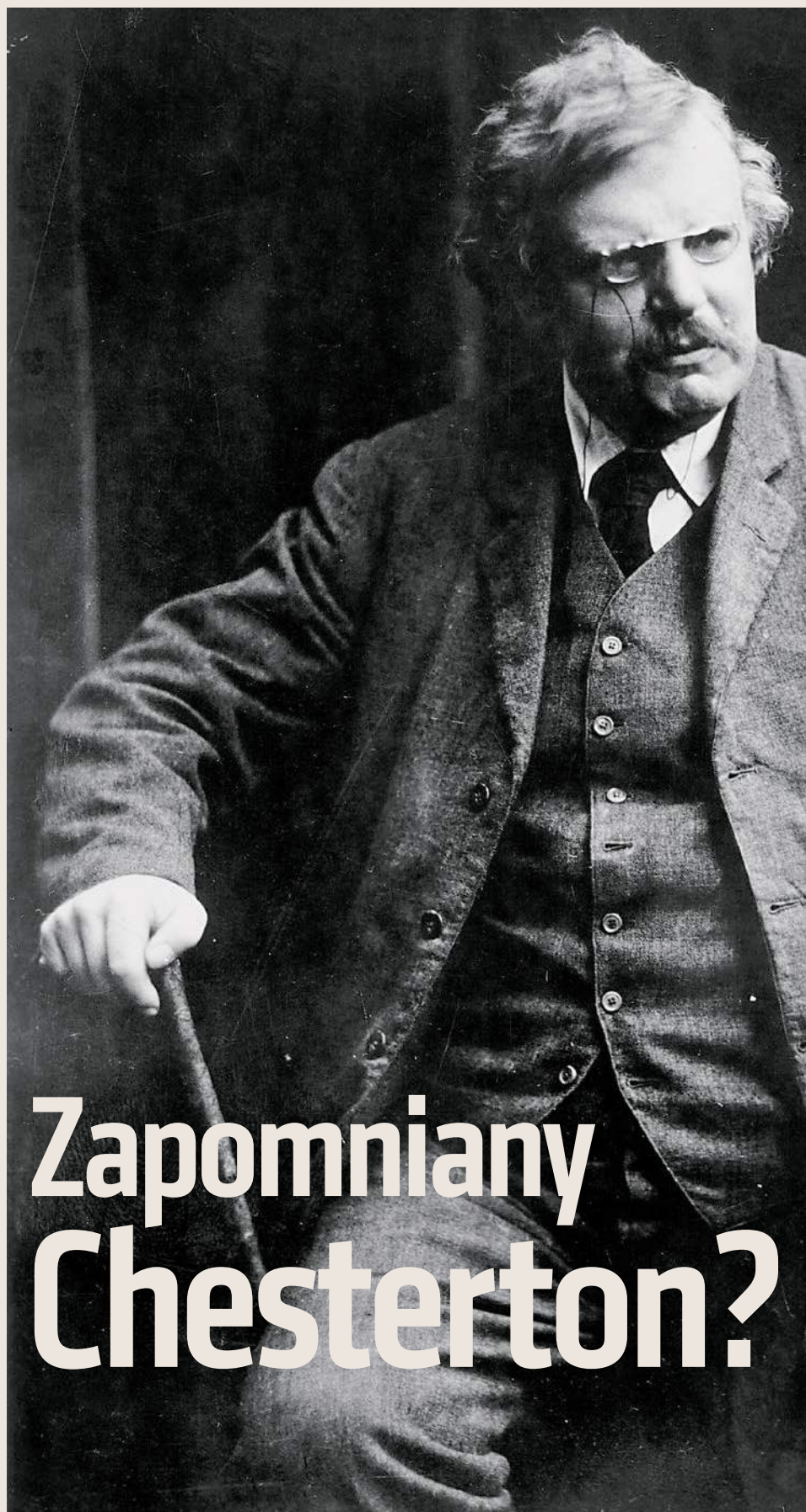
Błyskotliwy styl, niepospolity humor, ciągle paradoksy – to była jego osobowość, ale i sposób na przebudzenie pogrążonych w umysłowym letargu odbiorców. Aktualny i dziś

Eseje, audycje, a nawet rozmowy salonowe regularnie nawiązują do Gilberta Keitha Chestertona (GKC) i jego błyskotliwych paradoksów; jego dorobek jest też obficie przetłumaczony na język polski. Sporo się o nim mówi, po chestertonowemu jednak mało kto myśli, zwłaszcza w sferze polityki, ekonomii czy religii. Był czas, że pisarz inspirował jednostki i narody. Przed rokowaniami z irlandzkimi powstańcami premier Wielkiej Brytanii Lloyd George czytał polityczną powieść GKC „Napoleon z Notting Hill” (1904), by zrozumieć przywódcę powstańców – Michaela Collinsa, pasjonata Chestertona. W dziedzinie religii, za obronę wiary, Watykan odznaczył Chestertona Orderem św. Grzegorza Wielkiego – jak widać, nie tak dawno temu, humorystyczne napiętnowanie herezji było mile widziane w Kościele. Był nawet czas, że Polacy masowo i ze splendorem witali u siebie słynnego literata, nie ma jednak u nas bodajże ani jednej ulicy czy pomnika poświęconych tej postaci. Chestertona traktuje się jak intelektualną rozrywkę: gdy fajerwerk wybuchł, zapomniano, co oświecił.

NIEWYGODNY CHESTERTON?

Pokusą byłoby „gdybać”, co Chesterton pisałby dziś o Polsce i Europie, katolicyzmie oraz modernistach. Z drugiej strony głupotą jest pomijać to, co pisał wówczas, gdy dzisiejsze problemy były już obecne w załączku. Choćby np. wspierany przez polityczne elity islamski potop, wizjonersko opisany w żartobliwej powieści pt. „Latająca gospoda” (1914): „Rzecz dzieje się w czterech aktach: zwycięstwo nad barbarzyńcami, zatrudnienie barbarzyńców, przymierze z barbarzyńcami, podbicie przez barbarzyńców. Oto wielki los imperium”.

Problem zalewu imigracyjnego uzmysławia także przewodnią myśl wszelkiej



Zapomniany Chesterton?

chestertonowskiej krytyki: za każdą dysfunkcją, kryzysem czy zbrodnią kryje się herezja, która jest jeszcze gorsza niż skutki, które wywołuje. W zbiorze esejów pt. „Tremendous Trifles” (1909), nie będąc jeszcze katolikiem, pisarz oznajmił: „Staje się coraz bardziej ortodoksyjny, gdyż rozciągnąwszy do bólu umysł, zgodnie ze starym poglądem uznałem, że herezja jest jeszcze gorsza niż grzech. Błąd jest bardziej niebezpieczny niż przestępstwo, gdyż przestępstwo rodzi się z błędu”.

W „Człowieku, który był Czwartkiem” doprecyzował: „Nowoczesne społeczeństwo zachowało policję jako haniebne narzędzie ucisku, prześladowania biedaków i szpiegowania nieszczęśliwych. Odebrano natomiast policji rolę o wiele szlachetniejszą i donioślejszą: wymierzanie sprawiedliwości potężnym zdrajcom stanu i heretykom. Nowoczesny świat twierdzi, że nie należy karać herezji. A ja wątpię, czy mamy prawo karać kogokolwiek prócz heretyków”.

Był to istotny powód, dla którego GKC zwalczał grożące ludzkości fałsze, szydząc z ich absurdalnych konsekwencji. Gdy modernista opróżniał piekło, ogłaszając powszechne zbawienie, autor trafnie zaznaczał, że podobny optymizm logicznie prowadzi do jeszcze większej liczby samobójstw niż skrajny wobec egzystencji pesymizm. Gdy napiętnowano tomizm, krytykowano jego techniczność i wołano o teologię opartą na współczesnej filozofii, sławny konwertyta nazywał współczesną filozofię umysłowym szaleństwem, a teologię bez techniczności porównywał do operowania bez precyzji chirurgicznej. Z resztą na gruncie religijnym Chesterton sprawę postawił jasno: „Istnieje osobliwa, taktowna dyplomacja, pozwalająca utrzymywać, że katolicyzm jest prawdą i zarazem nie sugerować ani przez moment, że antykatolicyzm jest fałszem, lecz jest to sztuka, której już się w moim wieku nie nauczę; za stary ze mnie racjonalista”.

Autor tych słów („Źródło i mielizny”) został pośmiertnie uznany przez Stolicę Apostolską „zdolnym obrońcą wiary” (z domieszką ironii wobec Henryka VIII, który był jedynie „obrońcą wiary”). Jak należy w takim razie określać tych, którzy przez ostatnie 50 lat promując ekumenizm, ani przez moment nie sugerowali, że antykatolicyzm jest fałszem? GKC, były protestant, katolik chwalony przez papieży Piusów, głosił, że reforma-

cja była powrotem do barbarzyństwa, upadkiem chrześcijaństwa i zerwaniem z istotą naszej cywilizacji. Co rozumieć przez fakt umieszczenia w Watykanie posągu Marcina Lutra na okoliczność 500-lecia tego „nawrotu barbarzyństwa”? Nie będąc jeszcze katolikiem, Chesterton instynktownie bronił nierozwalności rodziny, a rozwód nazywał zabobonem współczesnego człowieka, przypisującego urzędnikom państwowym moc skasowania uroczystego ślubowania przed Bogiem. Dodawał przy tym, że uciekanie od trudności małżeńskich to zwykłe tchórzostwo, gdyż małżeństwo to pojedynek na śmierć i życie, przed którym żaden człowiek honoru nie powinien się cofnąć. Jak pogodzić tę godną postawę z dwuznacznościami ostatniego synodu w kwestii przyjmowania nieskruszonych cudzołożników do Eucharystii?

Angielski pisarz nie uznawał półprawd, bronił prawdy: „Można by podać pewne racje na rzecz każdego błędu, ale i tak to, co najważniejsze na jego temat, to to, że jest błędny. Na podstawie twierdzenia, że połowa bochenka chleba jest lepsza niż brak chleba, ktoś mniema, że półprawda jest lepsza niż brak prawdy. Jednakże w praktyce nie chodzi tyle o połowę chleba, co o połowę zatrutego przez macochę jabłka dla otrucia dobrej książeczki”.

Brak miejsca, aby mnożyć podobne przykłady aktualności i wizjonerstwa myśli londyńczyka. Trzeba natomiast wyciągnąć wnioski. Chesterton to dotychczas nieupamiętniony i niewykorzystany należyście ambasador polskiej sprawy, zaś jego myśl to pewna miara tożsamości katolickiej. Czas na lekturę i rachunek sumienia, od polityków i kleru zaczynając.

GENIALNY KRYTYK LITERACKI

Urodzony w 1874 r. GKC pochodził z protestanckiej, londyńskiej rodziny, otwartej na wartości humanistyczne i religijną tolerancję. W swych szkolnych wierszach ten przyszły młot na heretyków wołał o religię bez dogmatów i rozlewu krwi. Rozkojarzony introwertyk, w istocie głęboki obserwator, studiując literaturę i malarstwo, zmagając się ze sceptycznymi nurtami filozoficznymi swej epoki. Doświadczył piekielnej pokusy solipsyzmu, logicznej konsekwencji idealizmu sprowadzającej całą rzeczywistość do tworu naszego

■ ducha. Echo tych psychicznych zmaganiń znajdziemy w zabawnym, surrealistycznym dziele pt. „Człowiek, który był Czwartkiem” (1908), z trafnym podtytułem „Koszmar”.

Przerwane studia to punkt zwrotny w jego myśli i karierze. Podczas poszukiwań normalności i zdrowego rozsądku, poglądy Chestertona kształtowały się głównie w reakcji do modnej, „postępowej” dekadencji intelektualnej. Zaczynając pracę krytyka literackiego, szybko zyskał rozgłos, wykazując niepospolity talent odczytywania głębokiej psychologii pisarzy. Odtąd pasję samouka analityka kontynuował zawodowo, pochłaniając niezliczone ilości lektur. Błyskotliwy styl, niepospolity humor, ciągle paradoksy – to była zarazem jego osobowość, ale i sposób na przebudzenie swych pogrążonych w umysłowym letargu odbiorców.

CHRZEŚCJAŃSKI APOLOGETA

Pod wpływem Frances Blogg, którą poślubił w 1901 r., GKC z cenionego krytyka zaczął się zmieniać w apologetę. Frances należała do anglikatolickiej, konserwatywnej gałęzi anglikanizmu, a jej narzeczony zaczął poważnie rozważać credo, odkrywając w chrześcijaństwie potwierdzenie swych „reakcyjnych”, tak ludzkich intuicji i aspiracji. Z jednej strony Chesterton rozprawiał się ze współczesnością naznaczoną amoralnością i purytańskim legalizmem, dzikim kapitalizmem i komunizmem, zerwaniem z tradycjami w pogoni za mglistym postępem oraz nieokreślonym nadczłowiekiem, dlatego w „Heretykach” (1905) zaatakował znanych intelektualistów swej epoki. Z drugiej strony zacieśniał sojusz z myślą chrześcijańską – „Ortodoksja” (1908) – głosząc „bajkową filozofię”. Był to pionierski egzystencjalizm, w którym spontaniczny zachwyt nad przygodnością rzeczy rodził wdzięczność wobec ich dobrowolnego Stwórcy.

Publicysta odegrał też istotną rolę w starciu chrześcijańskiej ortodoksji z modernizmem przeinaczającym sens dogmatów i podważającym historyczność cudów oraz zmartwychwstania Chrystusa. Herezja ta, zastępująca obiektywne Objawienie religijnym sentymentem, atakowała m.in. resztki konserwatywnych elementów wewnątrz anglikanizmu. Przy czym to Kościół katolicki był głównym celem destrukcji, od wewnątrz – jest nim do dziś – jednak

wówczas modernizm poniósł klęskę, napotykać bezlitosny opór w osobie papieża św. Piusa X. W ferworze apologetycznej walki GKC dość szybko – już w 1911 r. – zdał sobie sprawę, że jedyne wolne od sprzeczności wyznanie wiary

Chesterton unaoczniał, dlaczego bycie katolikiem jest jedynym słusznym i sensownym wyborem religijnym

znajduje się w Kościele katolickim. Z powodów zdrowotnych, zawodowych, a także obaw psychologicznych czy rodzinnych do domu, do którego prowadzą wszystkie drogi – jak to określał – dotarł jednak dopiero w 1922 r. Frances przyjęła katolicyzm cztery lata później.

Konwersja dodała skrzydeł jego apologetyce. W swym arcydziele pt. „Wiekuisty człowiek” (1925), zwracając się do zwolenników materialistycznej ewolucji, GKC w przekonujący sposób argumentował za duchowością człowieka i bóstwem Jezusa Chrystusa. W szkicu biograficznym „Św. Tomasz z Akwinu” (1933) ten tomista samouk oryginalnie i popularyzatorsko przedstawił zarys myśli Akwinaty oraz wartość odnowy tomistycznej, wywołując podziw i zdumienie Étienne’a Gilsona. Z kolei w zbiorach esejów, jak np. „Dla Sprawy” (1929) czy „Źródło i mielizny” (1935), polemizując ze wszystkimi możliwymi wówczas heretykami – purytanami, protestantami, modernistami, a także pacyfistami, nazistami czy komunistami – GKC unaoczniał, dlaczego bycie katolikiem jest jedynym słusznym i sensownym wyborem religijnym oraz filozoficznym we współczesnym świecie.

SPRZYMIERZENIE RP

W 1925 r. polski ambasador w Londynie przesłał Chestertonowi oficjalne zaproszenie rządu do odwiedzenia Polski. Jeszcze za czasów zaborów GKC niezłomnie podkreślał prawo każdego ukonstytuowanego narodu do samostanowienia politycznego, co głosił czasem wbrew wszystkim i własnej ojczyźnie, jak np. w przypadku wojen burskich. Szczególną, wręcz instynktowną sympatią darzył on Irlandię i Polskę, wspierając orędowników

kararskiego pióra dążenia obu narodów do odzyskania niesprawiedliwie ongiś zabranej niepodległości. Postawa ta była w Anglii raczej chwalebny wyjątkiem, kiedy w pertraktacjach wersalskich Lloyd George minimalizował niepodległościowe aspiracje Polaków. W 1922 r., gdy belgijski konsul w Edynburgu opublikował „Listy o sprawach polskich”, w ich przedmowie GKC znów przedstawił swe „reakcyjne” poglądy: „Zdanie na temat Polski wyrabia-łem sobie poprzez jej wrogów. Odkryłem właściwie niezawodną prawdę, że wrogość wobec Polski była zarazem wrogami wielkoduszności i człowieczeństwa. Kiedy jakiś człowiek lubował się w niewolnictwie, kochał lichwiarstwo, miłował terroryzm i całe rozdeptane błoto materialistycznej polityki, to zawsze okazywało się, że do tych afektów dodawał on także pasję nienawiści do Polski. Niech ten kraj będzie osądzany przy naświetlaniu tej nienawiści – wtedy osąd będzie się okazywał poprawny”.

Nie dziwi więc, że w 1927 r., w czasie pięciodniowego pobytu w najważniejszych miastach międzywojennej Polski, pisarz był gorąco witany przez przedstawicieli władzy, wojska, świata nauki i kultury, a na jego cześć organizowano wystawne przyjęcia i prelekcje. W swej pośmiertnie wydanej „Autobiografii” (1936), czyniąc m.in. aluzję do wizyty w winiarni Fukiera w Warszawie i jej kilkusetletnich trunków, GKC podkreślił polską gościnność: „Rząd zaszczylił mnie oficjalnym zaproszeniem, ale gościnność, z jaką mnie podjęto, była daleka od wszelkiej oficjalności. W Warszawie jest coś w rodzaju podziemnej karczmy, gdzie pije się tokaj, który wyleczyłby z oficjalności każdego oficjela”.

Tokaje w 1939 r. zrabowali pruscy barbarzyńcy, przed którymi pisarz niezłomnie ostrzegał cywilizowany świat w swych dziełach, m.in. przepowiadając w 1935 r. straszną wojnę, którą Hitler rozpocznie od napaści na Polskę. Zresztą GKC doskonale streścił geopolityczne uwarunkowania naszej ojczyzny: „Polacy muszą zawsze wybierać mniejsze zło. Rozmawiałem z Piłsudskim i ten wspaniały, ale dość ponury stary żołnierz powiedział mi, że z dwójga złego woli Niemcy niż Rosję. Wiadomo natomiast, że jego rywal Dmowski, który także podejmował nas wspaniale w swoim wiejskim ustroniu, z dwójga złego woli Rosję”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest filozofem, współpracownikiem i byłym prorektorem Instytutu Uniwersyteckiego św. Piusa X w Paryżu.

SUPER HISTORIA.pl

NAJLEPSZY PORTAL HISTORYCZNY W POLSCE



**ARTYKUŁY I KOMENTARZE PUBLICYSTÓW HISTORYCZNYCH
NAJWAŻNIEJSZE WYDARZENIA Z HISTORII POLSKI I ŚWIATA
NIEZNANE FAKTY KONTROWERSYJNE TEZY**

PARTNER SERWISU:



eprasa.pl 852bc6bc56



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Wielki marszałek

Gdyby ktoś zapytał mnie o sporządzenie rankingu ulubionych postaci historycznych, marszałek Carl Gustaf Mannerheim bez wątpienia znalazłby się na jednym z czołowych miejsc. Nikt nie spuścił bowiem bolszewikom takiego manta jak on.

Fiński dowódca dwukrotnie uratował swoją ojczyznę przed koszmarem sowietyzacji. Po raz pierwszy w latach 1917–1918, gdy czerwoni próbowali przechwycić władzę w Finlandii. Mannerheim stanął wówczas na czele Białej Armii i rozbił ich w proch.

Najpiękniejszą kartę zapisał jednak w latach 1939–1941, podczas wojny zimowej. Dowodzona przez niego niewielka fińska armia powstrzymała zmasowaną inwazję wielkiego Związku Sowieckiego. Bohaterscy Finowie obronili swoją niepodległość.

Chociaż Finlandia ostatecznie musiała zrzec się części terytorium, Stalinowi nie udało się osiągnąć celu wojny, jakim była sowietyzacja skandynawskiego sąsiada. Dawid pokonał Goliata.

Mannerheim był nie tylko ideowym antykomunistą i genialnym dowódcą. Przede wszystkim był znakomitym, myślącym w racjonalnych kategoriach politykiem. W 1941 r. wojska fińskie u boku Wehrmachtu wkroczyły do Związku Sowieckiego,

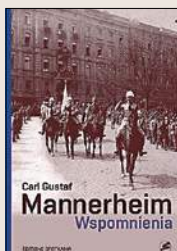
a pod sam koniec wojny Finowie raptownie zmienili strony. I stoczyli krótką kampanię przeciw III Rzeszy.

W efekcie po zakończeniu konfliktu Finlandia – w przeciwieństwie do innych krajów położonych między Niemcami a ZSRS – pozostała niepodległym państwem.

Takie były efekty Realpolitik.

Wszyscy, którzy bliżej interesują się postacią Mannerheima, powinni przeczytać wznowione właśnie wspomnienia marszałka. Fascynująca i zaskakująca lektura! Dowiedziałem się z niej choćby tego, że marszałek był poetą. Oto fragment jego ostatniego rozkazu do żołnierzy wydanego po zakończeniu wojny zimowej:

„Wy także zadawaliście twarde ciosy, a jeśli kilkaset tysięcy waszych wrogów teraz leży pod zamrażającym śniegiem lub martwym wzrokiem wpatruje się w nasze rozgwieżdżone niebo, nie jest to waszą winą. Nie nawiedziście ich, nie chcieliście uczynić im krzywdy, przestrzegaliście tylko twardego prawa wojny: zabić albo dać się zabić. Żołnierze! Walczyłem na wielu polach bitewnych, lecz nie widziałem jeszcze równych wam wojowników. Jestem z was dumny tak, jakbyście byli moimi dziećmi”.



★★★★★
**CARL GUSTAF
MANNERHEIM**
„WSPOMNIENIA”
EDITIONS
SPOTKANIA

Czyż można się dziwić, że Mannerheim był tak bardzo kochany przez swoich żołnierzy? ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pech M.F. Rakowskiego

Mieczysław F. Rakowski zapisał się w dziejach Polski jako człowiek, który zakończył erę komunizmu nad Wisłą. To właśnie on na ostatnim zjeździe partii wypowiedział słynne słowa: „Sztandar Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wyprowadzić”. W Polsce rządził wówczas gabinet Tadeusza Mazowieckiego, Balcerowicz wprowadzał reformy, a Rakowski dobrze wiedział, że czołowe role w nowo powstałej SdRP zajmą młodszy politycy: Aleksander Kwaśniewski, Leszek Miller, Józef Oleksy. Natomiast dla niego pozostanie wyłącznie miejsce honorowego emeryta.

M.F. Rakowski okazał się najkrócej sprawującym funkcję I sekretarzem

Rozwiązanie PZPR miało dla MFR (jak go nazywano) podwójnie gorzki smak. Kończyła się pewna epoka, w przeszłość odchodziła formacja, której poświęcił życie. Z PZPR był związany od jej początku i mozolnie wspinał się po szczeblach kariery. Przez wiele lat był redaktorem naczelnym tygodnika „Polityka”, mając nadzieję, że kolejne zawirowania polityczne będą przepustką do awansu w hierarchii partyjnej. „Polityka” wprowadzie popierała linię PZPR, ale z odzieniem polemiki. Bywały też sytuacje, kiedy pismo przechodziło do niemal jawnej opozycji, czego przykładem było nieprzyją-

czenie się do antysemickiej kampanii w 1968 r.

MFR starał się łączyć dwie postawy: wiernego aparaczysty-ka wobec partii i dziennikarza dla zespołu redakcyjnego. Stefan Kisielewski uważał go wprowadzie za „franta” i „miglancę”, ale przyznawał, że był „ostatnim komunistą nietypowym” i do tego „dość inteligentnym”. Czasami zresztą zarzuty wobec Rakowskiego były absurdalne. Opowiadano, że swojemu pierwszemu synowi nadał imię na cześć Lenina, podczas gdy jego żona, skrzypaczka Wanda Wiłkomirska, wyjaśniała, że chodziło o Włodzimierza Horowitza.

W 1975 r. został członkiem KC, a w latach 1981–1985 był wicepremierem. W 1988 r. stanął na czele rządu (to właśnie jego gabinet ogłosił w Polsce wolny rynek), a 29 lipca 1989 r. został I sekretarzem KC PZPR. Historia nabrała jednak przyspieszenia i dzieje partii miały potrwać jeszcze zaledwie pół roku. Ostatecznie towarzysz Mieczysław okazał się nie tylko ostatnim, ale też najkrócej sprawującym funkcję I sekretarzem.

Na emeryturze zrobił chyba najlepszą rzecz w swoim życiu, publikując 10 tomów swoich „Dzienników politycznych” obejmujących okres od 1958 do 1990 r. To kapitalne źródło informacji, gdyż poza polityką MFR poruszał również wiele tematów towarzyskich i obyczajowych ze środowiska władzy PRL obserwowanych z pozycji szefa najpoczytniejszego tygodnika tamtej epoki. Zmarł w 2008 r. ©©



METRO NIE OBRAZI PŁCIĄ

W londyńskim metrze komunikaty dla pasażerów zaczynają się od grzecznościowego zwrotu „Ladies and gentlemen”. Jednak to już przeszłość. Średniowieczne zabobony o płci znikną z eteru, a będą nowe, nowoczesne. To sukces środowisk LGBT, dla których witanie na głos pań i panów było opresyjne – bo ich zdaniem dyskryminuje gejów, lesbijki czy osoby transseksualne. Zarząd metra zapowiedział już, że zmieni komunikat na bardziej neutralny. Pasażerów witac będzie formuła: „Hello everyone”, czyli „Witajcie wszyscy”, która zostanie wprowadzana do przygotowywanych nowych nagrań. – Przejrzeliśmy język, którego używamy w komunikatach i nie tylko, i upewnimy się, że w pełni uwzględnia on wspianą różnorodność Londynu – powiedział BBC Mark Evers z Transport For London, zarządcy metra. Burmistrz Londynu Sadiq Khan popiera decyzję zarządcy. – Mam świadomość, że niektórzy pasażerowie mogli się czuć niekomfortowo z powodu komunikatów nadawanych na stacjach – wyznał.

KONIEC NAUCZANIA O RELIGII

Od nowego roku szkolnego w Luksemburgu w szkołach podstawowych nie będzie już lekcji religii. Tak postanowił parlament księstwa. Wcześniej już w szkołach ponadpodstawowych zamieniono religię na przedmiot „Życie i społeczeństwo”. Teraz również najmłodsze dzieci mają odbierać neutralną „Naukę o wartościach”. Zdaniem posła rządzącej partii DP Claude'a Lamberty'ego dzieci powinny móc same budować sobie kanon wartości. Opozycyjna partia domagała się, by rodzice wciąż mogli wybierać między posyłaniem dzieci na religię oraz na przedmiot „Nauka o wartościach”.

SPOSÓB NA KOLEGÓW

Pewien 13-latek z niemieckiej miejscowości Bad Tölz wpadł na nietypowy pomysł, by zaskarbić sobie względy kolegów ze szkoły piłkarskiej.

Wykraść rodzicom 10,5 tys. euro i zaczął rozdawać pieniądze rówieśnikom. Banknoty wręczał nawet nieznanym osobom. Kupowanie przyjaźni skończyło się, gdy ktoś zawiadomił o tym policję. Na razie udało się jednak odzyskać ok. 4,5 tys. euro. Nie wiadomo, czy bogatsi w banknoty stali się miłsi dla hojnego rówieśnika.

RASISTOWSKA PIPPI LANGSTRUMPF

Poprawność polityczna zaczyna dziwnie przypominać to, z czym chciałaby walczyć. W Botkyrka w Szwecji – w gminie, która prowadzi politykę wielokulturowości – z biblioteki usuwane są książki niezgodne z multikulturalizmem. Szwedzki dziennikarz śledczy Janne Josefsson ujawnił, że takie publikacje trafiają na śmietnik, a potem są palone. Spotkało to m.in. książki Astrid Lindgren, jednej z najbardziej znanych na

świecie pisarek, które tworzyły dla dzieci. Na śmietnik trafiły wydania książek o Pippi, w których zachowały się takie zwroty jak np. „Król Murzynów” – w najnowszych edycjach książek ojciec ekscentrycznej dziewczynki nazywany jest „Królem Południowego Pacyfiku”.

„POMOCY, PORWALI MNIE!”

Jeden z przechodniów w Monachium znalazł na ulicy papierowy samolocik, a w nim kartkę z dramatycznym apelem. Ręką dziecka skreślone było na niej: „Pomocy, zostałem porwany, uwolnijcie mnie!” i dopisek z adresem. Człowiek wezwał policję, a ta udała się pod adres, gdzie miało być przetrzymywane dziecko. Okazało się, że papierową wiadomość przez okno wysłał dziewięcioletek, któremu rodzice nie pozwolili późnym wieczorem wyjść na podwórko. ©

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ ŁUKASZ ZBORALSKI



Jacek Przybylski

Separatyści w Donbasie, zamiast marzyć o małej Noworosji na wschodzie kraju, proklamowali powstanie Małorosji obejmującej terytorium całej Ukrainy. Ten absurdalny pomysł to jasne ostrzeżenie dla Zachodu

Prorosyjski bojownik Aleksandr Zacharczenko chce, aby Małorosja miała stolicę w Donbasie

FOT. ALEXANDER ERMOCHENKO/TASS/FORUM

Małorosja u granic Polski?

Ukraina jest już nie do naprawienia. My, czyli reprezentanci regionów dawnej Ukrainy, ogłaszamy stworzenie nowego państwa, które jest prawnym następcą Ukrainy. Nazwaliśmy je „Małorosja”, ponieważ nazwa „Ukraina” jest już zdyskredytowana – ogłosił niespodziewanie w zeszłym tygodniu Aleksandr Zacharczenko, czytając fragment „aktu założycielskiego nowego kraju”. – Oferujemy mieszkańcom Ukrainy pokojowe wyjście z trudnej sytuacji, z uniknięciem wojny. To nasza ostatnia oferta nie tylko wobec Ukraińców, lecz także wobec wszystkich państw, które wspierały wojnę domową w Donbasie – mówił lider prorosyjskich separatystów z tzw. Donieckiej Republiki Ludowej.

41-letni prorosyjski bojówkarz – absolwent technikum elektromechanicznego

i zbrodniarz wojenny, który trzy lata temu został zaprzysiężony na donieckiego „premiera” – w marcu tego roku przekonywał w telewizji, że państwo ukraińskie przestanie istnieć maksymalnie w ciągu 60 dni. Tym razem zapowiedział, że nowe federalne państwo powstanie nie tylko na terenach kontrolowanych przez tzw. prorosyjskich separatystów wokół Doniecka czy Ługańska, lecz także w granicach całej obecnej Ukrainy. W skład proklamowanego przez separatystów kraju miałyby wejść 19 regionów o dużej autonomii – z których większość pozostaje jak na razie pod kontrolą władz ukraińskich. Stolicą nowego tworu miałyby być Donieck, a Kijów pełniłby jedynie funkcję „centrum historyczno-kulturalnego”. Zacharczenko pomyślał nawet o nowej fladze – symbolem nowego kraju miałyby być dawna

flaga hetmana zaporoskiego Bohdana Chmielnickiego, czyli niezwykle okrutnego przywódcy powstania kozackiego przeciwko Rzeczypospolitej w latach 1648–1654, słynącego m.in. z grzebania ludzi żywcem, zabijania bezbronných jeńców lub obcinania ofiarom rąk i nóg oraz porzucania na drodze tak okaleczonych żywych jeszcze ofiar. Przez Polaków uważany za zdrajcę, wśród Ukraińców uchodzący za bohatera.

– Oferujemy plan reintegracji państwa poprzez prawo i konstytucję. Nie tak dawno uruchomiliśmy program zjednoczenia narodów Donbasu. Oferujemy wszystkim mieszkańcom Ukrainy pokojowe wyjście z tej sytuacji – przekonywał Zacharczenko na spotkaniu z reporterami. Separatyści zaplanowali, że przez pierwsze trzy lata na terenach

tw. Małorosji obowiązywałby stan wyjątkowy, zakładający m.in. zakaz działalności partii politycznych. W konstytucji nowego tworu miałyby się też znaleźć zapis mówiący o tym, że kraj będzie zmierzał do przyłączenia do Państwa Związkowego Rosji i Białorusi.

ABCHASKI SCENARIUSZ?

Władze w Kijowie nie mają wątpliwości, kto stoi za nową deklaracją prorosyjskich bojówkarzy. – Zacharczenko to nie polityk, tylko marionetka przekazująca wieści z Kremla – oznajmił z kolei prezydent Ukrainy Petro Poroszenko. I rzeczywiście teza o tym, że Ukraina to nie tylko „sztuczny twór”, ale państwo upadłe, jest jednym z ulubionych twierdzeń rosyjskiej propagandy. Sam termin „Małorosja” też nie jest Rosjanom obcy: nacjonałści rosyjscy używali go bowiem od dawna, aby podkreślić, że nie uznają istnienia odrębnego narodu ukraińskiego.

Tym bardziej trudno dać wiarę słowom rzecznika prezydenta Władimira Putina, który przekonywał dziennikarzy, że o inicjatywie proklamowania Małorosji władze w Moskwie dowiedziały się dopiero z mediów. Dmitrij Pieskow stwierdził bowiem, że choć Rosja „podtrzymuje swoje zaangażowanie na rzecz porozumień mińskich”, a deklaracja Zacharczenki miała być jego „osobistą inicjatywą”, to zaznaczył jednocześnie, że sprawa „podlega refleksji i analizie”. Trudno się dziwić takiej retoryce, skoro Kreml mimo wielu przedstawianych przez Zachód dowodów nadal nie przyznaje się do posyłania broni do Donbasu, a nawet odżegnuje się od tych żołnierzy, którzy trafiając do ukraińskiej niewoli, mają przy sobie rosyjskie dokumenty.

Zaskoczeni deklaracją o proklamacji nowego państwa byli też – przynajmniej oficjalnie – członkowie władz tzw. Ługańskiej Republiki Ludowej. Przewodniczącą rady narodowej ŁRL Władimir Diegtiarzenko oznajmił, że nie tylko przedstawiciele Ługańska nie brali udziału w tworzeniu Małorosji, lecz także nie wiedzieli nawet o zamiarze jej utworzenia. Wcześniej, w 2014 r., tzw. prorosyjscy separatyści po utworzeniu Donieckiej Republiki Ludowej i Ługańskiej Republiki Ludowej ogłosili konfederację samostanowionych republik oraz stworzenie Federacyjnej Republiki Noworosji. Władze w Kijowie rozpoczęły jednak tzw. operację antyterrorystyczną, której celem jest zlikwidowanie

wanie samostanowionych republik ludowych. Kreml dał więc wówczas jasno do zrozumienia, że nie jest zainteresowany oficjalną aneksją tzw. Noworosji, czyli obszarów położonych na południu i wschodzie obecnej Ukrainy. Sam mały Krym to dla Moskwy worek bez dna. Anektowany przez Rosję półwysep wymaga bowiem wartych miliardy dolarów inwestycji tylko po to, aby zapewnić jego normalne funkcjonowanie.

Rosyjskie władze muszą też zdawać sobie sprawę z tego, że obecnie ukraińskie siły zbrojne są nieporównywalnie lepiej wyszkolone, wyposażone i dowodzone niż podczas pierwszych tygodni wojny w Donbasie. „Chore fantazje rosyjskich marionetek zawsze znikają jak złudzenie” – napisał na Facebooku szef sztabu generalnego w Kijowie gen. Wiktor Mużenko, podkreślając, że Ukraińcy pochowali „noworo\$\$ję”, to pogrzebią też „małoro\$\$ję”. I rzeczywiście otwarta agresja na pełną skalę i okupacja całej Ukrainy byłaby dla Rosji koszmarnie kosztowna.

Bardziej prawdopodobny wydaje się więc inny scenariusz. Wskazał na niego szef MSZ Ukrainy Pawło Klimkin, który przekonuje, że Moskwa próbuje rozegrać na Ukrainie tzw. scenariusz abchaski. Rosja może chcieć powtórzyć sytuację, w której najpierw prowokuje konflikt, a następnie jej stronniczo zajmując część terenów wroga. Zresztą rosyjscy żołnierze na początku lipca obecnego roku znów wtargnęli na terytorium Gruzji, tym razem przesuwając granicę o 700 m w głąb kraju.

STRACH PRZED AMERYKĄ

Dla mieszkańców wschodnich regionów Ukrainy „scenariusz abchaski” byłby z dwojga złego lepszy niż „scenariusz syryjski”, który oznaczałby jeszcze większy rozlew krwi, ale władze w Kijowie nadal wierzą, że uda im się odzyskać kontrolę nie tylko nad terytoriami opanowanymi przez separatystów, lecz także nad Krymem. Propozycję tzw. prorosyjskich separatystów jako „całkowicie niemożliwą do zaakceptowania” natychmiast odrzuciły Niemcy i Francja. Kilka tygodni wcześniej nowy prezydent Francji Emmanuel Macron potępił oficjalnie aneksję Krymu przez Rosję.

Niespodziewana na Kremlu deklaracja Zacharczenki dotycząca proklamowania nowego państwa prorosyjskiego nie bez powodu pojawiła się akurat teraz. 7 lipca,

podczas pierwszego spotkania Donalda Trumpa i Władimira Putina, prezydenci ustalili m.in. warunki zawieszenia broni na części syryjskiego terytorium. W sprawie Ukrainy liderzy USA i Rosji nie doszli do porozumienia. 9 lipca, tuż po spotkaniu Trumpa i Putina w Kijowie, wylądował jednak samolot z szefem amerykańskiej dyplomacji Rexem Tillersonem, który oznajmił, że USA utrzymają sankcje wobec Rosji, i wezwał władze w Moskwie do wykonania pierwszego kroku w kierunku deeskalacji konfliktu na wschodzie Ukrainy. Amerykanie i Ukraińcy rozmawiają też o włączeniu USA do tzw. formatu normandzkiego, czyli rozmów dotyczących uregulowania konfliktu z prorosyjskimi separatystami, które dotąd prowadzone były w gronie czterech państw: Francji, Niemiec, Ukrainy oraz Rosji.

Deklaracja tzw. separatystów jest więc raczej ostrzeżeniem wobec Zachodu, że jeśli Waszyngton, Berlin, Paryż czy Kijów nie zgodzą się na ustępstwa podczas rozmów pokojowych i nie przyjmą stawianych przez Moskwę warunków, to możliwe jest zaostrzenie konfliktu zbrojnego w tym regionie. Od kwietnia 2014 r., gdy ofensywa tzw. zielonych ludzików doprowadziła do ogłoszenia przez Moskwę oficjalnej aneksji Krymu, w walkach na wschodzie Ukrainy zginęło już ponad 10 tys. osób. Inicjatywa stworzenia Małorosji – tak jak wcześniej Noworosji czy Galicji – niesie za sobą nie tylko ryzyko większego rozlewu krwi, lecz także jest również zapowiedzią podziału Ukrainy. Rosjanie za pośrednictwem swych „separatystów” dają w ten sposób jasno do zrozumienia, że zależy im na trwałym zwiększeniu wpływów na terenach okupowanych przez tzw. separatystów i nie ma mowy o tym, aby podczas rozmów pokojowych zgodzili się na to, aby Ukraina mogła wrócić do swych dawnych granic.

Moskwa wywiera zaś coraz większą presję na Zachód, bo zależy jej na jak najszybszym zakończeniu rozmów pokojowych. Nierozwiązana kwestia ukraińska znacząco utrudnia bowiem Rosjanom negocjacje o zniesieniu zachodnich sankcji wobec Rosji. Aby przyspieszyć negocjacje, Władimir Putin może więc po prostu dążyć do bezpośredniego dialogu z Donaldem Trumpem, ponieważ obaj przywódcy pilnie potrzebują istotnego sukcesu w polityce międzynarodowej.

Kiedy w 2014 r., podczas rozgrywanych w Brazylii mistrzostw świata w piłce nożnej, wraz z rodziną odwiedziłem mojego ojca w miejscowości Vienne koło Lyonu we Francji, pewnego wieczoru w całym mieście rozbrzmiała kakofonia dźwięków samochodowych klaksonów. Moja żona powiedziała do mnie wówczas: „Znowu wygrała francuska drużyna, ale to dziwne, bo przecież grała wczoraj. Już wczoraj wieczorem słyszał było klaksony, ale dziś jest dużo głośniejsze”. „No to pewnie wygrała Algieria” – odpowiedziałem na jej wątpliwość. Okazało się, że miałem rację. W miejscowości, w której się wychowałem w latach 70.–80., i w której kilkakrotnie jako nastolatek świętowałem na ulicach centrum miasta zwycięstwa Niebieskich, losy Fennecs, czyli Lisów Pustyni, wzbudzają dziś większy entuzjazm. Szkoda tylko, że 30 km od Vienne, w Lyonie, zwycięstwa Lisów Pustyni świętowano, nie tylko wymachując radośnie algierskimi flagami, lecz także demolując przystanki autobusowe i podpalając samochody.

MUZUŁMAŃSKA FRANCJA

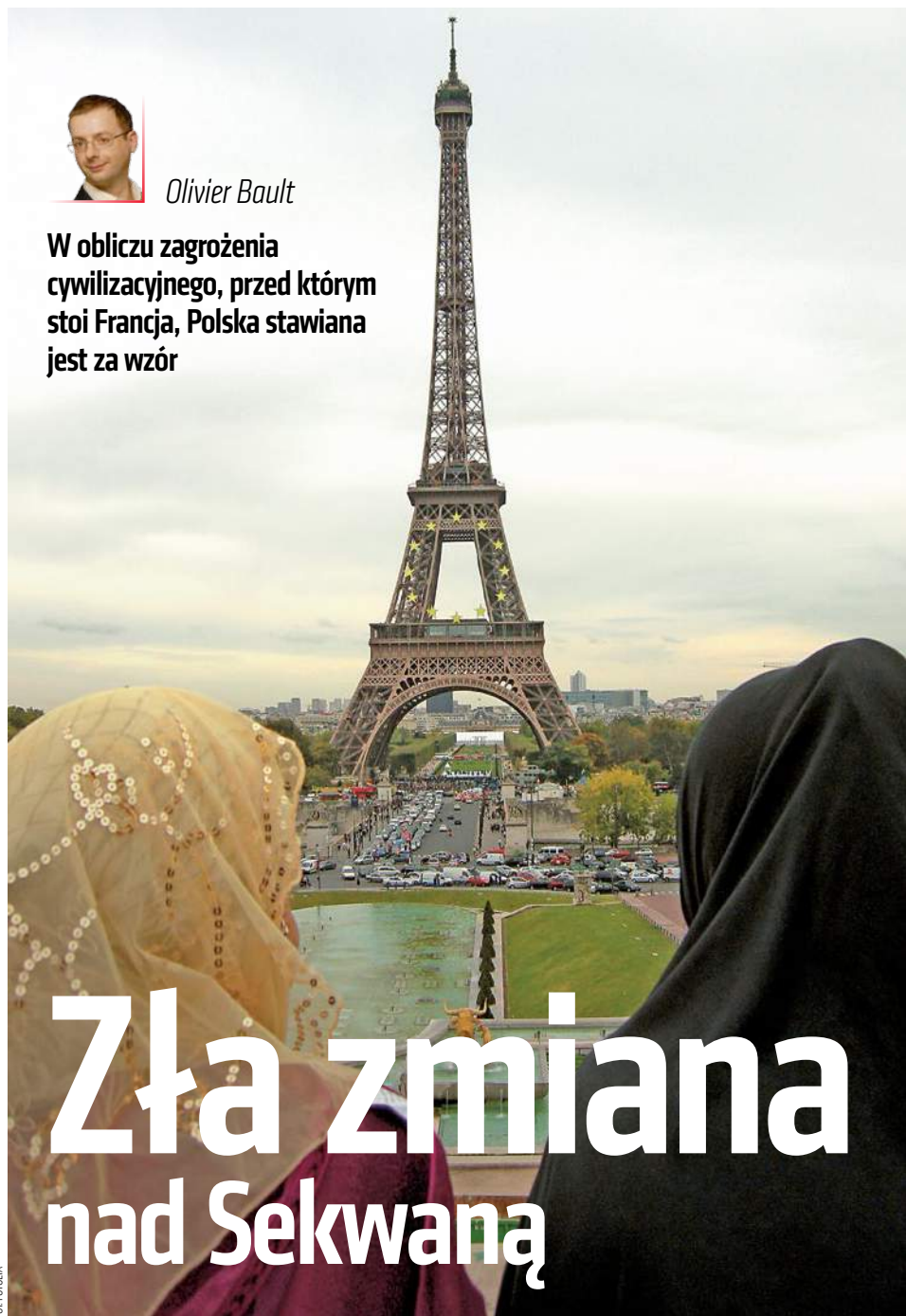
Pamiętam zwycięstwo drużyny Zidane’a w 1998 r. we francuskiej edycji mistrzostw świata w piłce nożnej. Wszyscy świętowaliśmy na ulicach Lyonu: biali, Murzyni, Arabowie, Azjaci, ludzie innej proweniencji, młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety. Wszyscy byliśmy wtedy Francuzami. To była jednak jakby inna epoka, a właściwie już końcówka pewnej epoki, jak mi się dzisiaj wydaje. Moje rodzinne miasto – Vienne – miało za czasów mojego dzieciństwa dzielnicę arabską oraz dzielnicę turecką. Nigdy mi to nie przeszkadzało, a nawet podobało mi się to, lecz wtedy Francuzi pochodzenia europejskiego stanowili niekwestionowaną większość. Dzisiaj, gdy przyjeżdżam tam co roku, obserwuję, że biali przestali być już większością w każdej z dzielnic Vienne, również w śródmieściu. W ubiegłym roku widziałem po raz pierwszy w życiu w Vienne dziewczynkę mającą nie więcej niż 11–12 lat, której ubiór szczególnie zakrywał wszystko poza samą twarzą. Siedziała z matką ubraną w podobny sposób. Teraz sporo kobiet i mężczyzn chodzi na co dzień w typowo muzułmańskich strojach.

Może to dlatego Emmanuel Macron, jeszcze jako kandydat na prezydenta, powiedział, że nie wie, co to jest „francuska kultura”, że on zna tylko „kultury we Francji”. Patrząc na rubryki informujące



Olivier Bault

W obliczu zagrożenia cywilizacyjnego, przed którym stoi Francja, Polska stawiana jest za wzór



Zła zmiana nad Sekwaną

o urodzeniach i zgonach w lokalnej gazecie, można stwierdzić bez cienia wątpliwości, że zmiany te mogą się tylko nasilać, i to bardzo szybko.

Francuskie prawo nie pozwala sporządzać statystyk etnicznych, ale można np. sprawdzać statystykę imion nadawanych nowo narodzonym dzieciom. Baza danych francuskiego urzędu statystycznego INSEE zawiera ponad 31 tys. imion nadawanych we Francji wraz z częstotliwością ich stosowania. Niektóre imiona są jednoznacznie muzułmańskie, inne mogą być muzułmań-

skie, ale nie muszą. Portal Fdesouche.com (jeden z najbardziej popularnych portali francuskiej alternatywnej prawicy) sprawdził dane INSEE, interesując się, jak twierdzi, wyłącznie imionami jednoznacznie muzułmańskimi, i sporządził statystykę dla każdego francuskiego departamentu w 1996 r. i 2016 r.

Okazało się, że w całym departamencie Isère, w którym znajduje się Vienne, proporcja imion jednoznacznie muzułmańskich nadawanych noworodkom wzrosła w ciągu 20 lat z 5 do 15 proc. W departa-

mencie Rhône, którego stolicą jest pobliski Lyon, proporcja ta wzrosła z 8 prawie do 24 proc. W Seine-Saint-Denis, na przedmieściach Paryża, gdzie znajduje się miejscowość Saint-Denis słynąca z nekropolii królów Francji, proporcja imion jednoznacznie muzułmańskich zwiększyła się z 17 do 43 proc.! W samym Paryżu proporcja ta wzrosła z 9 do 17 proc. Dla całej Francji odsetek imion muzułmańskich nadawanych noworodkom zmienił się według autorów tego zestawienia z 6,5 proc. w 1996 r. do ok. 18 proc. w 2016 r.

I mówimy tu tylko o imionach jednoznacznie muzułmańskich, co oznacza, że proporcje te są niedoszacowane. Inny sposób, aby ocenić zmiany etniczno-kulturowe zachodzące we Francji, to statystyka wykonanych testów na wykrywanie niedokrwistości sierpowatej u noworodków, gdyż testy te wykonuje się na francuskich oddziałach położniczych tylko wtedy, gdy rodzice mają pochodzenie etniczne z regionu podwyższonego ryzyka, tj. z Afryki, Bliskiego Wschodu i Karaibów. Chociaż statystyka ta nie pozwala rozróżnić dzieci imigrantów spoza Europy od dzieci czarnych lub mieszanych Francuzów z Karaibów, liczby potwierdzają powyższą tendencję. Wiemy dzięki temu, że ogólna liczba dzieci urodzonych z rodziców etnicznie nieeuropejskich stanowi już na pewno ponad 35 proc. wszystkich dzieci rodzących się we Francji (nie uwzględniając terytoriów zamorskich), podczas gdy na początku wieku odsetek ten wynosił 20 proc.

W POSZUKIWANIU EUROPY

Statystyka taka jest publikowana tylko w mediach alternatywnej prawicy, głównie internetowych, ale zmiany są łatwo zauważalne, gdy się żyje, tak jak ja, od 24 lat na emigracji i wraca do kraju tylko raz czy dwa razy w roku.

Jechałem na początku lipca z Lyonu na południe Francji na zjazd przedstawicieli tychże mediów alternatywnych. Podróż kolejną rozpocząłem na dworcu Part-Dieu, który jest jednym z dwóch dużych lyońskich węzłów kolejowych. Znam to miejsce dość dobrze jeszcze z czasów studenckich, czyli z początku lat 90., ale byłem na tym dworcu po raz pierwszy od wielu lat. I tu też zauważyłem wyraźnie – bardziej niż kiedykolwiek wcześniej – wielką zmianę etniczno-kulturową: biali znowu w mniejszości, mnóstwo ludzi o rysach afrykańskich lub bliskowschodnich, w holu głównym duży gwar, hałas przypomina-

jący miasta sytuowane dużo bardziej na południu niż Lyon, który kiedyś znałem. Wchodzę do holu głównego i patrzę na tłum gapiący się na wielką tablicę odjazdów pociągów. Tam widzę, że ponad połowa pociągów ma opóźnienie wynoszące od 20 minut do 4 godzin. Przypomniało mi to dworzec w Londynie w latach 90., kiedy udawałem się pociągiem do Oxfordu. Był to okres, gdy kolej brytyjska po prywatyzacji i wprowadzeniu pozornej konkurencji przeżywała trudne chwile, a Francuzi byli wówczas dumni ze swoich państwowych, ale szybkich i punktualnych kolei. Jednak to było kiedyś. Dzisiaj nawet słynne francuskie TGV spóźniają się w ponad 11 proc. przypadków (według raportu SNCF, który opublikowano w tym miesiącu).

Później, w drodze powrotnej z Francji, zaskoczyła mnie tak duża liczba pracowników lyońskiego lotniska Lyon-Saint-Exupéry noszących brody na modłę salańską. Widziałem także grupę aż ośmiu wojskowych idących w równych odstępach od siebie i uzbrojonych w karabiny automatyczne. Do tej pory widywałem na francuskich lotniskach patrolę liczącą dwóch, maksymalnie czterech żołnierzy, ale najwyraźniej po licznych atakach na pilnujących bezpieczeństwa przy „wrażliwych” obiektach trzeba było patrolę te wzmocnić. Mnóstwo kobiet w muzułmańskich strojach i silna obecność armii bardziej przypominały islamski kraj niż Francję mojego dzieciństwa. W zasadzie dopiero po wylądowaniu na Lotnisku im. Chopina w Warszawie poczułem się z powrotem w Europie.

Odczucie to nasila się u mnie z każdą podróżą do Francji. Nie tylko u mnie zresztą. Coraz częściej spotykam Francuzów bez polskich korzeni, którzy emigrują nad Wisłę. Tylko w ostatnich dwóch miesiącach poznałem trzech takich ludzi. Jednego z nich spotkałem w bloku, w którym mieszkam. Jest to człowiek trzydziestokilkuletni, który – jak sam opowiada – podróżował po Europie, aby szukać dla siebie lepszego miejsca do życia (mieszkał w Strasburgu) i wybrał w końcu Warszawę.

Na spotkaniu narodowców przed słynnym już w całej Europie warszawskim Marszem Niepodległości poznałem też grupę rodaków osiadłych na Węgrzech. Francuzi w Europie Środkowo-Wschodniej odnajdują pod względem kulturowym i obyczajowym Europę, w której żyli albo którą znali ich rodzice jeszcze 30–40 lat temu. I to nie jest tylko zdanie narodowców czy „tożsamościowców” (fr. identita-

ires), jak się nazywa na Zachodzie zwolenników obrony tożsamości narodowej, ale również wśród „zwykłych” Francuzów.

Polski patriotyzm także wzbudza duże zainteresowanie w kręgach prawicowych nad Sekwaną, a nawet zdrową zazdrość w sytuacji zagrożenia cywilizacyjnego, w którym znajduje się dziś Francja. Sam doświadczyłem tego na lipcowym zjeździe mediów alternatywnej prawicy. Dużo się mówi w Polsce o wpływach Moskwy na prawicowe ruchy antysystemowe w Europie, ale odkąd w Warszawie rzadzi PiS, polski tzw. soft power stał się w tych kręgach bardzo widoczny. To jest ważne, ponieważ promowana nad Wisłą i nad Dunajem wizja Europy zjednoczonej, ale zbudowanej na wartościach chrześcijańskich i szanującej suwerenność oraz tożsamość poszczególnych narodów może być alternatywą dla propozycji frexitu i zbliżenia z Moskwą, promowanej przez Marine Le Pen.

Francuskie środowiska prawicowe mają zresztą pani Le Pen za złe, że tyle mówiła podczas kampanii o odejściu od euro i UE, a tak mało o zatrzymaniu imigracji i islamizacji oraz o obronie chrześcijańskiej tożsamości Francji. Jak to powiedziała w ubiegłym roku jej siostrzenica Marion Maréchal-Le Pen, przeciętny Francuz martwi się, czy jego córka będzie musiała chodzić w burce, a nie, czy będzie ona musiała za tę burkę zapłacić we frankach czy w euro.

Pod koniec czerwca odbywał się w Warszawie kongres grupy Parlamentu Europejskiego Europa Narodów i Wolności (ENF), którego członkiem jest Front Narodowy. Przed obradami europosłowie z różnych krajów złożyli wieniec pod pomnikiem króla Jana III Sobieskiego, zwycięzcy bitwy wiedeńskiej. Chociaż rząd w Warszawie należy do innej opcji, konserwatywnej i chrześcijańsko-demokratycznej, w walce z imigracją był na tym kongresie przedstawiany – podobnie jak rządy pozostałych krajów Grupy Wyszehradzkiej – jako sprzymierzeniec wszystkich patriotów Europy. W maju z kolei byłem na warszawskiej konferencji Europejskiego Chrześcijańskiego Ruchu Politycznego, gdzie Polska była przedstawiana jako źródło nadziei dla obrony chrześcijańskich tradycji i wartości na naszym kontynencie.

Jedno jest dla mnie uderzające: w latach 90. ubiegłego wieku, gdy podróżowałem z Francji do Polski, znajdowałem nad Wisłą kraj bardziej zacofany cywilizacyjnie, ze słabszym państwem i gorszą jakością życia. Dzisiaj jest odwrotnie. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Gdy kilka tygodni temu wraz z ks. prof. Pawłem Bortkiewiczem zadaliśmy pytania dotyczące działalności prominentnych zakonników (w tym generała) Towarzystwa Jezusowego, na nasze głowy posypały się gromy. Jezuiti zarzucali nam, że zadając pytania czy kwestionując ortodoksję ich generała, rozbijamy Kościół, a odrzucając odmienne style myślenia, pokazujemy, że obcy nam jest duch dialogu. Teraz, gdy wpływowi jezuicki magazyn, którego teksty są zawsze dopuszczane do druku przez Sekretariat Stanu Stolicy Apostolskiej, zaatakował sporą rzeszę amerykańskich konserwatywnych katolików, a także protestantów, jezuici milczą. Atak, i to dość brutalny, a do tego oparty na błędnych przesłankach, jest najwyraźniej ich zdaniem uzasadniony, gdy dotyczy tych w Kościele i we wspólnotach protestanckich, którzy zamiast liberalizować i rozmywać doktrynę, próbują jej bronić, a do tego zamiast ustępować światu, próbują walczyć o jego duszę.

EKUMENIZM NIENAWIŚCI?

Tekst, o którym mowa, został napisany przez dwóch bliskich współpracowników i przyjaciół Ojca Świętego Franciszka, o. Antonio Spadaro (redaktora naczelnego „La Civiltà Cattolica”) i redaktora naczelnego argentyńskiego wydania „L'Osservatore Romano”, oraz pastora prezbiteriańskiego Marcelo Figueroę. Obaj panowie bardzo ostro atakują amerykańskich, konserwatywnych katolików (określanych przez nich mianem integralistów) i konserwatywnych ewangelikalnych chrześcijan, których nie określają inaczej niż fundamentalistami. Istotą zarzutów jest to, że obie te grupy mają chcieć „murów i deportacji”, budowy „ksenofobicznego” i „teokratycznego” państwa, a także budują wspólnie „ekumenizm nienawiści”.

„Ewangelikalni chrześcijanie i katolicy integraliści potępiają tradycyjny ekumenizm i promują ekumenizm konfliktu, który jednoczy ich w nostalgicznym śnie o teokratycznym typie państwa” – przekonują wspólnie jezuita i pastor. „Najbardziej niebezpiecznym elementem tego dziwnego rodzaju ekumenizmu jest jego ksenofobiczna i islamofobiczna wizja, która chce budowania murów i usprawiedliwia deportacje” – dodają. Nie podoba im się też rzekomo niechrześcijańskie podejście do ekologii, a także polityki, która – w takim ujęciu – przekształca się w budowanie Królestwa Bożego na Ziemi. Taka postawa, zdaniem pastora i jezuity, ma być sprzeczna z wizją,



Dobry i zły ekumenizm

Ekumenizm, jeśli tylko przynosi jakieś konkretne efekty, jest zły. Do takiego wniosku doszli wspólnie dwaj autorzy watykańskiego, jezuickiego magazynu „La Civiltà Cattolica”



Tomasz P. Terlikowski

jaką prezentuje papież Franciszek, która chce ekumenizmu pokoju, inkluzywności, spotkania i mostów. „Franciszek radykalnie odrzuca ideę budowania Królestwa Bożego na Ziemi, jak to miało miejsce na bazie Świętego Cesarstwa Rzymskiego oraz podobnych politycznych i instytucjonalnych form, włączając w to partie” – czytamy.

O czym lub o kim mowa? Trudno zgadnąć. Obaj autorzy – poza tym, że wyraźnie nie lubią amerykańskiej, ewangelikalnej pobożności, a do tego brzydzą ich ci amerykańscy katolicy, którzy poparli Donalda Trumpa – o ewangelikalizmie, a także katolicyzmie w USA pojęcie mają bowiem dość słabe. Zacznijmy od katolików. Tak się

składa, że termin „integraliści”, stosowany przez o. Spadare i Marcelo Figueroę, na określenie konserwatywnych katolików, nie ma nic wspólnego z debatą amerykańską. Nikt w USA nie określa się w ten sposób. To termin, którego źródła są europejskie, a określali się w ten sposób przed wojną katolicy, których później oskarżano (zupełnie innym problemem jest to, czy słusznie) o faszyzm. Wśród Amerykanów jednak takie zjawisko nie istniało i nadal nie istnieje. Istnieje za to rzeczywiste zjawisko konserwatywnego postrzegania wiary, u którego podstaw leżą fascynacja pontyfikatami św. Jana Pawła II i Benedykta XVI, a także świadomość, że trzeba



rozmaite poglądy polityczne. Jedni z nich, np. Pat Robertson, są gorącymi ekologami, innym bliskie jest społeczne spojrzenie na gospodarkę rynkową (co czyni ich bliższymi katolickim poglądom), jeszcze inni kładą nacisk na walkę z wykluczeniem Latynosów i Afroamerykanów (tak, tak, wcale nie budują murów, ale tworzą wspólnoty skierowane właśnie do takich imigrantów). Ich poglądy polityczne także są różne. Owszem, często są oni bliżsi republikanom, ale dalece nie wszyscy byli zachwyceni wystawieniem Donalda Trumpa, którego uważali za liberała i człowieka w gruncie rzeczy niewierzącego. Jeśli coś ich łączy, to – poza źródłami teologicznymi, czyli zakorzenieniem w kalwińskiej wizji chrześcijaństwa wzbogaconej elementami Wielkiego Przebudzenia – zazwyczaj dość konserwatywne podejście do obrony życia, rozumienie małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny, a także obecność chrześcijaństwa w życiu społecznym oraz nacisk na przeżycie osobistego nawrócenia, które jest podstawą świadomego życia wiara.

To zresztą właśnie te elementy łączą ewangelikalnych protestantów z konserwatywnymi katolikami. Korzenie tej koalicji sięgają lat 70., a walka z rodziną, którą prowadziła administracja Baracka Obamy, tylko ją wzmocniła. Katolicy i ewangelikalni chrześcijanie są w tej walce na siebie skazani, ponieważ liberalne wyznania protestanckie już dawno porzuciły zarówno obronę życia, jak i małżeństwa. I najwyraźniej właśnie ta wspólnota najbardziej jezuicie oraz pastorowi przeszkadza. Istotą ich zarzutów jest bowiem absurdalna teza o chęci budowy teokracji (nie ma w USA sił, które rzeczywiście by tego chciały), a także politycznie motywowana niechęć do polityki imigracyjnej USA (wspólnej zresztą, o czym warto przypomnieć i demokratom, i republikanom), a także obrony granic.

Ta ostatnia może się oczywiście nie podobać, ale warto przypomnieć autorom tekstu, że jest to kwestia polityczna (bo w kwestii prawa do ochrony własnych granic przed imigracją Kościół nie ma doktryny, a decyzje w tej sprawie pozostawia politykom). Próba zdogmatyzowania podejścia do imigracji po pierwsze odbiera uzasadnioną autonomię władzom świeckim wobec Kościoła, a po drugie przesuwając doktrynę w kierunku bieżącej polityki, co w istocie niszczy zarówno moralność, jak i teologię Kościoła. Zamiast wspólnoty wiary i moralności pojawia się wspólnota politycznych nacisków, w której politycy przestają być autonomicznymi podmiotami,

a stają się... pionkami na szachownicy, ustawianymi przez duchownych (którzy zresztą, tak jak w tym przypadku, zamiast Ewangelii głoszą ideologię lewicową).

PRZESUNIĘTE GRANICE DIALOGU

Zaskakiwać może w tekście „La Civiltà Cattolica” negatywne odniesienie się do jednego z nielicznych, zakończonych sukcesem dialogów ekumenicznych w historii Kościoła. Tak się bowiem składa, że to właśnie dialog chrześcijan ewangelikalnych i katolików w Stanach Zjednoczonych dotyczący obrony życia i małżeństwa jest jedynym, który przyniósł realne zbliżenie. Południowa Konwencja Baptystów przyznaje, że powróciła do radykalnej obrony życia pod wpływem świadectwa św. Jana Pawła II, ewangelikalni chrześcijanie z podziwem wypowiadają się o zaangażowaniu katolików w obronę małżeństwa, a katolicy chętnie korzystają z ich doświadczeń w obronie moralności w przestrzeni publicznej. Liderzy konserwatywnych wspólnot ewangelikalnych i katolicy konserwatywni uczestniczą w tych samych sympozjach oraz publikują w tych samych magazynach, realnie przewyciężając podziały. Jednym słowem: pełen sukces, szczególnie jeśli porównać go z tym, co się dzieje po liberalnej stronie ekumenizmu. Tam za sukces uchodzi to, że coraz bardziej się różnimy (co oczywiście jest powodem do radości), że protestanci coraz dalej odchodzą nie tylko od Pisma Świętego, lecz także od własnej ortodoksji, a jedynymi wspólnymi działaniami są protesty przeciwko murom i wspólne wsparcie Planned Parenthood. I najwyraźniej taki właśnie ekumenizm, beztreściowy i antyewangeliczny, podoba się jezuitom z recenzowanego przez Watykan magazynu. Ekumenizm pełen witalności, realnie zmieniający świat i broniący ważnych ewangelicznych wartości, to dla nich bowiem „promowanie nienawiści”, „integralizm” i „fundamentalizm”.

Jaki z tego wniosek? Odpowiedź pozostaje niestety dość smutna. Debata religijna skrajnie się spolityzowała, a dla jej uczestników częściej – choć nie tylko – po liberalnej stronie o wiele istotniejsze od ekumenizmu, realnego dialogu czy walki o wartości jest to, czy ich rozmówca jest czy nie jest liberałem i lewicowcem. Jeśli nie jest, to w istocie czują do niego jedynie pogardę. Słabo umocowaną w faktach. Jednak kto by się przejmował faktami, gdy chodzi o to, by zniszczyć przeciwników postępu?



Łukasz Majchrzyk

Do mistrzostw świata w Rosji został już niespełna rok, a skandali z każdym dniem przybywa

Być może czekają nas najbardziej skandalonośne mistrzostwa świata w historii, chyba że Rosjan przebiją Katarczycy, którzy organizują turniej cztery lata później. Do rozpoczęcia mundialu w Rosji został blisko rok, a problemy piętrzą się jeden za drugim. Teraz już za późno, żeby zmienił gospodarza turnieju. Zresztą kto by się zdecydował na upokarzanie Rosjan. Tym bardziej że Gazprom w ostatnich latach był jednym z najważniejszych sponsorów europejskiego futbolu. Trzeba zjeść tę żabę i przygotować się na kolejne problemy.

A przecież w historii były już mundialy organizowane przez juntę wojskową (Argentyna, 1978), takie, w czasie których kradziono puchar i znajdowano go na śmietniku (Anglia, 1966), i takie, gdzie gospodarzom pomagały nie tylko ściany, lecz także poważne błędy arbitrow (Korea, 2002).

JAK Z TĄ ROSJĄ BYŁO

To wszystko nic, błahostki, niemal niewinne igraszki. Rosjanom już udało się przebić tamte problemy, a przecież wiele się jeszcze może zdarzyć. Międzynarodowe skandale z dopingiem i korupcją w tle, miliardy rubli wydawane na stadion, który po wielu latach opóźnień dopiero niedawno został ukończony, robotnicy z Korei Północnej pracujący za głodowe stawki i mieszkający w barakach. A w drugim szeregu są jeszcze rosyjscy chuligani stadionowi, których trudno okiełznać. Sporo tego jak na imprezę, która ma być świętem futbolu i ściągnąć do Rosji kibiców z całego globu.

Sam wybór Rosji na gospodarza mistrzostw świata rodzi poważne wątpliwości co do uczciwości. Przy okazji wielokrotnie pojawiają się takie słowa jak „korupcja” i „łapówka”.

Pierwsi protestowali w tej sprawie Brytyjczycy, którzy również zgłaszali swoją kandydaturę do organizacji mundialu, ale przegrali ten pojedynek – być może



dlatego, że grali uczciwie. Jeszcze przed głosowaniem nad wyborem gospodarzy (po raz pierwszy Komitet Wykonawczy FIFA głosował nad dwiema kandydaturami jednocześnie) dziennikarze „Sunday Times” zorganizowali prowokację, podczas której zaproponowali łapówki dwóm członkom Komitetu Wykonawczego.

Nigeryjczyk Amos Adamu i Reynald Temari z Tahiti zgodzili się sprzedać swoje głosy. Sprawa została ujawniona, delegaci wykluczeni, ale atmosfera podejrzliwości unosiła się odtąd nad całą sprawą już na dobre. Nic dziwnego, że po przegranym głosowaniu Anglicy wynajęli agencję detektywistyczną, zatrudniającą byłych oficerów MI6, która miała przesłuchiwać cały proces. Oskarżenia, które zaczęły padać, były najcięższe z możliwych i dotyczyły ludzi bardzo wysoko postawionych.

Rosjanie do przekupywania mieli wydelegować oligarchów, którzy nie oferowali pieniędzy, ale dzieła sztuki. Żadnych dokumentów na to nie ma, ale oskarżenia powracają. FIFA, żeby oczyścić atmosferę, wynajęła amerykańskiego prawnika Michaela Garcíę, który miał zbadać proces

wyboru gospodarzy mundialu. I zrobił to na tyle rzetelnie, że FIFA jeszcze do tej pory nie zdecydowała się na publikację raportu. Ujawniła tylko jego omówienie, z którego wynikać miało, że wszystko odbyło się w należytym porządku, a Garcia na znak protestu odszedł z FIFA.

Szwajcarska prokuratura może mieć inne zdanie niż przedstawiciele FIFA, bo śledztwa w sprawie korupcji nie przerwała. Oczywiście postępowanie jest wielowątkowe i nie dotyczy tylko mistrzostw świata w Rosji, ale można powiedzieć, że od tego się zaczęło i dzisiaj władze światowego futbolu mogą żałować, iż historia tak się potoczyła, zwłaszcza że z mundialem w Rosji są też inne problemy.

WIELKIE PIENIĄDZE

Mistrzostwa świata to od wielu lat maszynka do zarabiania pieniędzy dla FIFA i całego piłkarskiego świata. Obok letnich igrzysk olimpijskich to największa sportowa impreza na świecie, która co cztery lata skupia na sobie uwagę miliardów ludzi. Nakręca się koniunktura



FOT. SERGEI FADUEV / TAS / FORUM

igrzysk olimpijskich w Soczi i nie wiadomo, czy stać je na zainwestowanie kolejnych milionów dolarów. Jeśli sytuacja będzie trudna, to zapewne ktoś się zgłosi.

Tak było w przypadku sprzedaży praw do pokazywania turnieju w Rosji. FIFA za pełen pakiet chciała 120 mln dol., znacznie więcej niż w przypadku poprzedniego turnieju, i rosyjskie telewizje długo odrzucały tę ofertę. Tylko że tym razem nikt z rosyjskich władz nie kwapił się, by wydać polecenie: „Przelewamy pieniądze”. Zanosilo się na kolejny skandal, bo zwyczajowo rok przed startem turnieju znany jest nadawca w kraju gospodarza.

Głos zabrał nawet wicepremier Witalij Mutko, który narzekał, że telewizja nie może przynosić strat. Nie ma się co dziwić FIFA, że chciała dobrze zarobić, skoro w 2016 r. jej straty finansowe wyniosły 369 mln dol. (spokojnie, na biednych nie trafiło), a jedną z przyczyn słabych wyników finansowych jest śledztwo w sprawie korupcji. Wreszcie, na początku czerwca udało się osiągnąć porozumienie, ale w stosunkach Rosji i FIFA zanotowano kolejne ochłodzenie.

MILIARDY I NIEWOLNICZY

Tym bardziej że to tylko jeden problem z długiej listy. Na pewno sen z powiek gospodarzom i przedstawicielom FIFA spędza stadion w Sankt Petersburgu – jedna z najważniejszych aren mistrzostw świata 2018 r. To tutaj ma się odbyć siedem meczów turnieju, w tym tak prestiżowe spotkania jak jeden z półfinałów oraz starcie o trzecie miejsce.

Wreszcie udało się ten obiekt wybudować, chociaż prace już dawno powinny się były zakończyć. Budowa zaczęła się równo 10 lat temu i opóźnień, przesuwania terminów już nikt nie liczy ani chyba nawet pieniędzy, które, dosłownie, pochłonęła ta inwestycja.

Początkowo koszt wybudowania kreatorskiej areny szacowano na 6,7 mld rubli, co przy dzisiejszym kursie stanowi ok. 115 mln dol. Ostatecznie cały koszt budowy zamknął się w kwocie 43 mld rubli, czyli ok. 737 mln dol. – wychodzi na to, że stadion w Sankt Petersburgu był jednym z najdroższych na świecie.

Jeśli to byłby jedyny problem z tym obiektem, to w FIFA nikt by się nie zajął, bo pieniądze wydawane przez Rosjan to ich sprawa. Przy tej inwestycji pojawiają się jednak inne skandale. O takich „drobnostkach” jak kilkakrotna wymiana

murawy nawet nie ma co wspominać. Inspekcja na początku 2017 r. wykazała, że płyta boiska w Sankt Petersburgu nie jest stabilna, co stanowić może zagrożenie dla zdrowia piłkarzy, ale najwidoczniej wszystko jest już w porządku.

Prasa na całym świecie pisała jednak o czym innym. Dziennikarskie śledztwo wykazało, że przy budowie stadionu w Sankt Petersburgu pracowali robotnicy z Korei Północnej. Szokuje nie tylko to, chociaż współpraca z reżimem Kimów zawsze budzi podejrzenia, lecz także warunki, w jakich mieli żyć i pracować Koreańczycy.

Prowizoryczne, przepełnione baraki, brak bieżącej wody, harowanie po 11 godzin na dobę, siedem dni w tygodniu przy wynagrodzeniu w wysokości 10–15 dol. dziennie (dużo niższym niż innych pracowników), z czego i tak znaczna część była zabierana przez reżim – tak miała wyglądać codzienność koreańskich robotników. Nic dziwnego, że jeden z nich zmarł na atak serca.

Po publikacjach prasowych prezydenci federacji piłkarskich: Danii, Islandii i Norwegii zapytali FIFA, czy to jest prawda, a w odpowiedzi dostali list Gianniego Infantino, w którym prezydent FIFA przyznawał, że na budowie w Sankt Petersburgu mogło dojść do łamania praw człowieka.

A przecież nadchodzą kolejne skandale. W czasie turnieju jednym z najważniejszych ludzi siedzących w łożu honorowej będzie szef komitetu organizacyjnego Witalij Mutko – przy okazji także członek władz FIFA. To jeden z głównych podejrzanych w największym skandalu dopingowym wszech czasów, w którym Światowa Agencja Antydopingowa (WADA) oskarża Rosję o zorganizowanie państwowego systemu dopingu w latach 2011–2015. Mutko był w tym czasie ministrem sportu i chociaż Rosjanie twierdzą, że o niczym nie wiedział, to tym zapewnieniom trudno dać wiarę.

Podawać mu rękę na trybunie honorowej czy nie? Klepać po plecach i uśmiechać się do wspólnych zdjęć? Odmowa będzie oznaczała obrazę gospodarzy. Zgoda będzie źle wyglądała w oczach międzynarodowych obserwatorów, a FIFA i tak jest już pod pręgierzem.

A jeśli jakiś sędzia podczas turnieju pomyli się na korzyść reprezentacji Rosji? W przypadki nikt nie będzie chciał wierzyć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

ra, rośnie góra pieniędzy, sponsorzy ustawiają się w kolejce. Jest za co żyć (bardzo godnie) przez kolejne cztery lata.

Tak było od wielu lat. Czy tak samo będzie tym razem? Po zakończeniu mistrzostw świata w Brazylii w 2014 r. wygasły umowy z kilkoma sponsoraми – m.in. tak potężnymi jak Sony i The Emirates. FIFA szuka nowych partnerów, na razie ma ich na pokładzie 12, ale przy mundialu w Brazylii widać było logo aż 20 sponsorów. Czy uda się znaleźć kolejnych partnerów? Reputacja FIFA została nadszarpnięta skandalem korupcyjnym, a Rosja kilka lat temu zajęła Krym i jest oskarżana o wspieranie separatystów w Donbasie – dość powodów, by wielkie firmy ostrożnie podchodziły do sponzorowania turnieju w tym kraju.

Naturalnymi kandydatami wydają się potężne rosyjskie przedsiębiorstwa, ale na razie na liście znalazły się tylko dwie firmy: niezawodny Gazprom (jeden z głównych sponsorów) oraz Alfa Bank (regionalny partner, najniższy w hierarchii, a zatem najtańszy). Rosyjskie przedsiębiorstwa wydały ogromne pieniądze na wsparcie

Ekologia funkcjonuje w polskiej polityce na zasadzie ozdoby i dodatku. Często wydaje się przeszkadzać w prowadzeniu działalności gospodarczej, odgrywa też rolę straszaka przed ideologicznymi aberracjami. Odpowiedzialni za nią ministrowie są z reguły wycofani do tylnych szeregów, rzadko ktoś wie, jak szef resortu środowiska się nazywa, chyba że odpowiedzialny jest za niepopularne decyzje, tak jak Jan Szyszko. Jedyne kojarzone z ekologiczną wrażliwością polityk Prawa i Sprawiedliwości, Piotr Gliński, oddelegowany został na odcinek kultury.

Widać to zresztą także po samych działaniach. Abstrahując od tego, że wcześniejsze rozwiązania rodziły wiele absurdów, uchwalić „ustawę Szyszki”, by później w obliczu masowej wycinki drzew się z niej wycofać, można tylko wtedy, gdy tematu się kompletnie nie przemyślało, a jego opracowanie pozostawiło jednemu człowiekowi, który był tym zainteresowany. Nawet to, że niektórzy politycy PiS i innych ugrupowań forsują zakaz hodowli zwierząt futerkowych, świadczy o punktowym podejściu do tematu, który nijak nie jest wkomponowany w szerszą filozofię.

Wytłumaczenie tego, że PiS zajmuje się tematem, jest moim zdaniem prozaiczne: każdy ma jakiegoś bzika, każdy jakieś hobby ma, a prezes Jarosław Kaczyński ma od lat w domu koty, jest miłośnikiem zwierząt i potrafił zarządzić dyscyplinę w głosowaniu nad tzw. ubojem rytualnym, choć w przypadku ochrony życia nienarodzonych dzieci pozostawia sprawę sumieniu swoich posłów. Podejrzewam, że gdyby prezesem PiS był ktoś nastawiony bardziej przedsiębiorczo lub był rolnikiem, częściej słyszelibyśmy w tych kręgach o konieczności obrony polskiego przemysłu futrzarskiego.

CI WREDNI EKOŁODZY

Nie tylko zresztą w Polsce prawica oddała ekologię walkowerem lewicy. Gdziekolwiek spojrzymy, tam ochrona środowiska zdaje się domeną ruchów sceptycznych wobec stawiania człowieka w centrum stworzenia, krytycznych wobec przemysłu i religii. Budzą one szczególne obawy zwłaszcza wtedy, gdy ich przedstawiciele stają się „pożytecznymi idiotami” (lub też w niektórych przypadkach całkiem świadomymi współpracownikami) w rozgrywce geopolitycznej, czasem wręcz posuwając się do terroryzmu, gdy np. zgadzają

Konserwatywna ekowrażliwość



Stefan Sękowski

Prawica rzadko kojarzona jest z ochroną środowiska. Roger Scruton czy nasz rodzimy Jan Gwalbert Pawlikowski pokazują, że tak nie musi być



się odstąpić od pikiet przeciwko jakimś inwestycjom w zamian za pieniądze. Kij ma bowiem dwa końce – na każdym miejscowym ograniczeniu działalności gospodarczej, czy to będzie wydobywanie węgla, stawianie na energetykę atomową, zakaz wycinki drzew, odstrzał zwierząt, budowa portu, regulacja rzeki czy taka, a nie inna forma hodowli, korzystna konkurencja, której dane zakazy nie obejmują i która ma gotową ofertę dla tych chcących z niej skorzystać. A ich argumenty mogą wydawać się irytujące, kiedy na pierwszym miejscu stawia się interes człowieka – co tam suszy, gdy potrzebujemy lotniska, co tam drzewa, gdy potrzebna jest obwodnica – nie mówiąc o propozycjach w skali makro, które uderzają np. w nasze górnictwo.

Takie argumenty łatwo zbić, gdy ma się naprzeciwko siebie ludzi, którzy właściwie najchętniej zmasakrowaliby człowieka z powierzchni Ziemi jako największego szkodnika. Tyle że nie ma zwykłej dychotomii: dobro człowieka – dobro natury. Człowiek dla swojego dobra także potrzebuje przyjaznego środowiska naturalnego, które jest niestety coraz bardziej zanieczyszczone. Tylko jak odpowiedzieć na ten problem, by nie wylać dziecka z kąpielą i nie dać się zrobić w bambuko Niemcom czy Rosjanom, którzy chętnie skorzystają na naszej miłości do zdrowego środowiska?

PRZYWIĄZANIE DO DOMU

W sukurs przychodzi nam Roger Scruton – czołowy brytyjski filozof, konserwatysta, antykomunista i wróg nowej lewicy, którego trudno posądzać o wspieranie „ekologizmu”. Jego książka „Zielona filozofia. Jak poważnie myśleć o naszej planecie” niedawno ukazała się po polsku. Jak więc myśleć poważnie? Zawiedzie się ten, kto będzie szukał w tej książce rytualnego smagania ekologów i uspokajania sumienia, że jednak nie jest z naszym środowiskiem tak źle, jak niektórzy twierdzą.

Przed wszystkim trzeba zacząć myśleć i musi to zrobić też prawica, która często patrzy na świat w kategoriach przeciwstawiania sobie wolności jednostki i kontroli państwa. Celem polityki jest jego zdaniem nie wolność jednostki jako taka, lecz „przekazanie przysług pokoleniom – a póki co utrzymanie i poprawa – porządku, którego jesteśmy tymczasowymi powiernikami”. Krótko mówiąc, prawica powinna porzucić

ekonomizm, który swoją drogą czyni ją mentalnie bliską marksizmowi. Nie oznacza to jednak jego zdaniem, że powinniśmy pozostawiać rozwiązywanie wszystkich problemów państwu. Wręcz przeciwnie, „właściwą reakcją konserwatystów nie jest więc opowiadanie się za wolnością ekonomiczną bez zwracania uwagi na koszty, ale rozpoznanie kosztów wolności ekonomicznej i podjęcie wszelkich działań, aby je zredukować” – pisze.

Scruton pisze, że jego zamiarem jest przedstawienie „argumentacji dotyczącej takiego podejścia do problemów środowiska, w którym zasadniczym elementem polityki są przywiązania lokalne”. Skutkiem działań mają nie być „zmiana społecznej organizacji i scentralizowana kontrola”, ale raczej dążenie do samoregulacji i dostosowywanie się do zmieniających się warunków. Nie ma prawdziwej miłości do przyrody bez ojkofilii, czyli „umiłowania oikos, co oznacza nie tylko dom, lecz także ludzi w nim obecnych oraz otaczające osady, które nadają temu domowi wyraźne kontury i nieprzemijający uśmiech”.

Scrutonowi trudno wyobrazić sobie ekologę, który nie byłby patriotą, także lokalnym. Na licznych przykładach pokazuje, jak ludzie tworzący stowarzyszenia sąsiedzkie czy chroniący rzeki przed zanieczyszczeniami wędkarze tworzyli „małe plutony” chroniące miejscowe środowisko przed zniszczeniem. To także miłość do piękna powodowała, że – jak twierdzi autor – twórcy XIX-wiecznych brytyjskich dróg żelaznych starali się, by w jak najmniejszym stopniu zakłócały one ustalony porządek rzeczy i wkomponowywały się w krajobraz. To działanie społeczne, o ile nie jest to absolutnie konieczne, jest jego zdaniem bardziej skuteczne niż ogórne działanie państwa, które zwalnia nas od odpowiedzialności. I często proponuje rozwiązania gorsze od choroby – tak jak w przypadku skażenia Zatoki Meksykańskiej wyciekami ropy. Amerykanie odmówili wykorzystania duńskich statków odzyskujących ropę z wody do likwidacji szkód, gdyż „stan wody wpuszczanej do oceanu [i tak zdrowszej niż przed oczyszczeniem] nie byłby zgodny z surowymi przepisami zakazującymi wpuszczania skażonej ropy wody do zatoki”.

Odpowiedź na problemy wymaga także ćwiczenia w cnocie roztropności i ograniczonego zaufania do własnych

sił ludzkości; zbyt mało uczymy się dostosowywać do zmieniających się warunków, licząc na to, że jesteśmy w stanie powstrzymać to, co być może nieuniknione – Scruton pisze o tym konkretnie w kontekście globalnego ocieplenia, co do jego zasięgu czy jego ludzkiego pochodzenia nie wyraża jednoznacznych opinii.

POLSKIE WZORCE

Scruton nie jest pierwszym prawnicowcem, który interesuje się ekologią – wręcz przeciwnie, u swego zarania miała ona mocno konserwatywne konotacje. Czytając „Zieloną filozofię”, miałem liczne skojarzenia z myślą Jana Gwalberta Pawlikowskiego. Ten czołowy polski ekolog, a także taternik i grotołaz przełomu XIX i XX w. (wędrując po Tatrach, mogą państwo zwiedzić choćby zbadane przez niego Jaskinie Pawlikowskiego), był liderem endecji w Galicji oraz członkiem władz trójzaborowej Ligi Narodowej.

W „Kulturze i naturze” podkreślał konieczność dbania o przyrodę jako taką, nie tylko ze względu na jej użyteczność, a także pokazywał, że kultura i natura nie są sobie przeciwstawne. Starał się ze wszystkich sił o ochronę najwyższych polskich gór, będąc orędownikiem utworzenia w nich parku narodowego – sprzeciwiał się budowaniu np. kolejek na wysokie szczyty (czasem skutecznie, tak jak w przypadku Świnicy), gdzie niewyrobieni turyści nie będą w stanie skorzystać z uroków przyrody, lecz tylko będą zakłócać jej naturalne funkcjonowanie. I starał się popularyzować wiedzę o środowisku, czemu służyć miała Liga Ochrony Przyrody, której był współtwórcą. Także w Polsce mamy więc się do kogo odnosić.

Warto wczytać się w ich przestrogi, nawet jeśli nie są zawsze przekonujące – tak jak np. argumenty Scrutona, jeśli chodzi o walkę z przetrzucaniem na barki innych kosztów zanieczyszczenia środowiska w skali międzynarodowej. Tutaj trudno o wspólną ogólnoludzką ojkofilię, tym bardziej o to, by „małe plutony” potrafiły rozwiązać tego typu problemy. A jednak od czegoś trzeba zacząć. Choćby od wkomponowania troski o przyrodę w swój światopogląd.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji”.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

„Podatek” od blagierstwa

Rząd nie tylko ma prawo, bo to rzecz oczywista, lecz czasami – w wyjątkowych przypadkach – wręcz obowiązek nakładania nowych podatków i podwyższania wymiaru istniejących. Na przykład wtedy, gdy w grę wchodzi konieczność obrony państwa.

Prawo zwiększania obciążeń fiskalnych rząd ma – w ramach istniejącego porządku – w zasadzie w każdym przypadku. Trudno mu też odmawiać przywileju do podejmowania prób maskowania tych działań, tak jak ostatnio w przypadku podatku od paliw – pod nazwą „opłaty drogowej”.

Niech rząd jednak nie traktuje obywateli jak gamoniów! Niech raczy traktować ich poważnie i zamiast karmić bujdami o tym, że to nie oni zapłacą owe „opłaty” (te nowe lub stare, a podwyższone podatki), lecz jakiś mityczny „ktoś inny”; jakieś firmy, np. podatek bankowy – banki, a handlowy – sklepy czy jeszcze jacyś inni tajemniczy „oni”. Niech rząd traktuje obywateli poważnie i ma odwagę mówić im i mówi prawdę. A więc niech przyzna, że podatki, jak się by one nie nazywały, zawsze – mniej czy bardziej solidarnie – płacą obywatele. Raz jako płatnicy PIT czy VAT, innym razem jako klienci obłożonych podatkami firm. Tymczasem podczas wycofywania się z „opłaty drogowej” znowu usłyszałem z ust liderów PiS, że będą oni „szukać innych metod na zgromadzenie środków potrzebnych na budowę dróg”, okraszone zapewnieniem: „Na

pewno nie będziemy sięgać do kieszeni obywateli”. Czyli kto zapłaci za nasze drogi? Marsjanie?

Od lat słuchając rządzących nami polityków, którym przychodzi stawać w obronie podwyższenia podatku lub narzucenia nowego – ostatnio nieszczęsnej „opłaty drogowej” – mam nieodparte wrażenie, że starają się robić z tata wariata. Jak niedawno ci sami politycy PiS przy promowaniu podatków bankowego i handlowego, a wkrótce, niewykluczone – „opłaty energetycznej”, „opłaty recyklingowej” itd., czy wcześniej politycy Platformy i PSL przy windowaniu VAT z 22 do 23 proc. i dewastowaniu OFE. Rzecz jasna – i do tego mają prawo, choć wydaje mi się, że niewielu z nich zdaje sobie sprawę, iż „podatek” od blagierstwa w sprawie zwiększania podatków (i w każdej innej), który przychodzi im płacić w oczach obywateli, jest znacznie wyższy od samego – płaconego przez nich „podatku” od windowania danin i narzucania nowych. Inaczej mówiąc: wyszłoby im „taniej”, gdyby robili to bez kręcenia – z podniesioną przyłbicą.

Bo chyba politycy nie sądzą, że ich wyborcy są aż tak odmienni od nich samych i lubią, gdy inni ludzie (w tym politycy) – mówiąc oględnie – mydlą im oczy? No, chyba że to oni – politycy – aż tak bardzo różnią się od nas i lubią to, czego my nie znosimy. W każdym razie politycy powinni się liczyć z tym, że ów „podatek” od blagi może być tak wysoki, że właśnie z jego powodu owe gamonie kiedyś zwolnią ich z pracy. ©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Czerskawica

Samowola układu zrodzonego na słojach okragłego mebla dobiega końca. Demokratycznie wybrany Sejm Rzeczypospolitej wkrótce wprowadzi nowe prawo, które będzie chroniło pospólstwo, odbierze przywileje układowiczom i ograniczy wpływy magnaterii. Gołota opłacana przez układowiczów już nie będzie na ich posyłki, lecz będzie służyła interesom Rzeczypospolitej. Król wkrótce owo prawo podpisze. Rzeczypospolita rozwija się prężnie, a pełna kasa publiczna pozwala na wspieranie pospólstwa, które jeszcze nigdy nie było w tak dobrych nastrojach.

Jednakże magnateria i układowicze nie składają bronii. Zawiazali tajne porozumienie, czerskawicę, i zwrócili się do władców Brabancji o interwencję, ażeby zatrzymać nadchodzące dobre zmiany. Bijąc pokłony, całując obce tyłki i sygnety, błagają o interwencję, o obalenie demokratycznie wybranych władz Rzeczypospolitej. Uczynią wszystko, zaprzędadzą ojczyznę w imię zachowania przywilejów.

Pospólstwo widzi dobre zmiany, popiera króla i demokratycznie wybrane władze. Głosów pospólstwa już się nie da kupić za kilka srebrników, pozostaje tylko interwencja obcego mocarstwa. Czerskawiczanie wiedzą, że Brabancja ma przemożne armie prawników i ogrom talarów, mają nadzieję, że powtórzą zakręt historii Rzeczypospolitej, że zawrócą zmiany ograniczające ich przywileje i samowolę. W jedwabnych pościelach śnią

o tym, że dalej będą mogli gnębić pospólstwo kłamstwami swoich medialnych ukazów, zajaść przednie suropiekie, czerninę i popijać okowitą i napawać się cierpieniem pospólstwa poddawanego chłóście według ich kaprysu, skazanego na głodowe racje i ponure czworaki.

Plan jest prosty. Stworzyć wrażenie, że Rzeczypospolita anarchią stoi, wezwać armie prawników Brabancji i za ichnie talary obalić demokratycznie wybrany Sejm i prawowitego króla. Cóż można uczynić, aby czerskawica nie doprowadziła do takiej katastrofy jak jej historyczna poprzedniczka, gdy Rzeczypospolita została najechana przez sąsiadów i na ponad 100 lat zniknęła z mapy świata. Trzeba budować wspólnotę pospólstwa wokół wartości narodowych, kultury i tradycji wielkiej Rzeczypospolitej. Trzeba, aby coraz liczniejsze pokolenia młodych Polaków patriotów były wychowywane w wolności od tyranii układu i w miłości do ojczyzny. A niechaj narodo- wie wżdy postronni znają, iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają, a nie plwociny Brabancji. Trzeba, aby coraz liczniejsze firmy Rzeczypospolitej, wspierane przez demokratycznie wybrane władze ojczyzny, rozwijały się prężnie i stanęły u bram Brabancji.

Rzeczypospolita znowu stoi na zakręcie historii. Obyśmy tym razem czynili dobro i służyli ojczyźnie, a nie obcym mecenatom. A pospólstwo niechaj patrzy i wyciąga wnioski. ©

Autorem jest rektorem Narxoz University w Alma Acie w Kazachstanie.

TEST „DO RZECZY”: DELL LATITUDE 5289

Wysoka wydajność, dobra klawiatura i znakomita bateria, dzięki której na jednym ładowaniu komputer może pracować nawet ponad 10 godzin – to największe zalety nowego biznesowego ultrabooka firmy Dell.

Model Latitude 5289 to laptop typu dwa w jednym. Dotykowy ekran sprawia, że po odchyleniu ekranu o 360 stopni ultrabook przemienia się w tablet. Komputer możemy też ustawić niczym namiot, co ułatwia np. oglądanie filmów nie tylko podczas wakacyjnych wyjazdów na kemping.

Solidnie wykonany ma niewielkie wymiary. Bez problemu można przenosić go w plecaku czy aktówce, zwłaszcza że Dell chwali się, iż ten model powinien być bardziej odporny na kurz, ekstremalne temperatury czy różnego rodzaju wstrząsy. Testowany ultrabook waży 1,34 kg i to niezależnie od tego, czy używamy go jak tradycyjnego laptopa czy też jako tablet, ponieważ w tym modelu nie ma możliwości odłączenia klawiatury. Sama klawiatura zasługuje na pochwałę. Mimo że jest nieco mniejsza od standardowej, jest bardzo wygodna w użyciu i podświetlana (dwustopniowo). Trochę gorzej spisuje się touchpad, który mógłby zważniej reagować na dotyk. Na szczęście przy dotykowym ekranie nie jest to wielki problem.

Olbrymim plusem testowanego ultrabooka jest wysoka wydajność – pod „maską” tego laptopa zainstalowano 8 GB pamięci RAM, nowoczesny procesor Intel Core i5, a także szybki dysk SSD. Przy intensywnym wykorzystywaniu ultrabook nieco się nagrzewa, ale nie na tyle, aby przeszkadzało to w pracy.

Wyświetlacz o wielkości 12,5 cala i rozdzielczości Full HD został zabezpieczony taflą szkła Corning Gorilla Glass 4. Matowa matryca oferuje dobrej jakości ostry obraz, mimo że wyświetlane kolory mogłyby być nieco bardziej żywe. Przydałaby się też nieco lepsza maksymalna jasność, ale nie ma powodu do narzekania. Wbudowane głośniczki zapewniają przyzwoitej jakości dźwięk, chociaż na potężne basy nie ma co liczyć. Potrafią jednak grać wystarczająco głośno, aby rozkręcić przy nich małą biurową imprezę.

Kamera o rozdzielczości 720p jest wystarczająco dobra, aby za jej pomocą prowadzić konferencje poprzez Skype'a. Dzięki opcjonalnej kamerze na podczerwień umożliwia ona

również logowanie się do komputera przy wykorzystaniu technologii rozpoznawania twarzy.

Zaletą tego modelu ultrabooka jest duża liczba dostępnych portów. W ultrabooku Della znajdziemy więc m.in. dwa porty USB typu C, dwa porty USB 3.0, a także wejście HDMI oraz czytnik kart microSD. Brakuje jedynie portu Thunderbolt 3.

Dell Latitude 5289 jest więc godny polecenia tym użytkownikom, którzy najczęściej potrzebują wydajnego, solidnego biznesowego ultrabooka, a z funkcji tabletu korzystają sporadycznie po powrocie z pracy lub podczas wakacyjnych wojaży, np. do oglądania filmów lub surfowania po Internecie.

Cena: ok. 7 tys. zł © Jacek Przybylski



SIEDŹ I CHUDNIJ

W zasadzie wystarczy posiedzieć, by stracić na wadze. I nie, nie zachęcam tu, by złamać prawo i wpaść w ręce prokuratorów Zbigniewa Ziobry, choć nie ulega wątpliwości, że odsiadka w areszcie i stres z tym związany mogą mocno odchudzić. Dbającym o linię poleciłbym jednak raczej SitTight, czyli aktywnie wyszczuplający fotel. Niebujany i wcale nie bujamy. Produkt, przez projektantów zbierających fundusze na Kickstarterze określany mianem Balance Active Sitting Chair, to krzesło – czy też – jak kto woli – „fotel biurowy”, którego najważniejsze części to podstawa przypominająca dysk oraz stabilny, choć wyginający się pręt łączący ją z siedziskiem. Samo siedzisko również jest częściowo ruchome. Całe urządzenie, uwzględniając balans

ciałem podczas siedzenia, delikatnie wygina się wraz z pracą tułowia. Efekt? Dając stabilną podstawę (choć bez oparcia), pozwala na gimnastykowanie podczas pracy przy biurku sporych partii mięśni – zwłaszcza ud i brzucha. Projektant Scott Bahnerman, który przez wiele lat wykonywał siedzącą pracę w jednej z korporacji, przekonuje też, że urządzenie pozwala na ochronę

kręgosłupa przed zwyrodnieniami często towarzyszącymi pracy przy biurku. Na razie zbiera środki na uruchomienie produkcji, a modele w przedsprzedaży można zamawiać na Kickstarterze za ok. 1,5 tys. zł.

KIESZONKOWY KOMPUTEREK

Urządzenie ciekawe, poręczne, przydatne. Czy jednak odniesie sukces na rynku w erze smartfonów z wielkim ekranem i dostępem do szybkiego Internetu, to kwestia mocno dyskusyjna. Mowa o kieszonkowym komputerku – bo trudno urządzenie nazwać inaczej – czyli Noodle Pi, którego konstruktorzy zaczęli niedawno zbiórki na Kickstarterze, by urządzenie wprowadzić do sprzedaży. Noodle Pi opiera się na mechanizmie popularnego wcześniej komputera Raspberry Pi i systemie Linux pozwalającym na sprawną pracę. Urządzenie, które można połączyć z laptopem lub komputerem stacjonarnym za pomocą Bluetooth lub Wi-Fi, wyposażone jest także w 3,5-calowy dotykowy ekran i kamerę pozwalającą na robienie zdjęć w jakości 8 Mpx oraz baterię 500 mAh pozwalającą na kilka godzin pracy. W cenie ok. 133 zł, po złożeniu zamówienia na profilu startupowym produktu, otrzymujemy wydrukowaną w technologii 3D oprawę urządzenia oraz kilka podzespołów niezbędnych do samodzielnego złożenia komputerka.



© Wojciech Wybranowski



Maciej Pieczyński

Tytan pracy, ambitny wojownik, który od dziecka z pokorą szedł po sukces. Tenis jest miłością Łukasza Kubota na korcie i poza nim. Razem z Katarzyną Piter tworzą jedną z gorących par polskiego sportu

Łukasz Kubot to najlepszy deblista świata – nie miał wątpliwości Wojciech Fibak. Najwybitniejszy dotychczas polski tenisista w historii już teraz w pewnym sensie musi uznać wyższość młodszego kolegi. Biorąc pod uwagę sukcesy w turniejach Wielkiego Szlema, nie można już Kubota nazywać „vice-Fibakiem”. Obaj mają na półkach puchary za zwycięstwo w Australian Open. Jednak to Łukasz Kubot, jako pierwszy Polak w historii, wygrał najstarszy i najbardziej prestiżowy turniej wielkoszlemowy, jakim jest Wimbledon. Zasłużył tym samym na miano „pierwszej rakiety” polskiego tenisa. Wojciech Fibak mógł na żywo obserwować, jak jego młodszy kolega przechodzi do legendy. Dla Łukasza jest mentorem. Oczywiście pamiętać przy tym trzeba, że do sukcesu w deblu potrzeba dwóch rakiet. Para Łukasz Kubot – Brazylijczyk Marcelo Melo od początku Wimbledonu wymieniana była w gronie faworytów. „Czasy się zmieniły i nastąpiła specjalizacja – jest jasny podział na singlistów i deblistów. Łukasz świetnie zrobił, stawiając na debla – komentował Wojciech Fibak w rozmowie z portalem Sportowe Fakty. – Najlepiej kryje kort, ma technikę wyniesioną z singla. Jest kompletnym tenisistą”. W finale Kubot i Melo pokonali Chorwata Mate Pavicia oraz Austriaka Olivera Maracha. Co ciekawe, ten ostatni grał wcześniej w parze z Polakiem. Wspólnie wygrali pięć prestiżowych turniejów. Łukasz Kubot był nawet świadkiem na ślubie Austriaka. Jeszcze przed finałem Oliver Marach mówił o swoich przeciwnikach, że to „najlepsza para deblowa na świecie”. Okazało się, że to nie była tylko kurtuazja wobec przyjaciela z dawniej tej samej, a obecnie z przeciwnej strony kortu. Kubot i Melo zdobyli nie tylko puchar Wimbledonu, wielką sławę i miejsce w historii, lecz

Od trzech lat Łukasz Kubot spotyka się z Katarzyną Piter FOT. WOJCIECH KUBIK/EAST NEWS



Wimbledon zdobyty

także 400 tys. funtów do podziału. Te wszystkie sukcesy mieli okazję świętować podczas tradycyjnie organizowanej dla triumfatorów, równie prestiżowej co sam turniej, kolacji mistrzów.

PRACA I SKROMNOŚĆ

Finał miał dramatyczny przebieg. Komentatorzy są zgodni: to był horror. Pod koniec piątego seta, gdy już robiło się ciemno, mecz przerwano, żeby zasunąć dach na kortem. Ostatecznie po wyczerpującej walce z wymagającymi rywalami Kubot mógł odtąńczyć zwycięskiego kankana. Tym razem to był taniec z wyjątkową dedykacją. „Musiałem, ten kankan był dla mojej mamy. Nie było jej na trybunach, bo za bardzo przeżywała moje mecze, ale oglądała go w domu” – przyznał Łukasz Kubot w wywiadzie dla Interii. Pomysł, by w taki właśnie, charakterystyczny sposób celebrować sukcesy, pojawił się przypadkiem siedem lat temu. Podczas wymyślania ćwiczeń na jednym z treningów Łukasz zaczął wysoko podnosić nogi. „Jak wygrasz swój pierwszy mecz na wielkim korcie, to masz tak zatańczyć” – miał rzucić w żartach trener od przygotowania fizycznego. Później kankan stał się tradycją. Kubot przyznał, że trochę wstydzi się tańczyć na korcie. Z drugiej jednak strony stara się tanecznym krokiem pokazywać młodemu kibicom, że tenis to nie tylko praca i pieniądze, lecz także dobra zabawa. Łukasz często, mówiąc o „sporcie zawodowym”, stara się akcentować to, co ostatnio odchodzi na dalszy plan, czyli „sport”. Ojciec triumfatora Wimbledonu stwierdził kiedyś, że tenis od najmłodszych lat był dla jego syna religią. Tak jak geniusz południowoamerykańskich piłkarzy rodzi się zazwyczaj w dzieciństwie, z niepoprawnej i niepohamowanej radości zabawy z futbolówką, tak zapewne nie byłoby sukcesów Kubota bez frajdy, z jaką zaczynał przygodę z tenisem, jeszcze przed 10. rokiem życia. Przy czym na kort nie został, tak jak wielu rówieśników, zaciągnięty za uszy przez rodziców, by spełniać ich ambicje zamiast swoich. Kilkuletni Łukasz sam, z własnej woli, wstawał codziennie o godz. 5.45 rano, by zdążyć przed lekcjami na trening. Dojeżdżał rowerem do jedynej w jego rodzinnym Lubinie hali tenisowej. Ciężka praca na treningach szybko zaowocowała. Gdy miał 16 lat, o jego rodzającym się geniuszu usłyszała cała Polska. Łukasz Kubot został młodzieżowym mistrzem

kraju. Od tamtej pory kariera potoczyła się już szybko. Młodego polskiego tenisistę dostrzegli amerykańscy łowcy talentów. Łukasz Kubot wyjechał na stypendium do Stanów Zjednoczonych. Trenował w renomowanej akademii Johna Newcombe’a, mającej opinię jednej z najlepszych szkół tenisa na świecie. Nic zatem dziwnego, że właśnie za oceanem ambitny Polak podjąć miał decyzję o tym, żeby zająć się tym sportem na poważnie i zawodowo. Paradoksalnie pomogła w tym... piłka nożna. Andrzej Szarmach, napastnik trzeciej drużyny świata, słynnej reprezentacji Kazimierza Górskiego, pożyczył zaprzyjaźnionej rodzinie Kubotów pieniądze na wyjazd do prestiżowej akademii.

Jedną z firmowych cech Łukasza, nietypową wśród przebojowych sportowców z pierwszych stron kolorowych czasopism, jest skromność. Być może

Tym razem to był taniec z wyjątkową dedykacją.

„Musiałem, ten kankan był dla mojej mamy. Nie było jej na trybunach, bo za bardzo przeżywała moje mecze”

wrodzona, być może nabyta wraz z pokorą podczas trudnej i wyboistej drogi na szczyt. Tak czy inaczej Łukasz często podkreśla, że nie uważa się za wybitnie utalentowanego tenisistę. I to niekonięcznie kokieteria. Kubot to przede wszystkim tytan pracy, żywy dowód na to, że mistrza czyni nie tyle błysk talentu, ile trening. „Jeśli mówimy o talencie jako o łatwości, z jaką przychodzi uczenie się kolejnych rzeczy, to rzeczywiście Łukasz talentu nie ma – stwierdził w rozmowie z „Newsweekiem” Wojciech Andrzejewski z Polskiego Związku Tenisowego. – Ma za to niesamowity talent do pracy, a to nie mniej ważna umiejętność”. W zgodnej opinii komentatorów sportowych Łukasz Kubot jest na korcie prawdziwym wojownikiem, perfekcjonistą w każdym calu, ma w sobie gen zwycięstwa.

MIŁOŚĆ DO TENISA...

A przecież mógł zostać piłkarzem, tak jak jego ojciec, obecnie trener Zawiszy Bydgoszcz. Rozwagał nawet kontynu-

ację rodzinnej tradycji. Jednak w Lubinie do szkółki piłkarskiej przyjmowano od 10. roku życia. A w tym wieku Łukasz Kubot już od dwóch lat był zakochany w tenisie.

... I TENISISTKI

Miłość do tenisa w życiu „najlepszego deblisty na świecie” ma dziś wymiar nie tylko sportowy. Od trzech lat Łukasz Kubot spotyka się z Katarzyną Piter. 26-letnia tenisistka z Poznania nie jest jeszcze tak rozpoznawalna jak jej 35-letni partner, ale powoli zbliża się do światowej czołówki kobiecego tenisa. Katarzyna, inaczej niż Łukasz, w sporcie poszła w rodzinne ślady. „Od najmłodszych lat grałam dla zabawy z moim młodszym bratem” – opowiadała w wywiadzie dla branżowego portalu Tenis.net. Piękno „białego sportu” pokazał jej ojciec. „To on mnie do niego wprowadził i nauczył wszystkiego, co dzisiaj potrafię” – wyznała. Dariusz Piter, ojciec tenisistki, był wyczynowym sportowcem, uprawiał skok w dal. Po zakończeniu kariery hobbystycznie zajął się tenisem. Zawodową karierę w tym sporcie ma już za sobą wspomniany brat Katarzyny, Kuba. Po tym, jak odwiesił rakietę na kołku, zajął się trenowaniem utalentowanej siostry. Podróżuje z nią na każdy turniej, jest jej „szkoleniowcem na pełny etat”. Katarzyna bardzo ciepło mówi zresztą o swojej rodzinie: „Kiedyś trenerem był mój ojciec, później zajął się tym mój brat. Razem tworzymy świetny, zgrany zespół. Cała moja rodzina jest zawsze ze mną i to właśnie oni są moimi największymi kibicami”.

Wcześniej Kubot spotykał się ze Słowaczką Evą Stannikovą. Po rozstaniu zapowiedział, że teraz zamierza skupić się wyłącznie na tenisie. I w zasadzie dotrzymał słowa, skoro miłość swojego życia poznał właśnie na korcie. Łukasz i Kasia stronili od paparazzich. Przez długi czas media nie rozpisywały się na temat ich związku. W końcu jednak fotoreporterom udało się uchwycić namiętny pocałunek, jakim Kasia pogratulowała swojemu chłopakowi zwycięstwa w jednym z meczów Pucharu Davisa. To nie jest jedyna gorąca para w polskim tenisie. Na korcie poznali się też m.in. Urszula Radwańska i Piotr Gadomski, Paula Kania i Błażej Koniusz, Marta Domachowska i Jerzy Janowicz, Agnieszka Radwańska i Dawid Celt.

Tykająca bomba



Katarzyna Pinkosz

Jeszcze niedawno skuteczności leczenia WZW typu C zazdrościł nam świat: w Polsce były dostępne wszystkie nowoczesne leki. Wkrótce to się może zmienić, bo NFZ chce wybrać „jedynie słuszną” terapię

Wirusowe zapalenie wątroby typu C rozwija się latami. Wirus obecny w organizmie systematycznie niszczy wątrobę, prowadząc do marskości i nowotworu. Ta „tykająca bomba” przez wiele lat nie daje o sobie znać. Dlatego spośród ok. 150–200 tys. osób zakażonych wirusem HCV w Polsce zaledwie 20 proc. o tym wie. – Z moich obliczeń wynika, że ok. 15 tys. wie o zakażeniu i czeka w kolejce na leczenie, a kolejnych 15 tys. prawdopodobnie kiedyś miało wynik dodatni, ale nie wie, że leczenie jest konieczne – mówi prof. Robert Flisiak, kierownik Kliniki Chorób Zakaźnych i Hepatologii UM w Białymstoku.

Chory przez wiele lat nie odczuwa dolegliwości wątroby ani brzucha – gdy pojawiają się objawy, choroba jest już mocno zaawansowana. Jedynym sposobem wcześniejszego zdiagnozowania jest wykonanie prostego badania obecności przeciwciał anti-HCV we krwi. Jeśli jego wynik będzie dodatni, to konieczna jest dalsza diagnostyka, by potwierdzić, czy choroba się rozwija. – Badanie powinien wykonać każdy, kto jest w grupie ryzyka, czyli miał kiedykolwiek przetaczaną krew lub przyjmował preparaty krwiopochodne (zwłaszcza przed 1992 r., kiedy został odkryty wirus HCV), miał wykonywaną operację, był często w szpitalu, nawet raz „spróbował”

narkotyków dożylnych. Zakażyć się można jednak nawet u dentysty czy kosmetyczki, wszędzie, gdzie może dojść do przerywania ciągłości skóry lub błony śluzowej – przypomina prof. Flisiak. – Do ponad 90 proc. zakażeń doszło jednak w placówkach służby zdrowia – dodaje Barbara Pepke, prezes fundacji Gwiazda Nadziei.

Nie wolno czekać z leczeniem zakażenia, aż rozwine się marskość wątroby, gdy często jedynym ratunkiem jest jej przeszczep – jeden z najbardziej trudnych i kosztownych zabiegów medycznych. Nie każdy może zostać do niego zakwalifikowany i nie każdy doczeka do przeszczepu. Poza tym wirus HCV ma też potwierdzone działanie onkogenne, a leczenie nowotworu wątroby jest wyjątkowo trudne. Z jego powodu zmarł kilka lat temu aktor Maciej Kozłowski.

POLSKI CUD

Przez wiele lat leczenie zakażenia HCV było trudne, uciążliwe dla pacjenta, a często nie dawało efektów. Dwa lata temu pojawiły się w Polsce pierwsze leki nowej generacji, które okazały się rewelacją: ich skuteczność wynosi 98–99 proc. w leczeniu zakażenia genotypem 1B wirusa HCV (ten genotyp ma 85 proc. pacjentów w Polsce). Zwykle

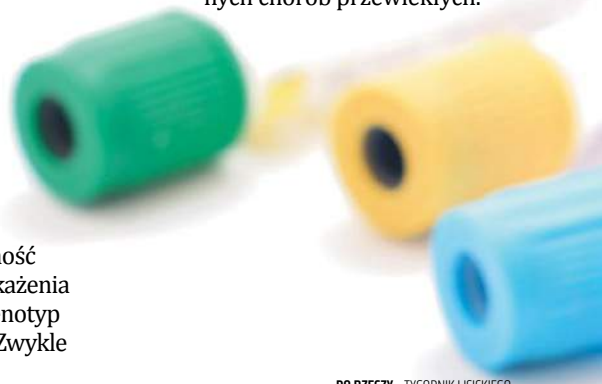
w Polsce latami czeka się na nowoczesne terapie, a tu stał się cud: byliśmy jednym z pierwszych krajów w Europie, który je wprowadził. Ministerstwo Zdrowia doceniło skuteczność nowych leków. – Cały świat zazdrościł nam tak rozsądnego programu leczenia, chwaliliśmy się nim na konferencjach. Poza tym ministerstwo wykorzystywało konkurencję między producentami i świetnie negocjowało ceny: w efekcie są one w Polsce jednymi z najtańszych lub nawet najtańsze w Europie. Gdy pojawiał się nowy preparat, firma go rejestrowała, a potem negocjowała cenę z ministerstwem, co powodowało kolejne obniżki – dodaje prof. Flisiak.

Eksperci chwalili też ministerstwo za systematyczne zwiększanie ilości przeznaczonych na ten cel pieniędzy, dzięki czemu coraz więcej osób mogło dostać terapię. Co prawda w wielu ośrodkach na leczenie trzeba czekać, ponieważ pierwszeństwo mają chorzy z zaawansowaną chorobą, ale są też kliniki, w których leczenie można rozpocząć niemal od razu.

PSEUDOOSZCZĘDNOŚCI

Ten cudowny czas wkrótce może się skończyć. W czerwcu pojawiło się rozporządzenie NFZ, zgodnie z którym zakup leków na WZW typu C ma się odbywać w drodze ogólnopolskiego przetargu. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie to, że NFZ ma wybrać „optymalną terapię”, która ma trafić do 80 proc. leczonych. Inne leki (dziś można wybierać spośród czterech terapii, a mogą pojawiać się kolejne) będą mogły być zakupione tylko dla 20 proc. chorych.

Zaprotestowała przeciw temu Polska Grupa Ekspertów HCV. Eksperci tłumaczą, że każdy lek, oprócz tego, że niszczy wirusa, różni się budową chemiczną, aktywnością i mechanizmem działania, a także interakcjami z innymi lekami, które pacjenci często przyjmują np. z powodu cukrzycy, nadciśnienia czy innych poważnych chorób przewlekłych.



– Za każdym razem dobieram dla chorego terapię, która nie będzie powodować skutków ubocznych i wchodzić w interakcje z innymi lekami. Dzięki temu w moim ośrodku skuteczność leczenia wynosi dziś 99 proc. – mówi prof. Flisiak.

Złe dobrana terapia może spowodować, że leczenie trzeba będzie przerwać z powodu działań niepożądanych. – To nie są reakcje typu wysypka, objawy niepożądane bywają bardzo poważne. Zdarzały się nawet zgony po zastosowaniu niewłaściwej terapii, gdy np. chory miał chorobę nerek – mówi Barbara Pepke. – Jeden z leków w tym przypadku jest wręcz przeciwwskazany – dodaje.

Co prawda lekarze będą mogli w szczególnych sytuacjach odstąpić od „najlepszej terapii”, jednak zgodnie z propozycją NFZ tak mogłoby być leczone tylko 20 proc. chorych. – To za mało. Część ciężko chorych będzie musiała czekać do następnego roku, bo skończy się nam limit. Oczywiście będę mógł na siłę zastosować „najlepszą terapię”, ale może to spowodować działania uboczne, w efekcie których trzeba będzie przerwać leczenie – ostrzega prof. Flisiak.

Andrzej Jacyna, p.o. prezes NFZ, pomyśl przetargu centralnego tłumaczy tym, że cena leków jeszcze bardziej spadnie i będzie można leczyć więcej chorych. Eksperci przypominają jednak, że jeśli pacjent będzie musiał zrezygnować z leczenia z powodu skutków ubocznych albo nieskuteczności terapii, to wydane na nią pieniądze będą wyrzucone w błoto. Nieskuteczny lek może też spowodować pojawienie się opornych szczepów wirusa. Dla takich chorych dziś nie byłoby już żadnego leczenia, co dla wielu oznaczałoby dalszy rozwój choroby i zagrożenie śmiercią. Profesora Flisiaka niepokoi też to, że w wyniku przetargu mogłaby zostać wybrana terapia najtańsza, której nie stosuje się już na świecie, gdyż jest mniej skuteczna.

– Po co psuć system, który tak dobrze funkcjonował? Kto zasugerował dopuszczenie możliwości wyboru suboptymalnej terapii? Czy kogoś się poradzono? Bo na pewno nie pytano Polskiej Grupy Ekspertów HCV, Polskiego Towarzystwa Hepatologicznego oraz Polskiego Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych – oburza się prof. Flisiak.

Przeciw zmianom protestują też pacjenci. – Zarządzenie NFZ odbiera pacjentom i lekarzom możliwość wyboru optymalnej terapii – mówi Barbara Pepke. Tworzy się absurd: to nie lekarze, tylko urzędnicy będą decydować, którą terapię zastosować wobec pacjentów. – Przecież często są to osoby ciężko chore, z niewydolnością nerek, przed przeszczepem wątroby albo po nim. Nie można na nich eksperymentować – oburza się

Barbara Pepke. Ona sama wśród swoich znajomych ma wielu, którzy zmarli z powodu WZW typu C. – To są osoby skrzywdzone przez system ochrony zdrowia, prawie wszyscy zostali zakażeni w placówkach szpitalnych. A system nie chce za to ponieść odpowiedzialności nawet w ten sposób, że teraz zapewni im odpowiednią opiekę – dodaje.

HCV to tykająca bomba wywołująca nie tylko marskość i raka wątroby, lecz także ryzyko stygmatyzacji. Chorzy zwykle boją się przyznać do zakażenia, obawiając się zwolnienia i nieprzyjemności w pracy czy ograniczenia kontaktów towarzyskich. Chociaż nie można zakazać się w zwykłych, codziennych sytuacjach, np. przez podanie ręki, wspólne zjedzenie posiłku czy pocałunek, to wiedza w społeczeństwie na ten temat jest niewielka. Także dlatego chorzy chcieliby pozbyć się wirusa i móc żyć tak jak inni.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone





Piotr Semka

Claude Monet urodził się co prawda w Paryżu, ale gdy miał pięć lat, jego rodzice przenieśli się w okolice Hawru w Normandii. Do końca życia będzie próbował oddać piękno tej północnej krainy Francji na swoich obrazach

To tu nauczył się malarstwa i pod wpływem swojego pierwszego mistrza – Eugène’a Boudina – malował niemal wyłącznie na świeżym powietrzu, a nie w czterech ścianach pracowni malarskich. Proste piękno rozkwieconych normandzkich łąk, lasów, nadmorskich klifów i plaży było dla niego niewyczerpanym źródłem inspiracji. A spełnieniem marzeń o pięknie będzie w drugiej połowie życia stworzony przez Claude’a Moneta ogród i park w Giverny.

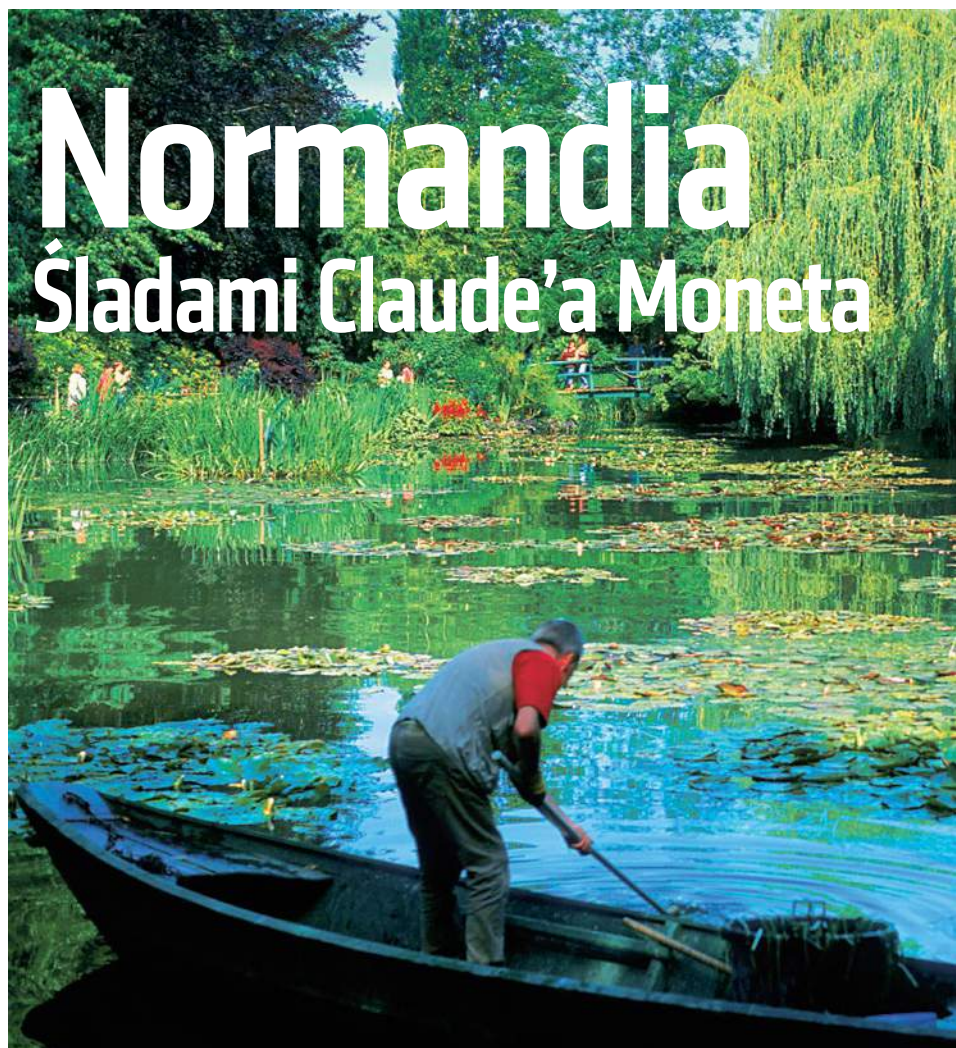
Dlatego podróż po Normandii śladem mistrza impresjonizmu zaczynamy od tego rajskiego miejsca na ziemi.

Niewielka miejscowość Giverny znajduje się ok. 75 km na południowy wschód od Rouen – stolicy Normandii. Najłatwiej dojechać tu samochodem, ale można też dotrzeć do stacji kolejowej Vernon i stąd złapać autobus do Giverny.

Posiadłość muzeum nazywa się oficjalnie Fondation Claude Monet (84 rue Claude Monet, otwarta jest codziennie od godz. 9.30 do 18) i leży w sercu miasteczka. Twórca kupił ją po śmierci swojej żony w nadziei na ukojenie bólu poprzez kontemplowanie natury i szukanie pociechy w malowaniu.

Giverny leży w części Normandii nazywanej Eure, krainie całkiem wysokich pagórków, licznych rzek i rzeczułek. Dzięki sławie, którą osiągnął w latach 80., oraz popytowi na jego dzieła, Monet mógł sobie pozwolić na zakup tego sporego majątku i skupić się na drobiazgowym komponowaniu architektury ogrodu. Gatunki kwiatów dobierał tak, aby przez kolejne trzy pory roku – wiosnę, lato i wczesną jesień – ogród zmieniał kolory.

1 Zwiedzanie zaczynamy od domu 1. malarza pełnego modnych w końcu XIX w. drzeworytów japoń-



skich, potem możemy obejrzeć studio artysty i wreszcie to, co najpiękniejsze – ogród posiadłości. Do słynnego parku wodnego musimy przejść krótkim podziemnym tunelem, gdyż niestety posiadłość przecięła ruchliwa droga.

W parku znajduje się urządzony staw ze słynnymi z obrazów Moneta kaczęćkami, otoczony różnymi gatunkami drzew. Nad wodą jest przerzucony orientalny mostek. Tak brzmi suchy opis. A rzeczywistość?

Tylko kilka razy w życiu miałem ten kłopot – jak oddać w słowach coś, co jest niewiarygodną kompozycją mieniących się w słońcu barw? To po prostu trzeba obejrzeć. Aby uniknąć tłumów, warto zadać sobie trud i przed kasą muzeum pojawić się już o godz. 8.30 rano, tak aby kupić bilet jako jeden z pierwszych zwiedzających oraz nasycić oczy ogrodem i parkiem póki jest pusto.

2 Około 700 m od ogrodu znajduje się Muzeum Impresjonizmów w Giverny (99 rue Claude Monet, otwarte cały tydzień w godz. 10–18). Nieprzypadkowo nazwa muzeum mówi o impresjonizmach, bo pod tym hasłem rozumie się bardzo wiele różnych nurtów tego gatunku.

Muzeum założył Daniel J. Terra, amerykański milioner i kolekcjoner dzieł sztuki, który zbierał dzieła impresjonistów amerykańskich, odwiedzających w XIX i na początku XX w. Francję i Moneta. Potem kolekcja wzbogaciła się o malarzy francuskich i w końcu opiekę nad placówką objęły władze francuskie, z uszanowaniem praw spadkobierców Daniela J. Terry’ego. W kolekcji są też obrazy Claude’a Moneta, które przekazali jego potomkowie, choć to nie on jest głównym bohaterem muzeum, a malarze zza oceanu i szerzej – twórcy – także fotograficy zainspirowani Monetem.



W parku w Giverny znajduje się staw ze słynnymi z obrazów Moneta kaczęćkami
FOT. ALAMY/BEGW



3. Z Giverny udajemy się do Rouen. Jednym z arcydzieł Moneta był cykl obrazów fasady katedry Notre Dame w stolicy Normandii o różnych porach dnia. Zaopatrzenie się w album arcydzieł Moneta z reprodukcjami cyklu i zajrzyście pod świątynię (adres: place de Cathedral), by w paru różnych porach dnia zobaczyć, jak malarz mistrzowsko uchwycił zmiany barw światła.

4. A skoro już jesteśmy w Rouen, zajrzyjmy do Musée des Beaux-Arts (26 bis, rue Jean Lecanuet, czynne w godz. 10–18), gdzie także znajdziemy mnóstwo dzieł impresjonistów. Monetowi poświęcone są trzy sale: nr 26, 27 i 28.

5. Po tak żmudnym zwiedzaniu należy się nam nieco orzeźwienia. Najlepiej w Trouville-sur-Mer – ulubionym kąpielisku Claude’a Moneta. A może kupicie sobie akwarelki oraz szkicownik i sami spróbujecie oddać barwy plaż nad kanałem La Manche?



Claude Monet (1840–1926), jeden z największych impresjonistów francuskich, urodził się w Paryżu, ale dzieciństwo spędził w normandzkim Hawrze. Wiosną 1863 r. wszedł w skład kolonii malarskiej w podparyskiej miejscowości, która zrewolucjonizowała gatunek pejzażu. Tutaj poznał Auguste’a Renoira, z którym połączyła go przyjaźń na całe życie i który miał wpływ na jego ewolucję artystyczną. Kolejnym impulsem twórczym była wizyta w 1870 r. w Wielkiej Brytanii, gdzie Monet odkrył styl Josepha Mallorda Williama Turnera. Od lat 80. XIX w. jego płótna zaczynają z wolna zdobywać uznanie i wysokie ceny. „Geniusz koloru z Giverny” umrze w 1926 r. jako jeden z najsłynniejszych twórców francuskiego malarstwa. ©

Coś na ząb – po normandzku

W samym Giverny lepiej nic nie jeść. Tutejsze knajpy nastawione są na turystów i nie serwują niczego specjalnego. O wiele lepszym pomysłem są wizyty w którymś z supermarketów przed przyjazdem do miasteczka i zakupy na piknik. Weźmy bagietki, dobre wiejskie masła, parę rodzajów normandzkich serów, tutejszą kiełbasę andouillette (niech was nie zniechęci jej specyficzny zapach), butelkę normandzkiego cydru z jabłek lub – jak kto woli – gruszek i wreszcie słodką normandzką tartę.

Wierzcie, że taki lunch w cieniu drzew chroniących od słońca zapamiętacie potem do końca życia. Na dodatek wiele najlepszych normandzkich serów źle znosi transport i można je zjeść tylko tutaj, gdzie w mleczarstwie nie panuje jeszcze kult chemii i konserwantów.

Kupcie talerzyki, plastikowe sztucce i także kubki oraz weźcie ze sobą obrus do położenia na soczystą normandzką trawę.

Na obrzeżach Giverny znajdziecie na pewno jakieś miejsce na taki wiejski piknik. Monet, który ukochał Normandię, pewnie sam jadł tak na swych malarskich plenerach. ©



JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Kotlet z sokiem poproszę

Kiedy po raz pierwszy pojawia się popularny dziś w każdym domu kotlet schabowy?

W „Kucharzu doskonałym” Wojciecha Wielądka z 1786 r. mamy już wprawdzie przepis na „kotlety wieprzowe z zaprawą”, jednak są to po prostu gotowane w bulionie kawałki wieprzowiny, które potem dusi się w rondelku z dodatkiem wina, a dopiero na końcu... przyrumienia łopatką, czyli tzw. szpatelą rozgrzaną w ogniu, przykładaną bezpośrednio do mięsa. Pierwsze bliskie schabowemu przepisy pojawiają się dopiero w XIX w. i są po prostu obłędne. Jak np. kotlety z dzika opisane przez Jana Szyttlera w „Kuchni myśliwskiej” wydanej w Wilnie w 1845 r. Na początku duszone, a dopiero potem pieczone w piecu.

Najpierw rozcieramy świeżo upolowanego dzika: „kość grzbietową rozcina się podłuż, zostawiając krótkie kostki przy kotletach”, następnie mięso moczymy w wodzie, później dusimy w rondlu z dodatkiem marchwi, pietruszki,

cebuli, z goździkami, pieprzem, zieleniem angielskim, liściem bobkowym i cytrynami. Kotlety te nie są bite, zamiast tego wlewa się do rondla butelkę wina, aby „wciągnęły w siebie głas, w którym się tuszą”. Później wyjmują się je na blachę, „składa, jak były w zwierzęciu”, polewa sokiem wiśniowym, obsypuje tartym żytnim chlebem, następnie posypuje po wierzchu tłuczonym cynamonem i mialkim cukrem, wstawia do niezbyt gorącego pieca, „aby chleb z cukrem się przyrumienił”, i wreszcie podaje na półmisku podlane sokiem wiśniowym [sic!]. Kotlety sarnie, które dalej opisuje autor, pieczone z tzw. ragułem, czyli nadzieniem, są z kolei rodzajem zawijanych zrazów, z dodatkiem cebuli, kwaśnej śmietany, suchego chleba, pieprzu i cytryny z dodatkiem zwierzęcego mózdzku lub chrap z łosia i z marynowanymi borowikami.

Pierwsze prawdziwe schabowe pojawiają się u Lucyny Cwierzakiewiczowej w przesławnej książce „365 obiadów”. Wydanie z 1871 r. zawiera przepis na kotlety z kością,

do których wedle autorki nadają się najlepiej „wszystkie sosy cebulowe, musztardowe lub ostre”, zupełnie inaczej niż dzisiaj, gdzie do schabowego podajemy raczej kapustę i kartofle, a więc rzeczy neutralne smakowo. Ciekawe, że Cwierzakiewiczowa nie pisze, aby mięso na kotlety ubić przed smażeniem.

Bardzo wykwintny przepis zamieszcza „Kucharka litewska” z 1881 r., który zresztą przytaczamy w całości poniżej. Klasyczny schabowy z kością – bity, maczany w jajku i tartej bułce, smażony na gorącym tłuszczu lub maśle – znajduję dopiero w „Kucharzu wielkopolskim” z 1892 r., choć i tam autorka Maria Śleżańska doradza podawać go z ostrymi sosami. Taki sam przepis jest zresztą we wznowionej w 1935 r. książce tejże samej Śleżańskiej „Co dziś na obiad”, stanowiącej cenne źródło dziejów kuchni polskiej w okresie międzywojennym. Wówczas już kotlet wieprzowy, jeszcze nienazywany „schabowym”, podawano w każdej restauracji jak Rzeczpospolita długa i szeroka. ©©



Kotlety wieprzowe na sztukę mięsa

Część schabową, czyli kotletową, moczymy pół godziny w zimnej wodzie i kroimy w plasty tak, aby przy każdej kostce było mięso. Wybijamy obuszkiem (czyli bijemy młotkiem do mięsa), solimy, pieprzymy, a potem smażymy na sporej łyżce masła. Usmażone kotlety studzimy, w osobnej misce rozbijamy cztery jajka, mieszamy i maczamy w tym mięso, obtaczamy tartym chlebem. Następnie kładziemy kotlety na wysmarowanej masłem brytfannie lub blasze i wstawiamy do pieca.

Kotlety podajemy z różnymi sosami. Pierwszy z nich to chrzanowy – kładziemy na patelni łyżkę masła, dorzucamy trochę maki, rozcieńczamy bulionem, dorzucamy pół litra chrzanu i sosem tym zalewamy kotlety. Zamiast chrzanu możemy użyć korniszonów – wrzucając je do sosu i zalewając mięso. Inny dodatek do kotletów to – obrana z łuski i duszona w mocnym bulionie z dodatkiem łyżki cukru oraz kawałka masła – cebula. Kolejny sos jest musztardowy – przygotowujemy z łyżki musztardy, łyżki cukru, tyleż masła i kwaterki octu oraz szklanki mocnego bulionu. Zamiast wyżej wymienionych sosów możemy także usmażone kotlety zalać wiśniowym sokiem.

CHARYTATYWNA BABKA MAGDALENY OGÓREK

Pochodzę ze Śląska, gdzie sztuka kulinarna to nieodzowny element dnia powszedniego. Śląska kuchnia to prawdziwy tygiel smaków – przez wieki czerpała z różnych tradycji: polskiej, austriackiej, czeskiej i niemieckiej. Nigdzie obiad nie smakował mi tak jak w domu. Pięknie nakryty stół, duży gar gorącego rosółu, koniecznie z ręcznie robionym makaronem, rolady i kluski, polane gęstym sosem – to był obowiązkowy zestaw każdej niedzieli. Mama pilnowała, by przy stole zawsze gromadziła się cała rodzina – szczególnie doceniam to dzisiaj, gdy w świecie pełnym pośpiechu trudno budować więzi.

Każde dziecko ma swój zapach z dzieciństwa, który chowa w sercu i niesie w dorosłe życie. Jak przystało na rodowitą Ślązaczkę, bardzo cieszył mnie aromat niedzielного rosółu, ale nic nie mogło równać się z babką drożdżową, którą robili rodzice. Pamiętam doskonale chwile, gdy wracałam ze szkoły, a w całym domu przepięknie pachniało drożdżowym ciastem.

Dzisiaj ten zapach doskonale zna moja córka, która pomaga mi przy pieczeniu. Dwa razy w roku przygotowujemy je w wersji specjalnej – na charytatywny kiermasz w parafii św. Andrzeja Boboli na Mokotowie.

Składniki:

- 1/2 kostki drożdży
- 1/2 kg mąki
- pół szklanki cukru
- 1/2 kostki masła
- 1 jajko całe + dwa żółtka
- 2 łyżki stołowe kakao
- szczypta cynamonu

FOT. KRZYSZTOF JAROSZ FORNIA



Przygotowanie:

Do miski wsypujemy mąkę. Do szklanki wbijamy jedno całe jajko i dwa żółtka. Całość wlewamy do mąki. Dodajemy pół szklanki cukru i roztopioną na małym ogniu połowę kostki masła. Do garnka wlewamy pół szklanki mleka, do tego kruszymy połowę kostki drożdży. Dodajemy 3 łyżki mąki, 2 łyżki cukru i delikatnie mieszamy w jednym kierunku, aż wszystko się rozpuści. Odstawiamy garnek i czekamy – za kwadrans drożdże podrosną. Nastawiamy piekarnik na 50 st. C.

Wyrośnięte drożdże wlewamy do miski z mąką, masłem i jajkami. Mieszamy, aż wszystko połączy się w masę i zagniatamy aż ciasto będzie idealnie odchodziło od miski. Jeśli ciasto zbyt szybko się klei, należy dosypać trochę mąki. Zagniecioną kulę ciasta wstawiamy na 10 min do rozgrzanego piekarnika. Po upływie tego czasu rozwałkujemy na placek, który możemy przemazać masą kakaową (2 łyżki kakao utarte z odrobiną mleka i cynamonem).

Placek wkładamy do prostokątnej formy na babkę, wcześniej delikatnie przesmarowaną masłem. Ponownie wstawiamy do piekarnika na 45–50 min, na 170 st. C, aż babka nabierze pięknego złotobrazowego koloru. Smacznego! ©© *oprac. raw*

Magdalena Ogórek jest publicystką, doktorem nauk humanistycznych, historykiem Kościoła.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Zupa dla wampira

Ja tylko troszeczkę, na spróbowanie. – Ja dziękuję, nie odważę się. – Ja chyba też podziękuję... – Czyżbym był wampirem?

Takie były reakcje moich gości na czerninę. Ugotowałam ją, gdy ktoś ze znajomych powiedział, że chciałby znowu spróbować tej zupy, którą jadł wiele lat temu i nigdy potem. A bardzo mu smakowała.

Postanowiłam się odważyć, to drugi taki eksperyment w moim życiu kuchennym. Rzeczywiście, czernina jest dzisiaj artykułem

wyjątkowo niszowym, którego nie znajdziemy w menu modnych knajp. Zwierzęcina w czasach wege nie ma dobrej prasy. Zupa z krwi? Podroby? Co za obrzydliwość! Jednak w regionie, w którym spędzam sporą część wakacji, w okolicach Lidzbarka (zwanego też Lidzbarkiem Welskim), czernina jest regionalnym przysmakiem. Na czwartkowym targu można kupić świeżo ubite kaczki, a razem z nimi przygotowaną już krew zakwaszoną octem, żeby nie krzepła.

Jak podaje Wikipedia, ta zupa to przysmak właściwy krainom biednym, a taką jest tutejsze pojezierze, które oprócz pięknego krajobrazu, lasów, usianych tu i ówdzie polodowcowymi jeziorami, nie ma wiele do zaoferowania. Zabytków brak, ziemia to piasz, na którym wyrosną co najwyżej marne żyto i kartofle. Czarną zupę nie tylko jednak tu jadają. Ten krwisty przysmak znajdziemy również w okoli-

cach Gostynina, Kutna, Mławy. Wszędzie tam, gdzie niezbyt się przelewało. Tam tę zupę zwa czerniną.

Czy rzeczywiście Mickiewiczowi o nią chodziło, gdy w „Panu Tadeuszu” pisał o czarnej polewce, którą po-



FOT. FOTOLIA

dano Jackowi Soplicy na znak rekuzy? I to przez tę polewkę tak się mścił. Trudno powiedzieć, czy na pewno to tamta, choć innych ciemnych zup nie ma w polskim jadłospisie, poza jagodową, którą za poważną zupę trudno byłoby uznać. Czernina naprawdę nie jest czarna, raczej brązowa, o kolorze – przynajmniej – mało zachęcającym do spożycia... a jednak przygotowana należycie: na kaczym rosolu i włoszczyźnie, z domowymi kładzionymi kluseczkami smak ma wyjątkowo delikatny, słodko-kwaśny, a dodatek suszonych śliwek i jabłek (opcjonalny) jeszcze dodaje jej charakteru.

Jednak cóż, obrzydliwców się nie przekona. Przecież kaczuszka, w końcu też krwista, nie budzi większych oporów. Nie wythumaczysz przeciwnikom flaków czy cynaderek, że nie są bardziej odrażające niż wątróbka. Obrzydzenie cynadereką czy czerniną nadal działa. ©©

ASTON MARTIN Z PRZYSZŁOŚCI



Valkyrie. Tak nazywa się nowy hipersamochód Aston Martin, który z wyglądu przypomina pojazd grający jedną z głównych ról w filmie science fiction. Auto z przyszłości powstało we współpracy brytyjskiego producenta oraz firmy Red Bull Advanced Technologies. Przy projektowaniu wnętrza auta wykorzystano nowoczesne technologie: utrzymane w modnym minimalistycznym stylu zostało wykonane w znacznym stopniu z włókna węglowego. W sumie samochód przyszłości waży więc zaledwie

1030 kg. Pod maską projektanci zamontowali zaś hybrydowy napęd, w tym 6,5-litrowy silnik V12, o łącznej mocy zbliżonej do 1100 KM. Hipersamochód na publicznych drogach ma się pojawić w 2019 r. Do sprzedaży przeznaczono 175 egzemplarzy, w tym 25 tylko do jazdy po torach wyścigowych oraz 150 w wersji, która może legalnie wyjechać na miasto. Niestety, wszystkie znalazły już nabywców. Cen nie ujawniono, ale spekuluje się, że jedna sztuka tej zabawki dla bardzo bogatych chłopców kosztowała niemal 15 mln zł.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NOWY SUV MITSUBISHI

Eclipse Cross – najnowszy model popularnej japońskiej marki będący mieszkanką typowego SUV-a ze sportowym coupé – w zeszłym tygodniu został oficjalnie pokazany nad Wisłą. Auto o zadziornym wyglądzie może mieć pod maską benzynowy silnik o pojemności 1,5 l i mocy 163 KM lub jednostkę wysokoprężną o pojemności 2,2 l i mocy 150 KM. Nowy SUV spod znaku trzech diamentów do polskich salonów sprzedaży ma trafić w grudniu. Model Eclipse Cross będzie rywalizować o klientów m.in. z takimi samochodami jak Peugeot 3008, Volkswagen Tiguan czy BMW X1.

POŻEGNANIE Z LEGENDĄ

Niestety, to już pewna wiadomość: Dodge Viper – legendarny, superszybki samochód – będzie produkowany tylko do 31 sierpnia. Tym samym po ponad ćwierć wieku z fabryki wyjedzie ostatni egzemplarz pachnącego nowością auta, które stało się jedną z ikon amerykańskiej motoryzacji. W ostatnich latach sprzedaż sportowego Dodge'a systematycznie spadała (w 2016 r. właścicieli znalazło 630 nowych egzemplarzy). I to – obok coraz większych problemów producenta z dostosowaniem auta do nowoczesnych wymogów bezpieczeństwa – była jedna z głównych przyczyn uśmiercenia Vipera. ©©



STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

CZYTAJ CO TYDZIEŃ **W LEPSZEJ CENIE** **ZAMÓW PRENUMERATĘ**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ KSIĄŻKA PIOTRA GOĆKA „KRETA SUBIEKTYWNIE”



Kreta subiektywnie – czyli wesołe zapiski dyletanta.
Przewrotna opowieść o wyspie, na której im więcej zobaczysz, tym więcej pozostaje do odkrycia.

- Co można robić nad zatoką, przy której tańczył Grek Zorba?
- Dlaczego król Grecji musiał nocować w wąwozie Samaria?
- Czego absolutnie nie należy mówić Kreteńczykom?
- Czy Knossos to archeologiczny Disneyland?
- Jak trafić na urodziny Giorgiosa i pozostać trzeźwym?
- Co polscy żołnierze w służbie rosyjskiego cara robili na Krecie?
- Które miasto wyspy było dumą Rzymu i dlaczego nic o tym nie wiecie?
- Dlaczego autor spacerował po Rethymnonie w górze od pidżamy, żółtych szortach i z fuksjową parasolką?

138 zł

oszczędność 81 zł

www.prenumerata.dorzeczy.pl

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy
Ci obecnie trwającą prenumeratę,
a prezent wyślemy z najbliższym
wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl
eprasa.pl 852bc6bc56



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Rewolucyjny zapal PiS

MARCIN MAKOWSKI: W ciągu dwóch dni ustawa o Sądzie Najwyższym zdążyła zmienić swój kształt, projekt nowej opłaty paliwowej został porzucony, prezydent zaczął stawiać warunki PiS, w Sejmie poszło prawie na noże. Od czego tutaj zacząć?

MATTHEW TYRMAND: Może od rzeczy najbardziej oczywistych i pewnych? Cieszę się, że ktoś na górze poszedł po rozum do głowy i odrzucił szkodliwą ustawę nakładającą dodatkowy podatek do i tak już drogich w Polsce paliw. Tłumaczenie, że „wyborcy chcą dobrych dróg”, do mnie nie trafia. Przecież od każdego litra benzyny i ropy od lat pobierane są już opłaty. To, czego wyborcy naprawdę chcą, to niższych podatków, zahamowania rozrostu biurokracji (o czym w Polsce mówił Trump, ale jakoś niewielu komentatorów podjęło temat) oraz tańszego i bardziej wydajnego państwa. Prawo i Sprawiedliwość osiąga realne sukcesy na polu uszczelniania VAT, premier Morawiecki – z którym niedawno rozmawiałem – ma autentyczny i spójny plan na skok cywilizacyjny kraju. Byłoby głupotą zmarnować taki potencjał i roztrwonić kapitał społeczny niepopularnymi oraz pisanymi na kolanie projektami.

To tyle, jeśli chodzi o rozwiązywanie problemów, które się samemu stworzyło. A co z Sądem Najwyższym i KRS? Jak oceniasz te działania Zjednoczonej Prawicy?

Również z mieszanymi uczuciami. Jestem przekonany, że reforma wymiaru sprawiedliwości jest w Polsce potrzebna jak powietrze. Pod wieloma względami całe środowisko sędziowsko-prawnicze funkcjonowało w III RP jak zamknięta kasta, która była sobie sterem, żeglarzem i okrętem. Nikt ich nie niepokoił za rządów PO-PSL, Trybunał mógł twierdzić, że rabunek pieniędzy z OFE jest zgodny z konstytucją, a lustracja sędziów niezgodna z prawami człowieka. To się musi w końcu zmienić. Pytanie tylko: Jakimi metodami? Moim zdaniem na tym odcinku władza działa nierozsądnie, ponieważ zamiast zwiększać transparentność całego procesu wyboru przedstawicieli SN i KRS, zamierzała najpierw przekazać tę czynność Zbigniewowi Ziobrze, później zaczęła się rakiem wycofywać, nie zmieniając jednak istoty rzeczy. Minister Ziobro nie ma dobrej historii w kwestii kumulowania władzy i nie tylko on, ale żaden szef resortu sprawiedliwości

nie powinien mieć tak szerokich prerogatyw, wchodzących w kompetencje prezydenta. Pod tym względem ruch Andrzeja Dudy oceniam pozytywnie. Prezydent postanowił zawałczyć o swoje prawa, jednocześnie wymuszając poprawki w ustawie o SN i nakładając wymóg wyboru 15 sędziów KRS większością trzech piątych głosów. W tym sensie przybliżyła nas to do szukania kompromisu politycznego, a nie ręcznego sterowania przez władzę wymiarem sprawiedliwości.

Ty mówisz o kroku w dobrym kierunku, opozycja natomiast grzmi z mównicy sejmowej oraz skanduje na ulicach, że na naszych oczach mordowane jest państwo prawa. Anne Applebaum napisała, że do tego „mordu” rękę przyłożył właśnie Donald Trump, który legitymizował władzę w Polsce.

Zdaniem Applebaum i jej zagranicznych popleczników bym się nie przejmował. Oni uważają, że rządy prawa w Polsce są atakowane, ale patrzą inną optyką prawną. To zgorzkniała i cyniczna kobieta, która dawno przestała być dziennikarką, a stała się polityczną suflerką męża. PiS nie może natomiast zupełnie bagatelizować emocji i postulatów ludzi wychodzących na ulicę. Dlatego konieczne jest przemyślenie kierunku przeprowadzanych reform, aby nie wyglądały jak personalna zemsta, ale autentyczne przybliżenie wymiaru sprawiedliwości w stronę obywateli. Tak jak ma to miejsce np. w USA, gdzie sędziowie SN wybierani są przez Kongres po przesłuchaniach. Tym samym mają realny demokratyczny mandat. Polska albo musi pójść tą drogą, albo wyborami bezpośrednimi na najważniejsze stanowiska w systemie sądowniczym. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



Wakacje



★ Z TELEWIZJĄ
REPUBLIKA ★

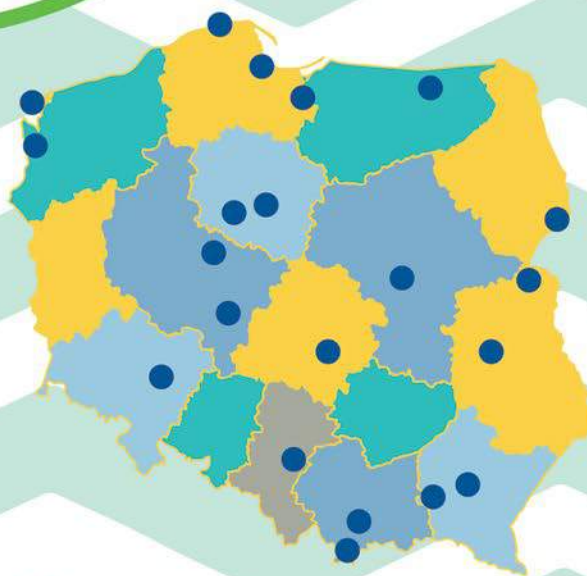
TERAZ TV REPUBLIKA
NA ŻYWO I ZA
DARMO ONLINE



TELEWIZJAREPUBLIKA.PL

RUSZAMY 1 SIERPANIA

#RepublikaNaWakacje



PATRONAT
MEDIALNY

stream **1**

SPONSOREM
WAKACJI JEST



HM Inwest S.A.



Energa



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Schetyna wsadzi wszystkim

GRZEGORZ SCHETYNA: *Rządy PiS nie będą trwały wiecznie. Jarosław Kaczyński zostanie oskarżony o sprawstwo kierownicze.*

Platforma Obywatelska ma już nawet pomysł, jak to przeprowadzi – nowelizacją Kodeksu karnego, do którego doda trzy antypisowskie paragrafy i sobie tylko znanym sposobem sprawi, że jak już dojdzie do władzy i będzie mogła je sobie przegłosować, zadziałają wstecz. Przedstawiony przez Schetynę projekt nowelizacji Kodeksu karnego jeży włos na głowie, tym bardziej że Schetyna

Sejm i Senat, natomiast w sposób sprzeczny z ustawą zasadniczą. Ponadto, zgodnie z przedmiotową nowelizacją, czynem zabronionym uczyniono kandydowanie oraz wyrażenie zgody na wybór, powołanie lub mianowanie na stanowisko w centralnym, konstytucyjnym organie państwa opróżnione w sposób niezgodny z Konstytucją RP, a także kandydowanie, wyrażenie zgody na wybór, powołanie lub mianowanie na stanowisko sędziego opróżnione w sposób niezgodny z Konstytucją RP.

Platforma nie tylko chce więc karać – surowo, bo minimalny wymiar kary to pięć lat pozbawienia wolności – za sam udział w procesie legislacyjnym i sejmowe głosowania, co już jest sprzecznym z konstytucją kuriozum („poseł nie może być pociągnięty do odpowiedzialności za swoją działalność wchodzącą w zakres sprawowania mandatu poselskiego ani w czasie jego trwania, ani po jego wygaśnięciu”), lecz także za „wyrażenie zgody na wybór” na stanowisko „opróżnione niezgodnie z konstytucją”.

Dopóki rządzi PiS, dopóty projekt jest oczywiście bez szans, ale z lekceważeniem go tak bym się nie spieszyła, bo dobrze oddaje

odbierający rozum poziom hysterii w partii Grzegorza Schetyny.

Sam bowiem fakt, że teoretycznie poważna partia w ferworze walki o praworządność prezentuje projekt nie tylko po prostu kuriozalny, lecz także na dodatek sprzeczny z konstytucją, świadczy o nastrojach w opozycji, która jest już na takim etapie, że gdyby tylko mogła, użyłaby przeciwko PiS każdej, nawet najbardziej niekonstytucyjnej metody. Na przykład wsadzając na pięć lat każdego, kto w Sejmie podniósł rękę za ustawą wygaszającą kadencję sędziów Sądu Najwyższego. Grubo? Najgrubiej jak można – takiego zamordyzmu jeszcze nikt chcący uchodzić za poważnego nie proponował. Jeśli PiS się nie ogarnie i nie zrozumie, jak bardzo daje swoim stylem rządzenia zielone światło przyszłej władzy do najsurowszej z nim rozprawy, to się kiedyś może nieprzyjemnie zdziwić. Polacy nie są takimi demokratami, jakimi lubią się widzieć, za kilka lat bez problemu zaakceptują każdą, nawet niedemokratyczną metodę ukarania PiS za dzisiejszą arogancję władzy. Może boleć. ©©

Projekt dobrze oddaje odbierający rozum poziom hysterii w partii Grzegorza Schetyny

takie narzędzia chce mieć pod ręką, gdy to on będzie u władzy i będzie mógł ich użyć przeciwko opozycji:

Niniejsza nowelizacja ma zapobiegać zmianom ustroju, które dokonywane są metodami na pozór demokratycznymi, tj. w formie ustaw uchwalanych przez

PODSŁUCHANE

Ale apka!

Kinia, skąd masz tę apkę ze świeczką?

No jak, Michał, skąd? Ściągnęłam sobie.

A jak to się nazywa? Bo też bym sobie ściągnęła.

„Świeczka” się nazywa.

Aha. A tym się można poparzyć?

No jak, głupolu? Przecież to na wyświetlaczu jest.

Wiem, tak cię podpuszczam tylko. To ja ci też coś pokażę. O, zobacz. A co to jest?

To jest apka do kręcenia filmów z PiS-owcami. To znaczy do kręcenia śmiesznych filmów w ogóle, ale u mnie będą PiS-owcy.

A co ona robi?

Kręcisz jakiegoś pisiora, np. Brudzińskiego, jak coś tam mówi, potem tu się naciska ten guzik i wtedy ta apka robi tak, że zamiast słów słychać, jakby ten ktoś tak pierdział. Co robił?

No, pierdział. Bąki puszczał. Ustami.

Ty, ekstra! Też sobie ściągnę. No, teraz to już nie mają z nami szans. Jak wrzucimy taki filmik, najlepiej z Kaczorem, to mają przegwizdane, co nie?

Jasne. Ale ja jeszcze coś mam. O, zobacz.

O matko! Michał, co to jest?

Sztuczna kupa. Podłożę Terleckiemu na fotel.

Rewelka. Idę z tobą. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Ludzie, tu są dwa rozwiązania. Polską rządzi wariat. Więc albo kaftan, albo taczka”.

TOMASZ LIS na Twitterze



fot. Jerzy Gumowski

Emigracja

W tym samym wierszu (kilka zwrotek dalej) Hemar zauważył, że Polak–emigrant:

*„Już nie o tę czerwoność Polski, albo białość,
O władzę nad duszami, czy o słup graniczny,
Ale prowadzi z Bogiem spór lucyferyczny
O wielkość albo podłość —
o wzniosłość lub małość”.*

Jeszcze kilkanaście lat temu nikt nie przypuszczał, że kwestia emigracji stanie się wkrótce głównym europejskim problemem. Ale gdy hordy muzułmańskich emigrantów z Kossowa, Maghrebu i Bliskiego Wschodu załaziły Stary Kontynent — problem zrozumieć wszyscy tubylcy, prócz, oczywiście, politpoprawnych idiotów użytecznych dla inwazji muzułmańskiej. Słychać, że niektóre państwa (Francja, Szwecja) „już się poddały” (co jest prawdą — strefy islamskie niedostępne dla administracji państwa tudzież dla policji rosną tam ilościowo oraz terytorialnie w tempie przerażającym), a inne szykują białe flagi do wywieszenia. Ta imigracja daje same szkody, pożytku z niej żadnego. Niemieckie firmy nie mogą zatrudniać nawet tych (bardzo nielicznych) muzułmańskich imigrantów, którzy gotowi byłiby podjąć pracę, bo według przedsiębiorców ci ludzie, z braku jakichkolwiek zdolności, do żadnej pracy się nie nadają. Zupełnie inaczej ocenia się Polaków. Przedsiębiorcy brytyjscy, niemieccy, francuscy i inni zachodnioeuropejscy uważają emigrantów z Polski za skarb.

Pierwociny dużej (masowej) polskiej emigracji wywołała klęska antyrosyjskiej Konfederacji Barskiej w XVIII wieku, lecz prawdziwa fala rozlała się po świecie w stuleciu XIX. Była to emigracja zarobkowa, głównie chłopska (w drugiej połowie wieku XIX za ocean — do USA, Brazylii, Argentyny — uciekło ponad 2 miliony wieśniaków), ale również polityczna, czyli popowstaniowa, obejmująca głównie arystokrację, szlachtę, inteligencję, oficerów i żołnierzy (upadek Powstania Styczniowego wypchnął z kraju 10 tysięcy osób, zaś wcześniejszy upadek Powstania Listopadowego blisko 7 tysięcy). Maria Konopnicka:

*„Gdy zapadło nad Ojczyzną
Czarnej trumny wieko —
Ten, kto nie mógł żyć w niewoli,
We świat szedł daleko”.*

Sława okryła się polistopadowa Wielka Emigracja rezydująca we Francji, obrodziła bowiem fontannami geniuszu (Mickiewicz, Słowacki, Chopin i cała wspaniała reszta). Sto lat później (1946) londyński emigrant Marian Hemar pytał dramatycznie à propos tamtego wychodźstwa ery Romantyzmu:

*„Cóżśmy zrozumieli z tamtej emigracji?
I kto z nas się domyślał jaka była cena
Mickiewiczowskich wierszy i etiud Szopena,
I listów, które pisał do matki Mochnacki?”.*

Hemar należał do emigracji wojennej spowodowanej przez Hitlera i Stalina, którą Angole świetnie wykorzystali (nasze lotnictwo zestrzeliło tam ponad 200 samolotów Luftwaffe; polski dywizjon 303 zdystansował „urobkiem” wszystkie brytyjskie dywizjony), a później haniebnie nie zezwolili tym herosom wziąć udziału w Paradzie Zwycięstwa, bo tego nie życzył sobie kremlowski „Wujek Joe”. Owa emigracja rosła za czasów „Polski Ludowej”, którą opuścić nie było łatwo, lecz i tu sprawdziła się maksyma, że „Polak potrafi”. Krążył wówczas szmonces o rabinie, którego zapytano czy wolność i równość to jest dobrze, on zaś przyznał: „ — Tak, to jest dobrze”. Zapytano go więc czy postępek i braterstwo ludów to jest dobrze, a on się zgodził: „ — To też jest dob-



Juliusz Słowacki [„Beniowski”]:

*„W emigracyjnych wierzę
wszystkich świętych”*



rze”. Potem go spytano czy Plan Sześcioletni oraz współzawodnictwo pracy to jest dobrze, i on znowu przytaknął: „ — To jest bardzo dobrze”. Wreszcie zapytano go czy socjalizm tudzież walka o pokój to jest dobrze, i po raz czwarty on się zgodził, mówiąc: „ — To wszystko jest bardzo dobrze. Ale najlepiej jest wyjechać”.

Wyjeżdżano (z biletem w jedną stronę) „na Zachód” (od Skandynawii po USA), by kosztować życia kapitalistycznego, częściowo tylko innego, bo pod wieloma względami życie człowieka w komunizmie niczym się nie różniło od życia człowieka w kapitalizmie. I tu, i tam można było, przy odrobinie fartu, wypić i zakąsić na cudzy koszt, a przy odrobinie pecha zostać wykołegowanym. W obu ustrojach seks był równie łatwo dostępny z powodu tej samej delikatnej struktury atawistycznej kobiet, na którą nie ma żadnego wpływu jakość używanych perfum („Nina Ricci” czy „Przemysławka”). I tu, i tam bandyta, co miał dobre układy z „gliną”, wychodził na tym lepiej niż ten, który nie miał z „gliną” żadnych układów. Itd., itp. Ale były też różnice. W kapitalizmie dobrym lekarzem był taki, który dobrze leczył, natomiast w komunizmie dobrym lekarzem był ten, co potrafił za flaszkę dać zdrowemu papiery chorego, a choremu rozkładane łóżko w brudnym szpitalnym korytarzu. Ten komunistyczny dostawał od pań-

stwa taką pensję, że wołał myć talerze w hamburskiej lub wiedeńskiej knajpie (wyższość systemu komunistycznego polegała właśnie na tym, że rodzimy specjalista był przygotowany bardziej wszechstronnie i potrafił wykonywać zawody, wobec których jego kapitalistyczny kolega wymiękał). Nie umiem odpowiedzieć na pytanie: dlaczego nie wszyscy polscy specjaliści (od inżynierów do adiunktów) zwiali wówczas? Może dlatego, że liczba zachodnich zlewozmywaków była (mimo wszystko) ograniczona, a może dlatego, że niejednemu bardziej pasował układ, na który w ahumanitarnej cywilizacji zachodniej nie można liczyć: wy udajecie, że płacicie — ja udaję, że pracuję.

Wiem czemu sam nie wyemigrowałem, choć mnie mocno kuszone. Najłatwiej byłoby mi wtedy pyrgnąć do germańskiej Gemütlich-ojcowizny, i to nawet nie dlatego, że urodziłem się w niemieckim kraju Generalne Gubernatorstwo („Generalgouvernement”), tylko dlatego, że mój Papa („mein Vater”) urodził się w kurorcie Salzgitter (Dolna Saksonia), gdzie babcia przebywała akurat u sławnych tamtejszych solankowych wód. Z takimi papierami każdy Szkop, od Adenauera do Kohla, dałby mi obywatelstwo w try miga, pardon: w „Blitz”. Wszelako uzdrowiskowy syn mojej babci kochał Niemiaszków równie gorąco jak Kacapów (przećwiczył strzelanie do jednych i do drugich), więc za całe złoto Renu (z pierścieniami wszystkich Nibelungów na dokładkę) nie zmieniłby tego wyznania, a ja, niestety, to jabłko, padłem bardzo blisko jabłoni.

Najświeższa fala polskiej emigracji, licząca — w co aż trudno uwierzyć — więcej ludzi niż wychodźstwo peerelowskie (wtedy 1,8 mln osób, teraz ponad 2,5 mln), została spowodowana bandycją „„transformacją” PRL w III RP, dokonaną przez „„uwłaszczające się” gremia „„służbowe” i nomenklaturowe, zaś estradowo (rządowo oraz medialnie) sterowaną przez balcerowiczostwo i michnikostwo. PiS pragnęło wyhamować zarobkową emigrację, a emigrantów z lat rządów PO ściągnąć do ojczyzny. Wicepremier Morawiecki agitował o to w Londynie, głosząc, że pisowska „dobra zmiana” zapewni wracającym godziwe warunki bytu. Przywódcy tamtejszej polskiej emigracji, spytani później jak Polonia przyjęła wezwanie Morawieckiego, odparli: „ — Wyśmieliśmy go”. Zrobili to z wielu ekonomicznych powodów, lecz starczy jeden, aby wszystko było jasne: w Polsce PiS podniosło kwotę wolną od podatku do 6 tys. złotych, natomiast w Anglii jest ona dziesięć razy większa (ściśle: 11,5 tys. funtów). Ktoś mógłby tu kontrargumentować, że to zły przykład, bo przecież w Anglii są dużo wyższe zarobki. Odpowiedź na ten kontrargument brzmi: no właśnie... ©©

Waldemar Łysiak



JESTEŚMY STĄD. TO NASZ KRAJ.
NASZA HISTORIA I TRADYCJA.
NASZE BARWY.

Staropolanka wspólnie
z RED IS BAD wprowadza
limitowaną edycję wody
z etykietą inspirowaną
biało-czerwonymi
barwami.

Staropolanka to najwyższej jakości polska woda mineralna,
wydobytą z orzeźwiających źródeł polanickich od ponad 100 lat.

RED IS BAD to marka odzieżowa silnie inspirowana polską historią,
która całą produkcję realizuje w naszym kraju.

Obie marki szczytują się w pełni polskim kapitałem.

www.redisbad.pl

www.staropolanka.pl

staropolanka



EDYCJA LIMITOWANA

RED IS BAD™